

KULTURA

WYBÓR SZKICÓW, OPOWIADAŃ I SPRAWOZDAŃ
RZYM NR. 1 CZERWIEC 1947

PAUL VALERY *Z «Kryzysu ducha».*
BENEDETTO CROCE *Zmierzch cywilizacji.*

TYMON TERLECKI *O socjaliźmie chrześcijańskim.*
ZYGMUNT ZAREMBA *Przeobrażenia wewnętrzne społeczeństw
w okresie międzywojennym.*
M. K. DZIEWANOWSKI *Wiosna Ludów w Hotelu Lambert.*
ANDRZEJ BOBKOWSKI *Nekyia.*
WIKTOR WEINTRAUB *Lytton Strachey.*
TADEUSZ J. KROŃSKI *Filozofia egzystencjalna Sartre'a.*
JÓZEF CZAPSKI *Raj utracony (na śmierć Bonnarda).*
ARTHUR KOESTLER *Przyjazd (Z «Krucjaty bez krzyża»).*
HERMINIA NAGLEROWA *W inne czasy (Fragment powieści).*
FEDERICO G. LORCA *Wiersze.*

VARIA

Redagują

JERZY GIEDROYC
GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

INSTYTUT



LITERACKI

KULTURA

Ogłoszone na wstępie do pierwszego zeszytu „Kultury” dwa powojenne głosy czołowych myślicieli europejskich (Valéry'ego z r. 1919 i Croce'go z r. 1946) uprzytomniają jak bardzo myśl o zmierzchu lub kryzysie cywilizacji, w której żyjemy, naturalna jest w czasach, wyłaniających się z każdej zawieruchy światowej.

W obu tych głosach rozbrzmiewa głęboki smutek ludzi, którzy wszystkie swe siły i umiejętności oddali pracy nad pogłębianiem i wznoszeniem kultury europejskiej, aby dożyć wreszcie dni jej śmiertelnego niebezpieczeństwa i zagrożenia. Ale brzmi w nich jednocześnie ogromna siła, siła niezłomnych przekonań, przywiązań i wiary wbrew „czasom pogardy”, wbrew „nadchodzącej i niepokonalnej barbarii”.

„Wszystko do Europy przyszło i wszystko od niej wyszło. Wszystko, albo prawie wszystko” — pisze Valéry. „Walczyć na swoim posterunku pro aris et focis o nasze kościoły i nasze domy, bronić ich do upadłego” — woła osiemdziesięcioletni filozof neapolitański, najbardziej nieprzejednany wróg faszystwu włoskiego i Mussoliniego, Croce. Czy nie z tego samego ducha wyrosły wspaniałe słowa André Malraux, wypowiedziane na inauguracyjnym zebraniu UNESCO w Paryżu? Postuchajmy: „Europa, o której dotychczas świat w kategoriach wolności, uważa się dzisiaj tylko za igraszkę przeznaczenia. Ale zbyt często zapomina, że nie pierwszy to raz w dziejach Europy. Nielepsza przecież była jej sytuacja za poprzednich inwazji. Gdy armia mongolska Dżyngis-chana szła na Wiedeń, czy los Europy był jaśniejszy? Czy lepszy był jej los gdy u wrót stał Timur? Po bitwie pod Nikopolis, po bitwie pod Mohaczem? A przecież wtedy chodziło o śmierć i życie, a nie o rywalizację kultur i o dziedzictwo ducha. Czy jaśniejszy — pytam — był los Europy w czasie bitwy o Londyn? A jednak czy w chwili bitwy o Londyn ktokolwiek w Anglii, albo nawet we Francji zwątpił w zasadnicze wartości Zachodu? Nieprawda jest, że umarł Europejczyk. Ale opuszczony, gdy sam porzucił swoje najistotniejsze wartości, szykuje się na śmierć, jak kierownicze warstwy dawnych imperiów gotowały się niegdyś na śmierć z chwilą, kiedy traciły wolę życia”.

Laciński, francusko-włoski, trójgłos nie wyczerpuje jednak bogatego wachlarza postaw ideowych w okresach powojennego zamętu i poszukiwania. Obok słów wiary i przywiązania padają słowa nienawiści i zniechęceń. Obok stanowisk głęboko kulturotwórczych, wyrastają jak grzyby po deszczu stanowiska wyraźnie antykulturalne. Obok prądów odrodzenia i odnowienia przepływają mętne fale rozkładu i zniszczenia.

Po tamtej wojnie modny był w Europie niemiecki katastrofizm cywilizacyjny. Przenikał do zmęczonych i zniechęconych umysłów, docierał na karty dzieł filozoficznych, wdrapywał się potajemnie na katedry uniwersyteckie. Dziś wiemy już jaki był jego cel. Tym katastrofizmem apokaliptycznym rozkładał imperializm i nacjonalizm niemiecki wszystkie narody europejskie. Osłabiał w nich wolę walki, zatrącał je myślą o śmierci. Bo i o cóż walczyć, czego bronić w obliczu powszechnego „Untergang des Abendlandes”? Pod butem okupacji hitlerowskiej obudziła się w całej Europie myśl o przetrwaniu. Niestety, nie utrzymała się ona dostatecznie długo, aby stawić czoła nowej groźbie.

Po tej wojnie katastrofizm niemiecki ustąpił miejsca „nowatorstwu” sowieckiemu. Pewnemu sobie, dynamicznemu i antytradycyjnemu „nowatorstwu”, o którym Croce mówi ogólnie, że „nie jest podniesieniem tradycji na wyższy poziom, lecz jej zerwaniem, oznacza ustanowienie barbarzyństwa i nadchodzi wtedy kiedy natury dzikie i podłe, które choć trzymane na łańcuchach istnieją w każdym społeczeństwie, nabierają w pewnej chwili rozmachu i wigoru, aby na koniec przeważyć i zapanować. One to niezdolne do rozwiązania w sobie problemu istniejącej cywilizacji przez podniesienie jej na wyższy poziom, odtrącają ją, i nie tylko uciskają i przesładują ludzi, którzy są jej uosobieniem, ale wąż się nawet niszczyć dzieła, będące przecież podniętą do nieustannego wzbogacania kultury, burzyć pomniki piękna, systemy myśli i wszystkie świadectwa wspaniałej przeszłości, zamykać szkoły, plądrować i palić muzei, biblioteki i archiwa i czynić rzeczy, które widzieliśmy i ciągle jeszcze obserwujemy”.

Upłynie zapewne znowu wiele lat, zanim narody obu półkul zrozumieją, że „nowatorstwo” sowieckie jest takim samym narzędziem znieczulenia kultury europejskiej, jak katastrofizm niemiecki był wcześniej narzędziem jej rozkładu. Nadchodzą czasy ponownego osłabienia woli, ponownego zatrucia myślą o śmierci. Bo i o cóż walczyć, czego bronić w obliczu powszechnego „Ex oriente lux”?

W tych warunkach rola, cel i zadania „Kultury” są dostatecznie jasne i nie wymagają zbyt szczegółowego wyjaśnienia.

„Kultura” pragnie uprzytomnić czytelnikom polskim, którzy wybrawszy emigrację polityczną znaleźli się poza granicami kraju ojczystego, że krąg kulturalny w którym żyją, nie jest kręgiem wymartym.

„Kultura” pragnie dotrzeć do czytelników polskich w kraju i wzmocnić w nich wiarę, że wartości, które są im bliskie nie zwały się jeszcze pod obuchem nagiej siły.

„Kultura” chce szukać w świecie cywilizacji zachodniej tej „woli życia, bez której Europejczyk umrze tak jak umarły niegdyś kierownicze warstwy dawnych imperiów”.



P. 9786 Chr. Arch.



P. 9786 Chr. Arch.

Z „KRYZYSU DUCHA”

LIST PIERWSZY

Teraz już wiemy, że cywilizacje nasze są śmiertelne. Słyszeliśmy o zaginięciu całych światów, o nagle zapadłych w przepastne głębiny wieków, wraz ze swoimi bogami i prawami, szkołami, wiedzą ścisłą i stosowaną, gramatykami i słownikami, klasykami, romantykami i symbolistami, z krytykami — oraz krytykami tychże krytyków.

Wiedzieliśmy, że cała widzialna ziemia powstała z popiołów i że popiół coś oznacza. Mogliśmy zauważyć, poprzez nawarstwienia historii, widma olbrzymich okrętów naladowanych bogactwami i zdobyczami umysłu. Zliczyć ich jednak — nie byliśmy w stanie. Ale cóż zresztą obchodziły nas te katastrofy?

Elam, Niniwa, Babilon były pięknymi, ale dość mglistymi nazwami i całkowite zburzenie tych światów miało dla nas tyle znaczenia, co ich istnienie. Podobnie pięknymi nazwami byłyby... *Francja, Anglia, Rosja*... Podobnie piękną nazwą jest *Lusitania*. Teraz widzimy, iż otchłań historii jest na tyle wielka, że może pomieścić w sobie wszystko. Czujemy, że cywilizacja jest tak samo krucha — jak życie. Okoliczności w których dzieła Keats'a i Baudelaire'a mogłyby podzielić los dzieł Menandra nie wydają się nam bynajmniej niemożliwe: wszak zapowiedzi tego podają dzienniki.

To nie wszystko. Pałaca lekcja jakiej doznaliśmy jest jeszcze pełniejsza. Naszemu pokoleniu nie wystarczyła nauka nabyta własnym doświadczeniem, że najpiękniejsze i najstarsze rzeczy — rzeczy przegromione i w najlepszym ładzie — mogą ulec zniszczeniu przez *przypadek*: pokolenie nasze było świadkiem, jak to w dziedzinie myśli, rozsądku i uczuć dokonywały się zjawiska niezwykle, nagle urzeczywistnienia paradoksów i brutalne rozczarowanie oczywistością.

Podam jeden tylko przykład: wielkie cnoty ludów germańskich więcej zrodziły zła, aniżeli nieróbstwo stworzyło występki. Widzieliśmy na własne oczy, jak to sumienna praca, solidne wykształcenie, wielka dyscyplina i pilność zostały przystosowane do straszliwych celów.

Tyle okropności nie byłoby możliwych — bez tylu cnót. Potrzeba było zaiste dużo wiedzy, aby zabić tyle ludzi, zmarnować tyle dóbr, obrócić w przynęę tyle miast — w tak krótkim czasie: ale i nie mniej trzeba było zalet moralnych. Wiedza i Powinności — jesteście zatem podejrzanymi?

I tak to Persepolis duchowe nie mniej jest zniszczone, niż Suza materialna. Nie wszystko się wprawdzie zatraciło, ale wszystko zdawało się ulegać zatraceniu. Potężny dreszcz przesyłał do szpiku kości Europę, która poczuła wszystkimi zwojami swych myśli, że nie poznae już siebie, że przestaje być do siebie podobna, że jest bliska utraty świadomości — świadomości zdobywanej wiekami znośnych nieszczęść, dzięki tysiącom znakomitych ludzi, dzięki korzystnym warunkom geo-

graficznym, etnicznym, oraz niezliczonym okolicznościom historycznym.

I wówczas, jakgdyby w rozpaczliwej obronie swego fizjologicznego jestestwa i mienia, wróciła w nieładzie cała jej pamięć: wróciły wspomnienia o wielkich mężach, o wielkich księgach. Nigdy nie czytano tak wiele i z taką namiętnością, jak podczas wojny — proszę zapytać księgarzy. Nigdy nie modlono się tyle i tak żarliwie — proszę zapytać księży. Przywoływano wspomnienia zbawców, założycieli, opiekunów, męczenników bohaterów, ojców ojczyzny, sędzię bohaterski, narodowych wieszczów...

W takim samym umysłowym nieładzie, pod wpływem takiegoż wewnętrznego niepokoju — kulturalna Europa doznała w sobie szybkiego odzicia niezliczonych dziedzin myśli: dogmatów, filozofii, różnorodnych ideałów: trzystu sposobów tłumaczenia świata, tysiąca i jednego odcienia chrześcijaństwa, dwu tuzinów pozytywizmów. Jednym słowem widmo intelektualnego światła ukazało swe niezgodne barwy, oświetlając niezwykłym kontrastowym blaskiem konanie europejskiej duszy. I podczas kiedy wynalazcy szukali gorączkowo w obrazach i kronikach dawnych wojen sposobów uwolnienia się od drutów kolczastych, uniknięcia łodzi podwodnych i sparaliżowania lotów powietrznych — dusza ludzka przywoływała wszelkie znane jej zaklęcia i jednocześnie rozważała poważnie najdziwaczniejsze prorocтва: szukała dla siebie schronienia, wskazówek oraz pocieszenia w rejestrze wspomnień, w dawnych czynach i zachowaniu się przodków. Są to znane skutki odczuwanego niepokoju, chaotyczne wysiłki umysłu, który biegnie tam i z powrotem od rzeczywistości do koszmaru i od koszmaru do rzeczywistości: umysłu oszalonego jak szczur w pułapce...

Kryzys wojenny być może skończył się: kryzys gospodarczy widnieje w całej pełni: natomiast trudno jest uchwycić fazę rozwoju i punkt kulminacyjny kryzysu intelektualnego, jako że jest on z natury swej bardziej subtelny, a odbywając się w sferze abstrakcji — przybiera jaknajbardziej zwodnicze postacie.

Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co jutro będzie martwe, a co żywe — w literaturze, filozofii, estetyce. Nikt jeszcze nie wie, jakie pojęcia i sposoby wyrażenia się ulegną zagładzie, a jakie nowości zostaną obwieszczane.

Wprawdzie pozostaje nadzieja nucąca półgłosem

*Et cum vorandi vicerit libidinem
Late triumphet imperator spiritus.*

Ale nadzieja jest nieufnością istoty ludzkiej, wobec dokładnych przewidywań jej umysłu. Nadzieja bowiem sugeruje, że wszelkie konkluzje niekorzystne dla człowieka, muszą być pomyłką jego umysłu. Atoli fakty są oczywiste i bezlitosne. A faktem jest, że tysiące młodych pisarzy i artystów pomarło; że prysło złudzenie europejskiej kultury, a nauka wykazała, że jest bezsilna cośkolwiek uratować; że wiedza została śmiertelnie dotknięta w swej moralnej ambicji i jakby znieważona okrutnymi wynikami zastosowania swoich zdobyczy; że z trudem odnosi zwycięstwo idealizm, że jest on

mocno okaleczony i odpowiedzialny za swe marzenia; faktem jest, że na zawiedzionym i pokonanym realizmie ciążyą zbrodnie i błędy; że tak samo szydzi się z żądy — jak z wyrzeczenia; że wierzenia są pomieszane w różnych obozach, że krzyż walczy z krzyżem, a półksiężyc z półksiężycem; ba, że nawet sceptycy — zbici z tropu nagłymi, gwałtownymi i wstrząsającymi wypadkami, które zdają się igrzać z myślą, jak kot z myszą — raz po raz tracą, odzyskują i znowu tracą zwątpienia i nie potrafią już posługiwać się sprawnością swego umysłu.

Kołysanie okrętu było tak potężne, że nawet najlepiej zawieszane lampy uległy w końcu wywróceniu.

Kryzys umysłowy stał się tak głęboki i poważny — z powodu stanu w jakim zastał pacjenta.

Brak mi czasu i możliwości, aby określić umysłowy stan Europy w 1914 roku. Któż zresztą odważyłby się na śmiałość przedstawienia takiego obrazu? Obszerny ten przedmiot wymaga wszechstronnych wiadomości i nieograniczonej dokumentacji. W wypadku tak złożonego zagadnienia jest równie trudno odtworzyć niedawną przeszłość, jak zbudować choćby najbliższą przyszłość. Prorok i historyk mają tu role jednakowe. Zresztą mniejsza o to.

Mnie na razie wystarczają mgliste i ogólnikowe wspomnienia tego wszystkiego, co działo się tuż przed wojną — zarówno w dziedzinie przeprowadzanych w owe czasy badań, jak i wydawanych dzieł.

Otóż jeśli pominię szczegóły i ograniczę się do wrażenia, do pewnej *naturalnej całości*, jaką daje postrzeganie błyskawiczne — to właściwie nie widzę *nic!* Aczkolwiek to *nic* — jest nieskończenie bogate.

Fizycy pouczają nas, że gdyby ludzkie oko mogło istnieć w piecu rozżarzonej do białości — nie ujrzałoby *nic*. Bowiem przy braku jakiegokolwiek zmienności świetlnej — nie ma możliwości rozróżniania punktów w przestrzeni. Tak potężna i zamknięta energia przeraża się w stan niewidzialności i nieczulej jednostajności. Zaś tego rodzaju jednostajność nie jest niczym innym — jak stanem doskonałego *beztładu*.

A czymże był beztład naszej umysłowej Europy? — Był swobodnym współistnieniem w umysłach kulturalnych — krańcowo odmiennych pojęć oraz sprzecznych zasad życiowych i naukowych. I właśnie to charakteryzuje epokę *nowoczesną*. Nie waham się uogólnić pojęcia *nowoczesny* i określać nim pewien sposób egzystencji — zamiast uważać terminy *nowoczesny* i *współczesny* po prostu jako równoznaczne. Są w historii chwile i miejsca w których *my* — *ludzie nowoczesni* moglibyśmy przebywać nie zakłócając zbyt wiele owych czasów i nie wydając się jakimiś dziwaczniymi, rzucającymi się w oczy tworamami, czy też istotami rażącymi, które nie pasują do otoczenia i są niezdolne doń się przystosować. Wszędzie, gdzie ukazanie się nasze nie wywołałoby sensacji — jesteśmy prawie że u siebie. Jasnym jest, że Rzym w czasach Trajana, czy Aleksandria w okresie Ptolomeusza wchłonęłyby nas łatwiej, aniżeli wiele innych miejscowości — wprawdzie bliższych nam w czasie, ale o pewnym ustalonym typie obyczajów, jednolitej rasie, kulturze i systemie życia.

Otóż Europa w roku 1914 osiągnęła być może granice owej nowoczesności, owej modernizmu. Co też mózg — stawał się jakgdyby węzłowym punktem wszelkiego rodzaju opinii; myśliciel zaś — jakby wszechświatową wystawą myśli. Niektóre dzieła umysłu przypominają swym bogactwem kontrastów i sprzecznych impulsów — owe bezmyślne efekty świetlne

ówczesnych stolic, kiedy to oczy były oślepienie i znużone światem... Ileż to materiałów, prac, kalkulacji, złupionych wieków, jakiejż sumy różnorodnych ludzkich istnień potrzeba było — aby mógł powstać i zapanaować ten istny karnawał, jako wyraz mądrości i triumfu ludzkości.

W tej czy owej książce — często nawet niegorszej — z owej epoki, odkrywa się bez żadnego wysiłku — i wpływ rosyjskich baletów, i coś z ponurego stylu Pascala, i mnóstwo wrażeń *à la Bracia Goncourt*, i coś z Nietschego i z Rimbaud, i jakieś — powstałe na skutek obcowania z malarzami — efekty, i coś z tonu wydawnictwa naukowych — a wszystko razem owiane jakimś trudnym do dawkowania zapachem brytyjskości!... Dodajmy nawiasem, że w każdym ze składników tej mikstury znalazłyby się jeszcze inne pierwiastki. Lepiej ich jednak nie wyszukiwać. Musiałbym bowiem powtórzyć wszystko to, co już powiedziałem o modernizmie, a nadto dokonać przeglądu całokształtu umysłowych dziejów Europy.

LIST DRUGI.

Mówiłem wam uprzednio, że pokój jest wojną, która uwzględni w swoim procesie akty miłości i tworzenia. Jest on zatem czymś bardziej złożonym i niejasnym, aniżeli sama wojna; podobnie, jak życie jest bardziej niejasne i głębsze, aniżeli śmierć.

Również początek, oraz organizowanie pokoju są bardziej niejasne, aniżeli sam pokój; podobnie jak akt zapładniania oraz źródło życia są bardziej tajemnicze, aniżeli samo działanie życia w istocie stworzonej i przystosowanej.

Dziś, dla każdego tajemnica ta jest wrażeniem istniejącym i obecnym; niewątpliwie niektórzy odczuwają, że ich własne ja stanowi istotną część tej tajemnicy; a może istnieje człowiek, którego wrażliwość jest na tyle jasna, subtelna i bogata, że może odczytywać w sobie samej stany naszego przeznaczenia bardziej dojrzałe, aniżeli samo przeznaczenie.

Osobiście — nie posiadam tej ambicji. Rzeczy tego świata interesują mnie li tylko pod względem intelektu. Bacon powiedziałby, że ten intelekt jest bożyszczem. Zgadza się — bowiem innego bożyszczka nie znalazłem.

Myślę zatem o ustanowieniu pokoju, jako sprawy interesującej intelekt oraz rzeczy dotyczącej intelektu. Ten punkt widzenia jest *falszywy*, ponieważ oddziela umysł od wszelkich innych czynności. Ale tego rodzaju abstrakcyjna operacja i fałszowanie są nieuniknione — jako, że wszelki punkt widzenia jest *falszywy*.

Wynika z tego po pierwsze, że idea kultury, inteligencji, idea wielkich dzieł jest dla nas od dawna związana z ideą Europy; związek ten jest tak dawny, że nader rzadko do niego wracamy.

Inne części świata miały także wspaniałe cywilizacje, wielkich poetów, budowniczych, a nawet uczonych. Ale żadna nie posiadała tej osobliwej właściwości *fizycznej*: wybitnej zdolności *emisyjnej* w połączeniu z wybitną zdolnością *wchłaniania*.

Wszystko do Europy przyszło i wszystko od niej wyszło. Wszystko — lub prawie wszystko (1919).

Z francuskiego przełożył
BOGUSŁAW SZYBEK

ZMIERZCH CYWILIZACJI

W biegu i pod koniec drugiej wojny światowej pojawił się wszędzie dławiący niepokój, że nadchodzi już, a w najbliższym czasie może nawet stać się rzeczywistością, koniec cywilizacji, — a określając ją ściślej mianem symbolu historycznego — cywilizacji europejskiej. Pewne ażuje na ten temat pojawiały się już po pierwszej wojnie w niebardzo przekonujących wywodach apokaliptycznych pisarzy niemieckich, owych fabrykantów paradoksów, — nie dały one jednak początku tak powszechnemu uczuciu, jakie obserwujemy dzisiaj. W takiej formie i w takich rozmiarach uczucie to jest czymś nowym w dziejach Europy, która przecież w czasie przejścia ze świata grecko-rzymskiego do Średniowiecza zachowała pomimo zniszczeń dokonanych przez barbarzyńskich najeźdźców poczucie ciągłości, zarówno dzięki trwałej idei Rzymu, jak i dzięki chrześcijaństwu, które wchłonęło w siebie wiele z dziedzictwa świata antycznego. Ciągłość została przywrócona i głębiej jeszcze odczuta u progu czasów nowożytnych, czasów przepelnionych działaniem i ufnością, dzięki powstawaniu wielkich państw, dzięki odkryciom i podbojom za oceanem, dzięki szybkiemu wzrostowi kultury wśród wielu narodów Europy, dzięki płomiennemu duchowi odnowicieli religii, filozofii i nauk; w wieku osiemnastym zaś okrzepł jej mit w teorii stałego postępu i w reformatorskiej potędze rozumu. Częściowe zaś załamania się tej ideologii intelektualistycznej nie zachwiało owej wiary, ale przeciwnie wzmocniło ją, łagodząc, poprawiając i przeobrażając zasadniczo radykalizm jakobiński w nową wizję i nieodłączną od niej zasadę wolności, która zdawała się otwierać drogę wyraźnemu i stopniowemu postępowi i zbytecznymi czyniła groźne rewolucje, niosące ze sobą nieuniknioną ruinę, a dawała zamiast nich cywilizowanym społeczeństwom przekonanie o powszechnej użyteczności polityki pokojowej. Pogrobowcy ostatniej generacji dziewiętnastowiecznej żyli w stanie, który dziś określamy mianem wielkiego złudzenia, ale który dawał im pogodę i radość w pracy, a wzrok ich zwracał ku jutru wolnemu już od zła i bolączek teraźniejszych i wzbogaceniemu o wartości dotąd nieposiadane. Dziś natomiast serca nawiedził smutek, umysły lęk przed przyszłością, a pełen ufności rozmach, jakiego wymaga twórcza praca, znika, ustępując miejsca twardemu poczuciu obowiązku, od którego nie wolno się uchylić.

Pragnę i ja zająć się tą sprawą, nie po to aby wzmacniać lęk lub dodawać odwagi, a już w żadnym wypadku nie po to, aby po dyletancku rozważać rozmaite możliwości i prawdopodobieństwa, albo zabawiać wyobraźnię, podniecając ją na wzór dziennikarzy; chcę natomiast zająć się ideą historii, której zrozumienie ułatwia w każdym wypadku logika, a ideą dzielności moralnej, która w tej historii znajduje swój wyraz.

Wypada tu zaznaczyć, że przez schyłek lub koniec cywilizacji nie należy rozumieć wyczerpania, przeciężenia, i przemian, które zachodzą spontanicznie i narastają codziennie. Tak było gdy miejsce cywilizacji grecko-rzymskiej zajęła cywilizacja chrześcijańska-kościelna, gdy po niej nastąpiła cywilizacja chrześcijań-

ska-laicka lub, precyzując wszystko dokładniej, gdy Humanizm i Odrodzenie zostały wyparte przez Oświecenie, a po Wieku Oświecenia nadszedł okres liberalizmu. Jest on ostatnim ze znanych historykowi, ponieważ jedynie w tym procesie następstwa i wśród tych przeobrażeń ostała się tradycja, dzięki której żyjemy jeszcze dziś, chociaż w zmienionych warunkach, proporcjach, perspektywach i akcentach, myślami dziełami i uczuciami Greków i Rzymian, Kościoła Średniowiecznego i Humanizmu, Odrodzenia i Wieku Oświecenia. One to są ciągłymi podnietami dla duszy i wyrzeczenie się którejkolwiek z nich musielibyśmy odczuć jako bolesne i hańbiące kalectwo. Taki jest żywy sens jedności tkwiącej w postępie, zachowawczości w nowatorstwie. Koniec cywilizacji, o którym się ostatnio tak chętnie mówi, cywilizacji wogóle, nie jest tedy podniesieniem tradycji na wyższy poziom lecz jej zerwaniem, oznacza ustanowienie barbarzyństwa, i nadchodzi wtedy kiedy natury dzikie i podłe, które choć trzymane na uwięzi istnieją przecież w każdym społeczeństwie, nabierają w pewnej chwili rozmachu i wigoru, aby nakoniec przeważać i zapanować. One to niezdolne do rozwiązania w sobie problemu istniejącej cywilizacji przez podniesienie jej na wyższy poziom, odrzucają ją, i nie tylko uciskają i prześladują ludzi, którzy są jej uosobieniem, ale wąż się nawet niszczyć dzieła, będące przecież podnietą do nieustannego wzbogacania kultury, burzyć pomniki piękna, systemy myśli i wszystkie świadectwa wspaniałej przeszłości, zamykać szkoły, plądrować i palić muzea, biblioteki i archiwa, i czynić rzeczy, które widzieliśmy i ciągle jeszcze obserwujemy; obojętne zaś czy powoduje nimi głupota i niedbalstwo, czy bezmyślna radość niszczenia, czy też chłodna premedytacja. Przedstawiciele cywilizacji i ci wszyscy którzy chcieliby ciągnąć dalej, lub na nowo podjąć ich dzieło, zostają zepchnięci i pozbawieni możności działania, choć duch ich nie poddaje się jeszcze i trwa w nieugiętości. A przecież mógłby to uczynić zwracając się, w chwili rozpaczki ku samemu sobie, ku własnemu życiu, które staje się wtedy już tylko zwykłym oczekiwaniem śmierci. Nie trzeba szukać przykładów na to aż w przeszłości. Nasze czasy dostarczają ich tyle, że nie zdołaliśmy jeszcze otrząsnąć się dokładnie ze zgrozy.

Ale jeśli się chce opanować te fakty myślą i zrozumieć je, jeśli się ma wolę stawienia im czoła i walki z nimi, to trzeba pohamować swój wstręt i spojrzeć na nie nie jak na rzeczy nienaturalne, lub jak na dzieło szatana, ale wytłumaczyć je jako nieodłączne składniki życia. Nasi dawni historycy jak Nicola Macchiavelli, wiedzieli i głosili, że sprawy ludzkie zależą od dwóch potęg, od Fortuny i od Cnoty. Było to powiedzenie, nieco uproszczone, ale odpowiadało prawdzie. Wystarczy tylko pogłębić je i sprowadzić do innego dualizmu, do tężyzny życiowej i mocy moralnej, do dwoistego porządku sił: życiowych lub organicznych i moralnych, z których każda podlega tylko swoim prawom, ale żadna nie może obejść się bez drugiej i nie jest zupełnie samodzielna — i choć jedną z nich nazywamy w przenośni materialną lub naturalną, a drugą duchową,

w rzeczywistości obie są duchowe, tworząc razem jedność duchową, jedność dynamiczną i dialektyczną, która źródła swego różnicowania ma w sobie, a nie poza sobą, i w sobie też a nie poza sobą zawiera przeciwieństwa, dzięki którym rozwija się jej życie. Czyż mamy prawo przeklinać i potępiać sposoby i procesy dzięki którym uformował się, trwa i coraz to zmienia swoje oblicze na skutek wstrząsów, wybuchów wulkanicznych, powodzi i potopów, nasz glob ziemski, bez którego przecież nie istniałyby ani cywilizacja ludzka, ani sam człowiek? Albo czy mamy prawo przeklinać i potępiać drogi, na których powstają wielkie organizmy narodów i państw, choć są nimi wojny, zniszczenia, podboje i przemoc silniejszego, osiągnięta w sprzyjających okolicznościach, lub dzięki przyrodzonym zdolnościom? Z tych właśnie działań rodzaju ludzkiego wynikają wszelkie cierpienia i nieszczęścia, bez których nie powstałyby na świecie dzielność, dobroć, poświęcenie, heroizm i wolność, a więc to wszystko co miłujemy jako wzniosłe i czcimy jako boskie, co jest materią, którą nowa forma uszlachetnia i przewycięża; wszystko co wzrusza nas i podnosi w poezji, począwszy już od pierwszej wielkiej poezji naszej cywilizacji europejskiej, od pieśni homeryckich i tragedii greckich, przepelnionych niepokojem i rozpaczą, wśród których kształtują się postacie Hektora i Priama, Edypa i Antygony; jakże rozjaśnia nas prawda zagadnień filozoficznych Heraklita i Sokratesa, Platona i Arystotelesa; słowem to wszystko, z czym nie rozstajemy się nigdy jako z największym skarbem naszych dusz. Skarb ten, który stale gromadzimy, może się także zatracić, i zatracić się istotnie w części lub w całości; ale pozostaje jednak pomimo wszystko naszym skarbem; jeśli go zaś pragniemy, musimy przyjąć to także co go rodzi. Tylko naiwni mogą przypuszczać, że czynnik moralny działa w nas samodzielnie, gdyby tak bowiem było, nie miałby nic do działania; odwracać się od prawd życia, aby uniknąć potknięć i ciosów, których nie oszczędzają nam konieczności i wymagania spraw określanych jako naturalne, lub związane z działaniem ciała, byłoby rzeczą prostacką, jeśli nie wręcz absurdalną. Życie bowiem organiczne nie oczekuje naszego przyzwolenia, aby poczuć się w prawach i dać znać o sobie. Żądanie, aby ciało ludzkie podlegało prawom moralnym tyleż ma sensu, co wymaganie aby moralność słuchała praw ciała; my zaś którzy przyznajemy poezji prawa odrębne od praw filozofii, a etyce odrębność od poezji i filozofii, nie możemy wymagać aby wojna, polityka i ekonomia, rozporządzając siłami witalnymi człowieka, słuchały praw poezji, filozofii i etyki. Bo i jak? Dziedziny te są tak autonomiczne i pierwotne, że obowiązek moralny nakazuje jednostkom z reguły służyć wiernie i bez zastrzeżeń żywotnym potrzebom organizmów społecznych lub narodowych, do których przynależą. Żołnierz przecież bije się za swój sztandar, o nic nie pytając. Widzimy tedy, że ci sami przywódcy, którzy sprowadzili na inny naród wiele cierpień i zniszczeń otoczeni są wdzięcznością i szacunkiem nie tylko przez swoich rodaków, ale również i naród który od nich ucierpiał, uznaje w nich mężów umiejących wytrwać na posterunku, powierzonym im przez los; oskarżenie zaś o nieludzką przyjaźń można tylko w wypadku, kiedy to co uczynili było wynikiem zachłannej i nieprzewidywanej polityki.

Tym siłom żywotnym, które popchnęły narody na drogę prehistorycznych wędrówek, barbarzyńskich najazdów w pierwszych stuleciach Średniowiecza, podbojów Islamu, aby na koniec ujawnić się w wypadkach

których byliśmy i jesteśmy świadkami, przyznaje historia prawo do urzeczywistniania się poprzez krew i spustoszenie — i nie wzbudza to żadnych zastrzeżeń. Nawet religia zakazuje buntować się przeciwko opatrności Boga, który stworzył świat według najlepszych swoich ustanowień, a więc zgodnie z logiką i dlatego tworząc go uznał swoje dzieło za dobre. Wynika z tego logicznie, że Fortuna wkracza niespodzianie i rwie przedziwo Cnoty; stąd to wartościom moralnym życia zagraża stale niebezpieczeństwo. Czyżby ta oczywista prawda miała być dla nas ciągle nowością? Pewnie że jest to myśl, która gdyby kazala pamiętać o sobie na podobieństwo modlitwy strzelistej w każdym działaniu, na nic by się nie zdała i mąciłaby wszelkie nasze usiłowania, osłabiając nas i rozstrajając jak owe rymy świętego Filipa Nereusza, które szeptała do siebie nieustannie pewna pobożna królowa Neapolu: „Jesteś zdrowa, można, piękna... I co dalej?” — szeptała chyba po to, aby pamiętać, że lepiej jest wniebie niż na ziemi. Każde działanie przysstraja się w miłe mu obrazy i jak zakochany nie dopuszcza nigdy myśli, że miłość jego może i musi się skończyć, tak działający chce widzieć ciągle postępowanie swych prac, towarzyszy im, doglądając ich, upewniać się o osiągniętych celach, aby ponad rzeczami prostymi móc rozwiesić swój sen. Ale bardziej dojrzałe wychowanie moralne podtrzymuje tę świadomość niebezpieczeństwa aby uzbroić człowieka na czas ciężkich prób. Pesymista Leopardi z gorzkim sarkazmem zachęcał, aby spoglądając na jałowe zбочne niszczycielskiego Wezuwiusza, gdzie kwitnące niegdyś miasta pochłonęła ognista lawa, rozmyślać jak opiekuńcza natura troszczy się o rodzaj ludzki, drobnym wstrząsem obracając na nice jego część, i grożąc mu nieustannie zupełną zagładą. Potęga natury była natomiast dla Hegla dowodem, że wszystko co tworzymy i posiadamy, każde istnienie jest przypadłościowe, a więc kruche i śmiertelne; potęga państwa więc łączy się u niego z etycznym sensem wojny, który przywraca narodowi zdrowie moralne, unaczniając im nietrwałość rzeczy skończonych, i chroniąc je przed zgnuszeniem i rozkładem w atmosferze wiary w nieprzerwany pokój — tak jak wiew wiatru chroni wody przed zatraceniem.

W tym dowodzie rzeczowym nietrwałości wszelkich spraw, śmiertelności każdego stworzenia, nietknięta pozostaje, a nawet błyszczy jeszcze jaśniej swoją nieskończoną mocą, wbrew Fortunie, Cnota, potęga myśli, wyobraźni, działań praktycznych i moralnych. Ona to, pokonawszy chwilowe zblakanie podejmuje w coraz to nowych warunkach swój trud, zachowuje ile można z minionych dziejów i w głębi samej siebie odnajduje przeszłość, ponieważ człowiek będąc dziełem historii nie może się nigdy od niej wyzwolić, nie przestając być człowiekiem; akt przewyciężenia w sobie przeszłości jest prawdziwą treścią tego, co nazywamy postępowaniem, i spełnia się nieustannie w człowieku wiecznym, a przezeń w społeczności ludzkiej. Maximus, biskup Turynu, podnosił spokojnie na duchu obywateli Mediolanu, którym Atylla zniszczył domostwa i spalił kościoły, wzywając ich aby pojęli, że Bóg oddał w ręce nieprzyjaciół „non civitatem quae in vobis est, sed habitacula civitatis, non ecclesiam suam, quae vera est ecclesia, sed receptacula ecclesiae”; ale że lud Mediolanu i jego biskup, chociaż w lęku i smutku „tamen in libertate perdurabat”. Ow dom, ów kościół idealny, który jedynie jest rzeczywisty, człowiek posiada zawsze, i w nim wyłącznie żyje godność ludzka. Czegóż więcej żądać można od człowieka? Historia odnajduje swój

sens w etyce. Tym niemniej, człowiek który przyjmuje śmierć, a nawet tęskni do niej pod koniec pracowitego życia, niechętnie godzi się z myślą o końcu cywilizacji, w której się urodził, wychował, pracował, kochał i cierpiał. Chciałby, aby ten świat przetrwał dla ludzi, którzy go przeżyją, lub przyjdą po nim. Chciałby mieć pewność, że nie zginą nigdy wszystkie dzieła sztuki, stworzone przez genialnych artystów, wszystkie książki, zawierające drogie mu prawdy, wszystkie instytucje, do których się przywiązał. Tym bardziej rośnie niepokój, tym bardziej szarpie troska, im więcej jest twórców kultury, które zamknął w swojej piersi. To prawda, że historia opowiada mu o niezmiernych stratach jakie poniosła ludzkość: o wybitnych dziełach greckich i rzymskich, z których ocalały jedynie nazwy; o takich, z których pozostały zaledwie fragmenty, na próżno wzbudzające chęć poznania; o takich, które prawie cudem dotarły do nas w jedynym zachowanym kodeksie; a wreszcie o malowidłach, posągach i budowlach, które niegdyś słynęły z piękności, o ładzie prawnym, który po wiekach dopiero i z jakim wysiłkiem na nowo przywrócono. A jednak w przerwach, wolnych od działania sił niszczycielskich, kiedy cywilizacja snuła, lub na nowo podejmowała przerwana nić, w przerwach, które wbrew sporadycznym zaburzeniom trwały setki a nawet tysiące lat, powstała jakaś całość, nazywana „historią powszechną”. W niej to widziano początek, rozwój i koniec wszystkiego, ostateczne spełnienie ziemskiej i nieziemskiej doskonałości, z niej także zrodziło się złudzenie, że cywilizacja ludzka jest nawarstwieniem, do którego zmierza i w którym się dopełnia wszechświat, wsparty o naturę jak o podnózek. Niemałego

trudu wymaga dojrzeć inną wizję cywilizacji ludzkiej i przyrównać ją do zrodzonego na twardej skale kwiatu, który wyrwa lub przygniata burza; wartość cywilizacji bowiem polega nie na wiecznym jej trwaniu, ale na nieśmiertelnej sile ducha, który ją ciągle odradza i natęża. Nasz więc lęk o koniec dzieł sztuki, pomników prawdy, trwałych i mądrych urządzeń i obyczajów życia, niczym się nie różni od niepokoju po utracie drogich nam osób, kiedy smucąc się niesłusznie, buntujemy się przeciwko nieuniknionemu losowi i wyrażamy w ten sposób nie co innego jak miłość dla tych, którzy odeszli, miłość, która przyzwyciężyła śmierć. I błogosławione jest w nas działanie tej siły.

Jak już wspominałem, rozważania te nie kryją w sobie żadnego celu praktycznego, jakiejś *praeparatio* do zrezygnowanego oczekiwania nadchodzącej i niepokonalnej barbarii, ale są jedynie troską o teoretyczne zorientowanie myśli historycznej, co nie jest przecież bez znaczenia. W praktyce, znamy swój obowiązek: walczyć na swoim posterunku *pro aris et focis* o nasze kościoły i nasze domy, bronić ich do upadłego. Rozpadną się? Ocaleją w części, czy w całości? Próżne to pytania skoro odpowiedź na nie nie zależy od żadnej ze stron walczących, ale od biegu walki, który jest ponad nimi. Ale nawet w najgorszym wypadku, postawa nasza jest jasna, gdyż tylko ona jedna nie obniża pełni życia duchowego człowieka i odwraca się od kalekiej i nikczemnej zasady przeżycia za wszelką cenę. Ta postawa — jak już powiedziałem wyżej — wynika z jednorodności procesu historycznego i prawdy etycznej. (1946).

Z upoważnienia autora przełożyli z włoskiego
GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI
WŁODZIMIERZ SZNARBACHOWSKI

O SOCJALIZMIE CHRZEŚCIJAŃSKIM

Trzymam w ręku książkę, oprawną w marokinywólskórek, której tytuł brzmi solennie — „Doctrine de Saint Simon. Exposition. Première année. 1829. Paris 1830”. To o tej książce mówi stenograficzny list Mickiewicza do Leonarda Chodźki z 28 lipca 1831, zawierający prośbę: „Oddaj ją Szanownemu Jańskiemu, którego przeproszę, żem bez pożegnania wyjechał”. To zapewne z tej książki, pożyczonej od Bohdana Jańskiego, pierwszego polskiego saint-simonisty, dowiedział się Mickiewicz, bodaj po raz pierwszy — o socjalizmie.

Słowo „socjalizm” zresztą nie występuje jeszcze na stronicach tego staroświeckiego woluminu. Było ono wtedy słowem ledwie narodzonym, niejako uczyło się samego siebie, dopiero zaczynało się oswajać ze swoim istnieniem. Ale odpowiadająca mu treść, wśród emocji i myśli — rósł szybciej, stawał się rzeczywistością coraz powszechniej widoczną i powszechniej dostrzeganą.

Sam Mickiewicz użyje tego nowotworu i nada mu wydźwięk pełny na swój czas i wydźwięk prawie proroczy na czas przyszły w trzech artykułach „Trybuny Ludów” (z 15, 17 i 20 kwietnia 1849). Lata zamknięte między tą chwilą, kiedy „od Szanownego Jańskiego” pożyczał wykład nauki Saint Simona i tą drugą, kiedy sam stawał w szeregach wyznawców socjalizmu — są to lata niezmiernie ważne. Okres: 1831-1848, okres paryskiego wygnania Mickiewicza, jego europejskiej edukacji i chrześcijańskiej ascezy, patosu patriotycznego i społecznego rozbudzenia, jest to czas, w którym słowo socjalizm zaczyna wchodzić w obieg coraz szerszy, w użycie coraz bardziej ogólne. Więcej: jego treść przestaje być tylko treścią intelektualną, bytem czysto duchowym, staje się konkretnością społeczną i polityczną.

Na wyspach brytyjskich trzeźwy marzyciel Robert Owen jest już po swoich szczęśliwych, głośnych eksperymentach w szkockim Lanarku i po nieudanych próbach zakładania gmin komunistycznych. Ruch „czartystów”, pierwszy wielki narodowy ruch robotniczy, osiąga wtedy pełne natężenie. We Francji, dochodzi do pełni rozkwitu saint-simonizm ze wszystkimi schizmami, rozszczępieniami, skrajnościami i obok niego fourrieryzm — stanowiące razem najszlachetniejsze, najbardziej poetykie marzycielstwo, socjalne. Ale jednocześnie w rewolucji lutowej 1848 socjaliści idą na czele, wchodzą do rządu rewolucyjnego, w Zgromadzeniu Narodowym z ich ramienia zasiadają między innymi — Victor Considérant i Pierre Leroux. W Niemczech pośród ciemności zaczynają drgać dwa wspaniałe mózgi młodych, nikomu nieznanych ludzi: Marxa i Engelsa, którzy z czasem utworzą jedną z najbardziej osobliwych wspólnot, małżeństw intelektualnych zgodnych idealnie i zadziwiająco płodnych.

W ciągu tych lat Mickiewicz przechodzi własną, niezmiernie żmudną, stromą, groźną drogę nad przepaściami: od największego zbliżenia, zespolenia się z życiem do mistycznych uniesień, od siermiężnej służby społecznej do klasztornej wyrzeczenia się świata, od najwyższego wlotu narodowego do europeizacji. W tym czasie mieszczą się przecież i „Dziadów Część III” i „Księgi narodu polskiego” i „Pan Tadeusz” i redakcja „Pielgrzyma Polskiego” i chybiona próba pisania historii Polski i kurs wykładów w Collège de France,

i towiańszczyzna, i legion włoski, i patetyczne dziennikarstwo w „La Tribune des Peuples”.

Przez cały ten okres Mickiewicz ma wyraźnie czynny stosunek do zjawiska, które narasta i wiruje w otaczającej przestrzeni. W artykule „O bezpolitykowcach i polityce „Pielgrzyma” z 19 maja 1833, wspomina „Sęsymona” w wymownym kontekście, mówiącym o „czynach albo słowach i myślach, które rodzą czyny”. W odczycie „O duchu narodowym”, wygłoszonym w listopadzie 1832, znajdzie się wzmianka o Owenie i przewodcy angielskich „filozofów radykalnych” Benthamie. Po latach w „Trybunie Ludów” z 20 kwietnia 1849 Mickiewicz napisze: „Nous avons étudié les doctrines des maîtres du socialisme, avec tout le respect dû aux efforts d'esprits entreprenants et convaincus; car, dans chaque entreprise de spiritualisme et de conviction, il y a une pensée de révélation divine”.¹⁾

Uważne wczytanie się w wykłady paryskie wskazuje, jak to studium było rozległe, szczegółowe, intensywne. Ilość przytoczeń, napomknęć, ocen wskazuje miarę zainteresowania i stopień orientacji w świecie narastających idei. Także okres mistyczny, zwłaszcza późniejszy, naznaczony przewyciężeniem wiernopoddanej uległości Towiańskiemu, daje się powiązać z odbywającym się wokół ruchem myślowym. Jego echo zabrzmi nawet w „Składzie zasad”, ułożonym dla legionu włoskiego. Wreszcie własne stanowisko Mickiewicza znajdzie wyraz ostateczny, doskonale klarowny w artykułach napisanych dla „Trybuny Ludów”.

W tym stosunku czynnym do rodzącej się, przetwarzającej, różnicującej myśli społecznej Mickiewicz nie jest odosobniony. Jest tylko — jak we wszystkim — reprezentatywny, wzorcowy, ponadprzeciętny, jakby ponadnormalny. Stosunek przyswajający i przetwórczy, współbrzmiający i współczynny cechuje całą Wielką Emigrację.

Z tego odniesienia się do otaczającej atmosfery kulturalnej wzięło początek wiele przedsięwzięć mniej lub więcej trwałych, mniej lub więcej dalekosiężnych, których dziś nie podejrzewa się o taki rodowód. Zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego — jedyny zakon polski z rodu — wyszedł ze źródeł pierwotnego socjalizmu, łączy się nim bezpośrednio przez takich ludzi, jak ex-saint-simonista Bohdan Jański i ex-fourrierysta Piotr Semeniński, zawdzięcza mu zapewne niejedną ideę i na pewno cały klimat moralny. Pierwsza polska organizacja proletariacka, założona na ziemi angielskiej przez Stanisława Worcella pod nazwą „Lud Polski” da się związać z inspiracjami Bucheza. W „Piśmie Towarzystwa Demokratycznego Polskiego” wiele miejsca zajmuje przyswajanie i interpretacja rodzących się pomysłów socjalnych: w jednym z numerów znaleźć można streszczenie nauki Leroux, w innym Cabeta. Ten ostatni miał w Ludwiku Królikowskim gorliwego wyznawcę i głosiciela, przez osobne pismo „Polska Chrystusowa” propagującego naukę mistrza.

(1) Przystudiowaliśmy nauki mistrzów socjalizmu z całym szacunkiem, który należy się wysiłkom umysłów pełnych przedsiębiorczości i przekonania, ponieważ w każdym przedsięwzięciu, płynącym z uduchowienia i głębokiego przeświadczenia, objawia się myśl Boża.

Nie jest celem niniejszych uwag szczegółowe wysświetlenie tych powiązań i wysledzenie polskich przetworzeń choć jest to praca niewykonana i napewno interesująca. Uwagi te wychodzą z innego założenia: w równej mierze historycznego i — ściśle aktualnego. Po obrocie stu lat znajdujemy się my, nowa polska emigracja polityczna, w punkcie osobliwym, jakby w punkcie domknięcia się koła. Cały, z górą stuletni, rozwój socjalizmu sprowadził go szerokim zakolem, dalekim manowcem, znowu w to samo miejsce, w którym Mickiewicz chłonał jego idee, krytycznie je przetwarzał i twórczo rzutował w przyszłość. I to jest właściwe przeznaczenie tych rozważań: zobaczyć zjawisko w tej głębokiej perspektywie historycznej, niepozabawionej własnych, polskich elementów czucia i widzenia rzeczy, własnych, polskich ujęć i formuł.

Chwila, która zrodziła socjalizm XIX stulecia, do złudzenia przypomina chwilę dzisiaj przez nas przeżywaną. Była to chwila bolesnego rozczarowania Wielką rewolucją francuską. Już spiszek Babeufa w r. 1796 stanowił wyraz protestu przeciw temu, że zawiodła ona oczekiwania „rzeczywistej równości” — był rewolucją w rewolucji. W r. 1802 ukazała się pierwsza książka Saint Simona („Listy genewskie”), w 1808 pierwsze dzieło Fourriera. Odtąd, z roku na rok, z jednego dziesiątka lat na drugi, narastała powszechność przeświadczenia, że ustroj społeczny wymaga dalszej, czy właściwej przebudowy. Ta fala, na największym swoim wzniesieniu, zagarnęła polskich emigrantów polistopadowych.

Niebawem takiemu odczuciu zjawisk jeszcze bardziej dotkliwie, naglącej wymowy przydała angielska rewolucja przemysłowa: po raz pierwszy ukazała ona naocznie, że postęp techniczny nie oznacza nieuchronnego postępu życia, automatycznego przyrostu wartości moralnych.

Ten rodowód socjalizmu z rozczarowania, tę klęskę Wielkiej rewolucji w stworzeniu „społeczeństwa i państwa rozumu” stwierdza w sposób autorytatywny i niewolny od „Schadenfreude” Engels w klasycznej, aż nad miarę głośnej rozprawie „Socialisme utopique et socialisme scientifique”, która ukazała się wprzód po francusku w r. 1880 i była wyciągiem z olbrzymiej polemicznej kolubryny: „Herren Eugen Duhring's Umwälzung der Wissenschaft” (1878). Dziś bez wątpliwości i bez owego odwetowego rozradowania musimy stwierdzić całkowitą klęskę rewolucji komunistycznej w dążeniu do społeczeństwa i państwa sprawiedliwości socjalnej.

Na drugim krańcu rzecz wygląda tak samo. Zaczęta w ubiegłym wieku rewolucja przemysłowa trwała pełne sto lat, natężała się bez przerwy, rosła w górę i rozprzestrzeniała się na nowe kraje i nowe kontynenty, by wylądować u skraju otchłani, genezyjsko kłębiącej się wyzwoloną energią atomów.

Świadomemu Europejczykowi musi się narzucić pytanie: dlaczego po raz drugi na rozstępie nie wiele więcej niż stu lat, powtarza się ta straszliwa, krwawa, kosztowna deziluzja? Czy błąd był w punkcie wyjścia, czy w drodze, która nieuchronnie doprowadziła do mety powtórnego rozbicia złudzeń, sponiewierania ideałów, zawodu nadziei?

Do odpowiedzi na to pytanie pożyteczne jest cofnięcie się w epokę sprzed stu lat, w której Polacy, naznaczeni tym samym losem co my, nachylali się — po raz pierwszy może w tym zakresie i z tym napięciem — nad sprawami społecznego kształtu świata. Nie wdając się w bliższy rozbiór nauk wczesnego socjalizmu, moż-

na zaryzykować twierdzenie, że wszystkie one miały charakter religii społecznej.

Saint Simon reprezentował dążność centralistyczną w planowaniu ustroju społecznego. Fourier marzył o samorządzie komunalnym jako o jego formie wzorcowej, ale obaj, ich współcześnicy, i ich następcy wychodzili z religijnego, chrześcijańskiego pojmowania życia. Poprzez wizję Saint Simona — arystokraty z pochodzenia, epigona jednego z pierwszych rodów francuskich — zdaje się przebijać dośrodkowy, hierarchiczny ustroj Kościoła. U Fourriera występuje jakby świecki ideał klasztorny: „falanster” jest przecież komuną klasztorną, w istocie niebardzo różną od benedyktyńskiej czy cysterskiej. Saint Simon nazywał przyszły kształt istnienia zbiorowego „nowym chrześcijaństwem”, marzył o przywróceniu jedności religijnej, rozerwanej przez reformację. Główne dzieło Cabeta nosi tytuł „Le vrai Christianisme”. Wspólna cecha tego okresu jest przekonanie, że odmiana życia, w szczególności jego przebudowa gospodarcza dokona się przez rozszerzanie idei i postęp moralności społecznej. Idąc po tej linii fourrierysta Villegarde w „Histoire des idées socialistes avant le révolution française” (1846) usiłował w starożytności i średniowieczu śledzić wyprzedzenia, zarodki, wcześniejsze formy rozwojowe socjalizmu.

Ten pierwotny ruch socjalistyczny został zahamowany z dwu stron: od strony kościoła i od strony myśli filozoficznej, przeciwnej Kościołowi i chrześcijaństwu.

Kościół nie dostrzegał w tym ruchu reakcji antyrewolucyjnej. Przykład tego przeoczenia stanowi stosunek do księdza de Lamennais. Papież Grzegorz XVI, ten sam, który potępił powstanie listopadowe, potępił jego naukę zdążającą do włączenia religii, jako siły moralnej, Kościoła jako instytucji, w nurt przebudowy, życia społecznego. Książki Lamennais'ego, w szczególności słynne „Paroles d'un croyant”, popadły pod klątwę, on sam w końcu wyszedł ze społeczności kościelnej i umarł jako człowiek niewierzący. Ten przypadek pozwala łatwiej zrozumieć znalezienie się kursu prelekcji Mickiewicza na indeksie, jego starcie z papieżem w czasie audjencji rzymskiej w r. 1848 i gwałtownie antypapieskie artykuły, gorzkie diatryby przeciw „kościółowi urzędowemu” w „Trybunie Ludów”.

Jednocześnie, bodaj nie bez związku z tą postawą Kościoła, w obrębie ruchu reformistycznego zaczęły narastać siły zasadniczo wrogie chrześcijaństwu — przede wszystkim dwie: radykalizm filozoficzny w Anglii i lewica heglowska w Niemczech.

Filozofowie radykalni, których ojcem i prawodawcą był Bentham, odbarwili zagadnienie przemiany życia z koloru emocjonalnego, odebrali mu wszelki sens moralny. Utylitaryzm głoszony przez nich nie powodował się ani współzuciem do ucisnionych, ani nienawiścią do uciskających. Usiłował odkryć to, co jest dla wszystkich — pożyteczne. Sam Bentham określał chrześcijaństwo obelżywym przezwiskiem „Juggernaut”, zaczerpniętym z barbarzyńskiej liturgii hinduskiej, z kultu Kriśzny. Jego wyznawcy umownie używali między sobą zamiast słowa „christian” — słowa „juggical”.

Rozłam po śmierci Hegla w r. 1830 pchnął lewe skrzydło szkoły do konsekwencji już nie tylko antychrześcijańskich, ale w ogóle antyreligijnych. Feuerbach po prostu postawił rzecz na głowie, powiadając, że nie Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, ale że to człowiek stwarza Boga — takiego, na jakiego go stać. On to stał się wiązaniem między Heglem a Marxem.

Taka była, z gruba biorąc, atmosfera, pod której działaniem w połowie wieku załamała się linia socjalizmu pierwotnego. Zewnętrzny wyraz tego załamania stanowił „Manifest komunistyczny” Marxa i Engelsa, ogłoszony w r. 1848 — dokument młodzieńczej furii, ładunek olbrzymiej siły przebojowej. „Socjalizm chrześcijański — mówił ten manifest — jest tylko święconą wodą, którą klecha pokrapia gniew arystokratów”. Od jednego rzutu rozwiązywał największą trudność zagadnienia: „Nic łatwiejszego — twierdził z lekkomyślną pochopnością — nad zaciągnięcie socjalizmu barwą chrześcijańskiej ascezy”.

Nie wiem czy Mickiewicz znał manifest, pisząc swoje artykuły w „Trybunie Ludów”. O ile mi wiadomo sprawa ta nie jest wysświetlona. Było by ponętne przypuścić, że go znał. Nie jest to niemożliwe, wydaje się nawet bardzo prawdopodobne, jeśli się zważy związanie Mickiewicza z Lelewelem i kontakty z Brukselą, gdzie pod okiem jego mistrza uniwersyteckiego z czasów wileńskich ten manifest się rodził. Jeśli by się przyjęło taką możliwość, trzeba by stwierdzić, że Mickiewicz świadomie przeciwstawił się jego sformułowaniu. Że został przy socjalizmie pierwotnym. I że jak zawsze, broniąc tradycji, wyrósł z niej — w przyszłość.

Ale na razie „Manifest komunistyczny” był przełomem. Ten przełom Engels określił w przytoczonej rozprawie jako przejście od socjalizmu utopijnego do socjalizmu — naukowego. To określenie dziś powszechnie przyjęte jest arbitralne, demagogiczne i anachroniczne.

Prawda, że Engels, pracując w fabrykach angielskich, jako przedstawiciel swego ojca, nadreńskiego fabrykanta zaczął pierwszy obserwować i analizować konkretne fakty gospodarcze. To prawda także, że ta obserwacja i krytyczna analiza stała się podstawą teoretyzowania Marxa, w które wszedł także dorobek socjalizmu utopijnego: teoria walki klas, zaznaczona przez Blanca, teoria nadwartości ujęta przez Tompsona i teoria materialistycznego pojmowania historii, którą w pełni zarysował Pecquer. Ale Engels i Marx nie to mieli na myśli, uzurpując dla swego widzenia rzeczy dumny określnik: „naukowy”. Obu wydawało się, że zastosowawszy dialektykę heglowską do procesów gospodarczych, odkryli niezłomne prawo przyrodnicze, że w ten sposób doktryna ich przestała być konstrukcją myślową, hipotezą roboczą, a stała się — „nauką”.

Byli w tym synami swojej epoki. Składali w ten sposób wyznanie wiary we wszechmoc nauki w jej moc ogarnięcia całości bytu, sprostania wszystkim nasuwanym przezeń problemom, trudnościom, zawiłościom. Edward Bernstein już w r. 1901 powątpiewał „Wie ist wissenschaftlicher Sozialismus möglich?” i taki tytuł nadał swojej młodzieńczej rozprawie. Ortodoksyjny marksista Plechanow musiał się mozolić odpięciem tych wątpliwości we wstępie do trzeciej edycji rosyjskiego przekładu broszury Engelsa (wstęp ten jest zawarty w jej drugim czy trzecim z kolei tłumaczeniu polskim, wydanym przez B. Jędrzejewskiego w r. 1911).

Dla nas nie ulega już żadnej wątpliwości, że socjalizm marxo-engelowski jest także socjalizmem utopijnym; między formacją poprzednią a nim zachodzi tylko różnica stopnia i kierunku. Triumfalne zakończenie rozprawy Engelsa brzmi dziś równie utopistycznie, jak zakończenie „Ikarii” Cabeta. W świetle dzisiejszego stanu badań nad materią megalomania Marxa, odkrywającego dogmatyczne, niewzruszalne prawa rozwoju ekonomicznego, niewiele różni się od śmiesznej mega-

lomanii Fourriera, któremu majaczyło się, że dokonał odkryć socjologicznych, równych odkryciom przyrodniczym Keplera i Newtona. Subtelna dialektyka materializmu dziejowego jest dziś takim samym „prawem”, jak dzieciennie prymitywne „prawo ciężenia moralnego”, które Fourriera przypisało o złudny wstrząs objawienia.

Można dziś raczej mówić o socjalizmie idealistycznym i materialistycznym. Doktrynę Marxa i Engelsa można by z większą ścisłością i słuszością nazwać socjalizmem technicznym lub socjalizmem ekonomicznym. Technicznym dlatego, że uważa narzędzia wytwarzania za faktor pierwszy, że przyjmuje nieograniczoną technicznego opanowania świata, technicznej komplikacji życia. Ekonomicznym dlatego, że uznaje fakty gospodarcze jako pierwsze, pierwotne, wyjściowe, wierzy, że wyłącznie one warunkują bieg myśli, charakter uczuć, gatunek idei, słowem: cały rozwój historyczny.

W dalszym ciągu tych uwag będziemy jednak używać terminów: utopijny i naukowy, jako już przyjętych. To co tu powiedziano na temat krytyki tych terminów, wystarczy, aby sobie wyrobić pogląd na stosunek jednego do drugiego.

Marxizm jest w istocie mitologią materialistyczną. Upraszcza ona, okalecza człowieka, przecza całe światy zjawisk dokonujących się w nim, całe zakresy odczuwanych przez niego potrzeb. Za Smithem mówi ciągle o „człowieku ekonomicznym”, usiłuje nie dostrzeżać człowieka duchowego, etycznego, metafizycznego. Brutalnie rozrywa integralność osoby ludzkiej.

We wspomnieniach „Jak zostałem socjalistą?”, Józef Piłsudski wyznaje z budującą szczerością: „Abstrakcyjna logika Marxa, oraz panowanie towaru nad człowiekiem, nie bardzo pasowało do mego mózgu”. Przyczyny tego nieprzystawania były bardzo złożone, ale nie mniej to wyznanie wydaje się znamienne. Równie znamienne jest we wspomnianej refutacji Plechanowa łatwa, czy bezradna ironia wobec argumentu, że „człowiek składa się nie z samego tylko żołądka, posiada jeszcze duszę, serce i inne drogocenne skarby”. Apologeta marxowski zbywa ten argument nic nie znaczącym określeniem „kombinacje sentymentalne” i po prostu — nie podejmuje z nim dyskusji.

Zaczęło tę dyskusję — samo życie. Zaczęło swoim obyczajem w sposób niedostrzegalny dla przeciwnika. Przeciw socjalizmowi stanął przede wszystkim nacjonalizm. I okazał się silniejszy, niż siły czysto gospodarcze: i to zarówno po stronie kapitału, jak po stronie proletariatu. Od tej słabości nie był wolny sam — Marx. W książce „Rewolucja i kontrrewolucja, czyli Niemcy w r. 1848” zajął on stanowisko niemieckiego nacjonalisty przeciw ludom, które dziś wchodzi w skład Jugosławii i Czechosłowacji.

Ta sprawa rozegrała się w sposób pokazowy na gruncie socjalizmu polskiego. W nim zderzenie i starcie dążności kosmopolitycznej, właściwej socjalizmowi z czuciem narodowym znalazło wyraz najbardziej gwałtowny i widoczny. Już Mickiewicz w wykładach paryskich powstawał przeciwko Buchezowi (zresztą sprzyjającemu Polakom i ich dążeniom niepodległościowym) za omijanie, czy niedocenianie „narodowości”. Przez lata była to sprawa ośrodkowa, dzieląca socjalizm polski, stanowiąca o jego żywotności.

Od Waryńskiego i pierwszego „Proletariatu” poprzez „Esdecję” do Limanowskiego i jego korespondencji z Dragomanowem odbywa się dyskusja na ten temat i wraz z nią walka organizacyjna, walka postaw i programów. Miała ona swoich nieprzejednanych i swoich

nawróceńców jak Kazimierz Dłuski, autor głośnego artykułu w szwajcarskiej „Równości” p.t. „Patriotyzm i socjalizm”: od przekonania, że „idea socjalizmu jest szersza i większa od patriotyzmu”, przeszedł on na stanowisko czynnie patriotyczne. Nie był to przypadek odosobniony, ale proces o szerokim zasięgu. W następstwie tego procesu, socjalizm naukowy, kosmopolityczny stał się w Polsce socjalizmem narodowym, sprzęgniętym z ideą walki o niepodległość. Jego czystość ekonomiczna, techniczna została naruszona przez partykularny faktor duchowy, sprzeczny z dogmatyczną solidarnością na gruncie materialnym.

Ten wylom jest dla nas najbardziej widoczny, ale nie był jedyny. Proces rewizjonistyczny odbywał się na rozmaitych płaszczyznach, rozmaitych polach, załamany był się w rozmaitych osobowościach.

George Sorel usiłował w syndykalizmie jakby uduchowić i uczłowiczyć naukę Marxa, usiłował ustalić stosunek człowieka do nowych form pracy, nie przeczyć jego roli czynnej i twórczej w tym zakresie. Mimo wszystkich jednostronności, pasji rewolucyjnej, furii antychrześcijańskiej, to on pierwszy postawił na porządku dziennym sprawę tej wartości, która jest nieobecna w deterministycznym procesie marxowskim, tej wartości, którą po latach Jacques Maritain nazwie pięknym, czystym słowem: „La personne ouvrière”.

Na innym planie, Edward Bernstein zabiegał o to, aby pogodzić materializm dziejowy Marxa z systemami idealistycznymi, przede wszystkim z Kantem, kładł nacisk na czynniki prawne i moralne w życiu zbiorowym.

Ważniejsze od tego wszystkiego wydaje się inne zjawisko: wytworzenie formacji narodowej, która na odmienny sposób, z różnych motywów niż socjalizm polski jest socjalizmem antymarxowskim, na wskroś niedogmatycznym. Jest to socjalizm angielski: od „Fabian Society”, grupy demokratycznych socjalistów, głoszących „konieczność stopniowości” — do dzisiejszej „Labour Party”. Jeden z jej przewodców, MacDonald, napisał przed laty: „Socialism is a tendency, not a revealed dogma”²⁾ co z punktu widzenia marxizmu jest zwykłą herezją. Heretyckość tego stanowiska wyjaśnia kontynentalnemu zdumieniu, dlaczego katolicy wierzący i praktykujący mogą być i są członkami brytyjskiej „Partii Pracy”.

Marx urobił sobie widzenie świata na podstawie Anglii czwartego dziesiątka lat ubiegłego wieku, w Londynie napisał swój „Kapitał”, ale Anglia jest najmniej — marxistowska. I rewolucja wybuchła nie w tym kraju, pierwszej, przez długi czas największej, mechanizacji i koncentracji środków wytwarzania, ale na przeciwnym biegunie geograficznym i rozwojowym w Rosji, w kraju nieuprzemysłowionym i społecznie nieświadomym. Tam dokonuje się eksperyment, oczywiste przeczący literze marxowskiego objawienia. Tam wzbiera dynamika, sprzeczna ze wszystkim, z czego wyrosła nauka Marxa i do czego dążyła, czemu zawdzięczała powstanie i możliwość urzeczywistnienia w życiu.

Można powiedzieć, że powtarza się w tej chwili, na olbrzymią skalę przypadek socjalizmu polskiego w XIX wieku. Ortodoksyjni, kosmopolityczni socjaliści przeczyli wtedy organiczności narodu, propagowali wyzwolenie z uczuć patriotycznych i w ten sposób torowali drogę wchłonięciu przez zaborczy organizm nacjonalistyczny. Dzisiejsi marxiści leninowskiego pomazania, zaprzeczają organiczności kultury, forsują wyjście z

kręgu cywilizacji chrześcijańskiej, planują zniesienie tej cywilizacji z powierzchni ziemi. W XIX wieku marxizm wyzywał poczucie narodowe, dziś wyzywa europejską, zachodnią chrześcijańską świadomość kulturalną, uderza w jej podstawy i godzi w sam jej rdzeń.

I to jest kres ostateczny. W tym miejscu i w tej chwili dokonywa się domknięcie koła rozwojowego. To, co się dzieje w Rosji, nie jest socjalizmem w sposób tak oczywisty, i uderzający oczy i raniący poczucie moralne, pozostaje to w całości poza obrębem pojęcia i dążenia, któremu na imię socjalizm. Wyszedł on z chrześcijaństwa narodził się z jego natchnień, karmił się jego mlekiem. W miarę rozwoju oddalał się od tego punktu wyjścia. W obecnym momencie wraca nieuchronnie do linii startu sprzed stu lat — mądrzejszy o doświadczenie dwu prawd że chrześcijaństwo nie może uchylić się od socjalizmu, że socjalizm może się urzeczywistnić tylko w obrębie kultury chrześcijańskiej. Wolno powiedzieć, że chrześcijaństwo i socjalizm tkwiły w sobie immanentnie od wieku — jeśli nie od wieków — ogarniały się sobą wzajemnie tak, że gdy ktoś mówił *a*, przyjmował konieczność *b*, i na odwrót. Ale musiało się zakreślić i zamknąć to olbrzymie, koło, musiał się odbyć ten obrót stu lat, aby socjalizm doświadczył, że oddalając się od chrześcijaństwa — przybliżył się do chrześcijaństwa. Że poza nim jest niemożliwy.

W chwili tragicznego rozbratu, którego znakiem zewnętrznym jest manifest 1848 roku, zjawily się po stronie chrześcijaństwa usiłowania, aby wyjść przeciw tej zblakanej fali.

Właśnie około tego czasu uczniowie Carlyle’a poprzez niego uczniowie Saint Simona: F. D. Maurice i Charles Kingsley (później, po latach niefortunny przeciwnik wielkiego Newmana) — zapoczątkowali „Christian Socialists Movement”. Stanowił on protest przeciw szkole manchesterskiej. Wyrażał się w „traktach” i artykułach podpisywanych „Parson Lot”, ale nie przybrał większych rozmiarów. Wiele zrozumienia dla spraw społecznych okazał katolicyzm angielski: osiemdziesięcioletni kardynał Manning, działający w „slumsach”, interweniujący w strajku dokowym z 1880 r. jest w tym figurą symboliczną. Ale i ta tradycja nie wzrosła na sile, nawet nie utrzymała się przy życiu. Może pamiątką po niej są katolicy w „Labour Party”.

Na terenie Niemiec, w okresie agitacji Lasalle’a, świat katolicki przyjął na krótko postawę czynną. Jej wyrazem była książka biskupa Kettlera: „Die Arbeitsfrage und das Christentum” (1864). Porteparole świata niekatolickiego był postępowy pastor Stoecker.

Ale w sumie były to usiłowania słabe, rozproszone, bez szerszego zasięgu i większego wpływu. Edward Westermarck w wielkim dziele „Christianity and Morals” stwierdza klęskę chrześcijaństwa wobec zagadnień społecznych i ekonomicznych: „In his conflict with God, Mammon has carried the day”.³⁾ Za Kościół katolicki wyraził to w szczerych, dobitnych słowach Leon XIII, autor encykliki „Rerum Novarum”: „Le grand scandale du XIX siècle est que l’Eglise a perdu la classe ouvrière” (przytoczono w książce Maritaina: „Christianisme et démocrate”).⁴⁾

Wielki buntownik i wielki wierzący Charles Péguy jest obrazem tego zderzenia socjalizmu antychrześcijańskiego z tradycją chrześcijańską. To można by uznać za

(3) W starciu z Bogiem, wziął górę Mammon.

(4) To, że Kościół wypuścił ze swego zasięgu klasę robotniczą, jest wielkim skandalem dziewiętnastego stulecia.

oś główną jego wstrząsającego dramatu ludzkiego i twórczego. Zaczyna się on od marxizmu, a kończy się misteriami, mistyką chrześcijańską i taką oto formułą socjalizmu, zawartą w „Notre jeunesse” (1910): „Une religion du salut temporel”.⁵⁾

Od śmierci Péguy na polu bitwy w roku 1914 — śmierci, w której jest coś z antycznego patosu i coś z egzaltacji pierwotnego chrześcijaństwa — narasta głucha świadomość, że rozwód między tym co duchowe i tym co materialne jest sztuczny, kaleczący, przeciwny Bogu i człowiekowi. Takiemu instynktownemu odczuciu towarzyszą rewelacje nowoczesnej fizyki, znoszące ten umowny podział, ujawniające przenikanie się materii i duchowości, otwierające perspektywy metafizyczne świata materialnego.

Jednocześnie staje się coraz jaśniejsze, że socjalizm jest ośrodkowym zagadnieniem naszych czasów, że to zagadnienie sprowadza się do wyboru między socjalizmem humanistycznym i antyhumanistycznym, zatroszczonym o los człowieka, jednostki ludzkiej, lub zatrającym jednostkę w bezształtnym kolektywie redukującym ją do roli biernej, bezwolnej drobiny. Jest to, jeszcze innymi słowami mówiąc, wybór między socjalizmem mieszczącym się w tradycji kultury zachodniej, albo mu zasadniczo i nieprzejednanie przeciwnym, socjalizmem demokratycznym i antydemokratycznym, chrześcijańskim i antychrześcijańskim.

Określenie: socjalizm chrześcijański nie oznacza nic innego, jak doprowadzenie chrześcijaństwa do pełnych konsekwencji praktycznych, jak urzeczywistnienie socjalizmu w obrębie kultury macierzystej, w jednym klimacie, w którym może on być sobą, może rosnąć, nie wyradzając się ani w twór karłowaty, ani w drapieżny, groźny dla człowieka koszar vegetacji tropikalnej.

Ta świadomość jest niewątpliwie obecna w socjalizmie angielskim, promieniuje z niego w sposób utajony i powściągliwy, znamieny dla kultury tego kraju. Tej świadomości dał wyraz stary socjalista z linii jaurésowskiej Léon Blum w propozycjach zmiany programu francuskiej partii socjalistycznej i w książce, sumującej doświadczenia życia: „L’échelle humaine” (w przekładzie polskim noszącej tytuł „Na miarę człowieka”).

Po drugiej stronie ostry wyraz tej narastającej samowiedzy stanowi Jacques Maritain. W cytowanej książce o chrześcijaństwie i demokracji pisze on: „L’effort pour affranchir le travail et l’homme de la domination de l’argent procède pourtant des courants ouverts sur le monde par la prédication de l’Evangile, comme l’effort pour faire reconnaître les droits de la personne humaine”.⁶⁾ Wynika jasno z toku jego myślenia, że zarówno ideał socjalistyczny, jak ideał demokratyczny, jest dla niego tylko „le nom profane de l’idéal de Chrétienté”.⁷⁾

Ale od tych wszystkich świeżych głosów bardziej świeży wydaje się głos Mickiewicza brzmiący przez odległość stu lat z kart „Trybuny Ludów”. Wydaje się bardziej dzisiejszy, niż głosy dziś się rodzące. Jaśniejszy niż budząca się świadomość.

Mickiewicz sformułował swój pogląd w związku z aktualną grą parlamentarną we francuskim Zgromadze-

(5) Religia zbawienia doczesnego.

(6) Wysiłek, aby uwolnić człowieka i pracę od władzy pieniądza, wywodzi się z prądów, otwartych na świat przez wskazania Ewangelii podobnie jak wysiłek, zabiegający o uznanie praw osoby ludzkiej.

(7) Świeckie nazwanie ideału chrześcijaństwa.

niu Narodowym, w którym po rewolucji 1848 roku, przez krótki czas brali też udział ówczesni socjaliści rodowodu fourrierowskiego. W jego stanowisku uderza ostra, dzisiejszą logiką, przede wszystkim dwa ujęcia rzeczy.

Pierwsze z nich dało by się odnieść n.p. do socjalizmu angielskiego. Stwierdza ono nieodpartą konieczność zapewnienia swobody ludom uciemżonym, ludom wdeptanym w ziemię, przemocą wydartym własnej tradycji życia i rozwoju — zanim zacznie się przetrwać i udoskonalać ustrój bytu zbiorowego w jednym kraju. — „Quand on parle de l’état de la société, on doit embrasser un horizon beaucoup plus vaste que celui de trente-huit milles communes de France. La question n’est pas seulement française, elle intéresse tous les membres de la grande famille humaine.”⁸⁾

Drugie sformułowanie, dające się zastosować do dzisiejszego socjalizmu katolickiego żąda postawy czynnej i czynnego działania, domaga się praktycznej opozycji, rozumnej i konsekwentnej walki politycznej. „Socialisme propose à ses ennemis un armistice honteux. Il leur abandonne le terrain de l’action. Il se résigne à souffrir et à prêcher et met l’esprit et le style de sa prédication au niveau de son auditoire. Il se fait immensément grand en esprit, et infiniment petit dans le monde politique.”⁹⁾

Mają aktualne brzmienie i prostotę zaiste klasyczną takie formuły:

„Le socialisme moderne n’est que l’expression d’un sentiment aussi ancien que celui de la vie, du sentiment de ce qu’il y a d’incomplet, de tronqué, d’anormal et, par conséquent, de ce qu’il y a de malheureux dans notre vie. Le sentiment socialiste est un élan d’esprit vers une existence meilleure, non pas individuelle mais commune et solidaire. Ce sentiment s’était révélé avec une force toute nouvelle, nous en convenons; c’est un sens nouveau que l’homme spirituel est parvenu à se créer, c’est une passion nouvelle”.

„Le socialisme tout nouveau qu’il est, à des désirs nouveaux et des passions nouvelles qui ne peuvent pas être compris des hommes de la vieille société, pas plus que le désir d’un jeune homme ne saurait l’être de l’enfance ni de la vieillesse retombée en enfance.

Le désir et la passion ne sont jamais négatifs; les désirs et les passions sont des affirmations de l’âme, comme les problèmes sont des affirmations de l’intelligence. Un dogme est une affirmation de l’âme dans le passé, un axiome est une affirmation de l’intelligence dans ce même passé. Un problème et un désir sont des affirmations d’une intelligence et d’une âme qui marche vers l’avenir. La société s’ensevelit dans les dogmes et les axiomes, elle renaît dans les désirs et les problèmes”.

„Le sentiment social ne pourra devenir une passion, une action et une vérité que lorsqu’il aura éclaté dans l’âme des hommes vraiment religieux et patriotes.

Les sentiments religieux et patriotiques sont la base du socialisme”.

(8) Gdy się mówi o położeniu socjalnym, należy ogarnąć widnokrąg nieporównanie bardziej rozległy, od 38.000 gmin Francji. Nie jest to sprawa wyłącznie francuska, obchodzi ona wszystkich członków ludzkiej rodziny...

(9) Socjalizm ofiarowuje swoim wrogom haniebne zawieszenie broni. Oddaje im pole działania. Poprzestaje na cierpieniu i prawieniu nauk i dostosowuje ich charakter i styl do poziomu swoich słuchaczy. Staje się niezmiernie wielki w duchu i nieskończenie mały w świecie politycznym.

„Nous sommes d'accord avec le socialisme toutes les fois quant il apparait comme développement du sentiment religieux et politique. Nous abandonnons aux théologiens et aux philosophes de métier la discussion de théories". 10)

Ma w sobie coś z ducha dążności integracyjnej, coś z ducha scalania na płaszczyźnie jednej koncepcji kultury określenie celu końcowego: „Les socialistes appellent tous les individus et tous les Etats à sacrifier leurs

(10) Nowoczesny socjalizm stanowi tylko wyraz odczucia równie dawnego, jak odczucie istnienia, wyraz odczucia tego, co jest niepełne, kalekie, anormalne, a wskutek tego nieszczęśliwe w naszym życiu. Odczuwanie socjalistyczne jest pędem ducha do lepszego bytu — nie jednostkowego, ale wspólnego i solidarnego. Przyznajemy, że to odczuwanie objawiło się z całkiem nową siłą: jest to nowy zmysł, który człowiek uduchowiony w sobie wykształcił, jest to nowa w nim namiętność.

Socjalizm, przez to, że jest czymś zupełnie nowym, żywi nowe pragnienia i nowe namiętności, których nie mogą zrozumieć ludzie starego porządku, podobnie jak pragnień młodego człowieka nie rozumie ani dzieciństwo, ani starość, staczająca się w dzieciństwo powtórne.

Pragnienia i namiętności nie są nigdy przeczeniem; pragnienia i namiętności są aktami, potwierdzającymi duszę tak, jak zagadnienia są aktami potwierdzającymi inteligencję. Dogmat jest potwierdzeniem duszy w przeszłości, pewnik jest w tej samej przeszłości potwierdzeniem inteligencji. Zagadnienie i pragnienia stanowią przejawy potwierdzające inteligencję i duszę, która zdąża ku przyszłości. Społeczeństwo schodzi do grobu w dogmatach i pewnikach, odradza się w pragnieniach i zagadnieniach.

Uczucie społeczne może się stać namiętnością, siłą działającą i prawdą wtedy, gdy wybuchnie w duszach ludzi istotnie religijnych i patriotycznych.

Uczucia religijne i patriotyczne są podstawą socjalizmu.

Jesteśmy w zgodzie z socjalizmem zawsze, ilekroć stano- wi on rozwinięcie uczucia religijnego i politycznego. Pozostawiamy teologom i filozofom zawodowym rozbiór teoryj.

droits à un sentiment qui porte en lui le germe d'un dogme universel..." 11)

Zawiera się w tych ostatnich słowach, w całej postawie Mickiewicza, podwójne przeczucie naszego czasu. Socjalizm chrześcijański odrzuca możliwość urzeczywistnienia poza człowiekiem. Odrzuca wiarę w automatyczny, samoczynny, nieuchronny postęp życia. U jego dna leży pesymizm skojarzony z widzeniem ideału — jeśli tak można powiedzieć: pesymizm idealistyczny, pesymizm czynny.

Przeciwstawia się on filozofii idealistycznego optymizmu, cechującej socjalistów utopijnych, którzy wierzyli, że przez prosty apel do rozumu, przez propagandę uda się ludziom narzucić, od razu wcielić w życie, gotowe, skończone, doskonałe systemy społeczne. Odrzuca on także filozofię optymizmu materialistycznego, właściwą socjalizmowi naukowemu, nauczającą, że procesy gospodarcze nie zależą od woli ludzkiej i mimo to są w skutkach dla ludzkości dobroczynne.

Filozofia pesymizmu idealistycznego mówi: przez człowieka, przez jego małość i ułomność — dla człowieka, dla jego wielkości i dobra, musi być ponawiany, powtarzany, zaczynany choćby od początku, podejmowany z dna rozczarowania i klęski trud mozolny, trud wspólny, podobny trudowi doskonalenia się etycznego. Będący w istocie swojej właśnie trudem etycznym.

I to zdaje się pewne, to wynika z wglądu w historię i z ścisłego zważenia terażniejszości: ubiegły wiek stanowią przejście od socjalizmu utopijnego do socjalizmu naukowego, nasz wiek tragiczny znaczący się po obrocie stu lat — przejściem od socjalizmu naukowego do socjalizmu etycznego.

Do socjalizmu chrześcijańskiego.

Yelverton, South Devon, w czerwcu 1946.

(11) Socjaliści wzywają wszystkie jednostki i wszystkie państwa do wyrzeczenia się swoich praw na rzecz odczucia, które nosi w sobie zarodek dogmatu powszechnego.

PRZEobrażenia socjalne w okresie międzywojennym

Dlaczego pierwsza wojna światowa nie stała się bodźcem dostatecznie silnym, by pchnąć życie społeczne na nowe drogi? Przypomnijmy sytuację tamtego okresu. Z poprzedniej wojny rozpetanej przez kapitalizm, klasy rządzące przynajmniej w krajach ententy wyszły w glorii zwycięzców. Powaliły przeciwnika, odebrały mu rynki zbytu i kolonie, otworzyły tym samym złudne wprawdzie, ale działające przez pewien czas, nadzieje zmiany na lepsze. Umęczona wojną ludzkość chętnie wierzyła w poprawę generalną, bo chciała w to wierzyć. Przedkryzysową sytuację kapitalizmu rozumiała tylko szczupła garstka ideologów antykapitalistycznych i ci jednak w głębi duszy pełni byli zwątpienia, czy aby wojna nie otworzy okresu pomyślności, który pozwoli kapitalizmowi umocnić się na dłuższy lub krótszy okres historyczny. Dopiero w parę lat po wojnie, gdy minęło ożywienie wywołane odbudową i wzmocnionymi inwestycjami przemysłowymi, oraz spłynęła druga fala „prosperity”, pobudzona inwestycjami racjonalizacji, rozwinęły się i wystąpiły na jaw wszystkie objawy śmiertelnej choroby panującego ustroju.

Na terenach państw centralnych, w obozie pokonanych, trudności kryzysowe łatwo dawały się tłumaczyć skutkami klęski militarnej i rewolucji. Rewolucja ta nie wyrosła na dojrzałym gruncie konfliktu społecznego, lecz wybuchła wskutek przegranej wojny, czyli bankructwa politycznego klas rządzących. Nie przynosiła ona zmiany systemu gospodarczego i ustroju społecznego, lecz tylko nowe formy politycznego życia: demokrację. Program tej rewolucji, określony przez masowe ruchy robotnicze na długo przed wojną w warunkach względnej stabilizacji ustroju społeczno-gospodarczego, zamykał się w ramach szerokich reform społecznych, pozostawiając w zakresie gospodarczym kapitalizm bez większego uszczerbku władzy i autorytetu. Usiłowania socjalizacyjne pierwszego okresu rządów republikańskich Niemiec i Austrii skończyły się na projektach. Nie znalazły dla siebie obiektywnych warunków gospodarczych, ani klimatu ideowego. Przypomnijmy czym wypełniona została cała społeczna i gospodarcza literatura pierwszych lat powojennych. Tematem powszechnym było naświetlanie fatalnych dla gospodarki skutków wojny jako przyczyn ujawniających się trudności i coraz to silniejszych wstrząsów gospodarczych. Były więc winne odszkodowania (punkt widzenia niemiecki i częściowo anglosaski), albo brak odszkodowań oraz szczupłe ich raty (pogląd Francji). Było winne wycofanie się Rosji z obrotów światowych, powstanie nowych państw i ich dążność do gospodarczej samodzielności. Była winna (jakiż to ulubiony ongiś temat!) zła polityka finansowa — oskarżano więc w zależności od punktu widzenia demonów inflacji lub deflacji. Winą nie najmniejszą obarczono też system parlamentarny rządów...

*) Fragment książki napisanej w roku 1943, i wydanej konspiracyjnie w Kraju pod koniec tegoż roku.

W tych różnych ujęciach tkwiło wiele słusznych spostrzeżeń i zręcznych chwytów analizy. Ale punktem wyjściowym było zawsze uznanie trwałości ustroju kapitalistycznego. Zewnętrzny skrępowaniem jego funkcji tłumaczono niepowodzenia i rosnącą nędzę mas. Poza obozem robotniczym nikt nie śmiał postawić zagadnienia generalnie, oskarżając sam system kapitalistyczny. Stanowisko zaś socjalizmu było również raczej wynikiem teoretycznej krytyki wzmoczonej przez zjawiska kryzysowe, niż wyrazem programu natychmiastowych zmian zasadniczych. Cała odbudowa życia powojennego odbywała się w ramach kapitalizmu.

Pojęcia kryzysu kapitalizmu z trudem torowały sobie drogę nawet w szeregach obozu antykapitalistycznego. Marxowska prognoza przyszłości, związana z upadkiem kapitalizmu jako dziejową koniecznością, wpływała z przewidywań szalonego rozkwitu kapitalizmu, który spotęguje automatycznie siły i znaczenie proletariatu. Rzeczywistość nie dawała materiału do wniosków, by taki okres już nastąpił. Przeciwnie, rozwój kapitalizmu został powstrzymany, klasy średnie zachowały swe pozycje, a nawet zwiększyły swą wagę w procesie gospodarczym. Formuła koncentracji kapitału i proletaryzacji mas, która wyrażała podstawowe pojęcia socjalizmu o warunkach rewolucji socjalnej, była wciąż nieaktualna. Trzeba było zdobyć nowe podejście do zagadnień. Nie mogło to przyjść od razu i łatwo. Dość stwierdzić, że kiedy na Kongresie PPS w 1930 roku referent spraw gospodarczych (Z. Zaremba) zdecydował się postawić tezę o kryzysie ustrojowym, najbliżsi przyjaciele zarzucali mu zbytnie ryzykanctwo. Przecież nawet Otto Bauer, jeden z najśmielszych marksistów współczesnych, nie odważył się postawić tej tezy w swej książce „Kapitalismus nach dem Kriege”, gdzie dał zresztą doskonałą analizę strukturalnych zmian zaszłych po wojnie w systemie gospodarczym i obnażał paradoksy racjonalizacji. Książka ta ukazała się już w 1931 roku, w dziesięć lat po całkowitym wygaśnięciu pożaru wojennego.

Kapitalizm jako system wciąż jeszcze wiązał nadzieje społeczeństw, siedział mocno w siodle opinii. Aureola jego świeciła jasnym blaskiem. Tamta wojna nie zburzyła i nie mogła zburzyć atmosfery publicznego zaufania do kapitalizmu, chociaż, obiektywnie przyspieszyła ogromnie jego upadek. Dopiero w okresie powojennym procesy społeczno-gospodarcze niszczyły stopniowo nadzieje poprawy, związane z okresem odbudowy życia zburzonego przez krwawy huragan. W burzliwym przebiegu kryzysów i konfliktów społecznych odsłaniać się zaczęła tragiczna niezdolność panującego systemu do rozwiązywania palących zagadnień. Dopiero w tym okresie wystąpiły wszystkie przejawy chronicznej, śmiertelnej choroby ustroju i pod tym wplywem opinia publiczna przeobrażała się do głębi.

Już sama analiza wojny, zamknięta przerażającym bilansem trzynastu i pół miliona zabitych i rannych, zwracała przeciwko kapitalizmowi — sprawcy tej rzezi, całą opinię publiczną. Przed oczyma wielkich mas

stanął budzący najwyższą grozę i oburzenie obraz stunków, w których dla zdobycia rynków i zysków nie starcza pracy milionów nędznie wynagradzanych robotników, lecz trzeba jeszcze krwi najlepszych synów społeczeństwa. Odsłonięte zostały przy tym tajemne kulisy krwawego przemysłu zbrojeniowego, który z całym spokojem pracował zarówno dla swojego rodzimego kraju, jak i dla wrogów ojczyzny. Co najwyższej od wrogów brał on specjalną premię za to, że dostarczone im pociski kierował w piersi współrodaków fabrykanta.

Tematyka wojenna przeszła z publicystyki do literatury pięknej i poezji, docierając tą drogą do najszerszych kół społeczeństwa, budząc wszędzie krytycyzm i gasząc aureolę kapitalizmu przez odsłonięcie jego ukrytych zakamarków okrucieństwa i szalbierstwa. A jednocześnie ten sam ustrój nie tylko nie zabezpieczył ofiar swej wojny i miliony inwalidów podrzucił lasce filantropii publicznej, ale coraz to nowe masy pogrążał w nędzy. Bezrobocie stało się zjawiskiem chronicznym, rosnącym w sile i napięciu nie tylko w mieście, ale i na wsi. Bezrobocie w każdej klasie i warstwie społecznej stało się nieustannym postrachem każdego robotnika, gięło kark i nakazywało przyjmować najgorsze warunki pracy, byle ją tylko dostać. Szło krok w krok za pracownikiem umysłowym, sięgało do zawodów wyzwolonych, wytrącało z rąk rzemieślnika narzędzia pracy, odbijało się zastojem we wszystkich interesach, ba, sięgało zda się nawet do kapitału nakazując mu próżniactwo i beczynne leżenie w skarbcach banków międzynarodowych, gdzie nie chciano dawać na wkłady nawet minimalnych procentów. Więc, domagano się opłaty za przechowywanie pieniędzy. Wojna jako wspomnienie niedawnego koszmaru i bezrobocie jako ponura terażniejszość były co dzień w wyobraźnię tłumów i niszczyły wiarę w sprawność panującego ustroju.

Co ważniejsze jednak, klęska wojenna wysunęła na pierwsze miejsce w życiu publicznym klasę robotniczą, która przed wojną i w jej toku zaznaczyła wyraźnie swe antywojenne stanowisko. Z socjalistyczną polityką robotniczą coraz szersze koła społeczeństwa, skądinąd obce ruchowi proletariackiemu, zaczęły wiązać swe pragnienia niedopuszczenia nigdy do wojny. To jedno już podnosiło bardzo znaczenie ruchów robotniczych. Rozwój stosunków politycznych parł w tym samym kierunku, czyniąc z nowej klasy najważniejszą pozycję w układzie społecznym.

Rewolucja, która objęła cały wschód i środek Europy nosiła wybitnie proletariacki charakter, chociaż warunki zamknęły ją w płaszczyźnie przewrotu politycznego. Proletariat obejmuje władzę, aby proklamować republikę demokratyczną, zgodnie ze swym programem „minimum”, gdzie na czele stało hasło zdobycia wolności politycznej, przy pomocy której klasa robotnicza, polepszając swój byt materialny i moralny, swą siłą fizyczną i umysłową, wykształcając swą organizację wewnętrzną, przygotowuje się do roli nowego gospodarza. Wybory powszechne, wprowadzone w życie w całej prawie centralnej Europie, ujawniają wprawdzie, że za klasą robotniczą nie stoi jeszcze większość społeczeństwa, nie mniej jednak wpływ tej klasy tak potężnie, że wkrótce nie ma dziedziny życia, na której nie pozostawiłaby swego znaku. W Rosji przedtem jeszcze wybuch gniewu ludowego rozgorzałego na tle niedoświadczenia, korupcji i bezcelowego szafowania krwią żołnierzy przez dynastię i kliki rządzące zmiata carat i

wprowadza na arenę dziejów specyficzny rosyjski twór — bolszewizm.

Rewolucja to żywioł. Jak powódź przeskakuje ona łatwo groble graniczne. Zapobiec jej można tylko przez ustępstwo prądom, które ona tworzy, lub przez wypowiedzenie bezwzględnej wojny domowej ludowi. Na wojnę domową tuż po wojnie światowej klasy rządzące nie miały ani sił fizycznych, ani moralnych. Przecież ten lud wczoraj był w okopach, walczył i gotów walczyć jak żołnierz. Rządy robotnicze w Niemczech i w Austrii, rewolucja w Rosji, wzmoczenie się ruchu robotniczego w państwach nowopowstałych odbija się więc głośnie echem również w krajach zwycięskiego kapitalizmu, zmuszając do ustępstw idących w kierunku demokratyzacji życia publicznego. Tym samym potęgują się wszędzie wpływy socjalizmu, który szybko obwarowuje się na nowo zdobytych pozycjach. Następuje gwałtowny rozwój ruchu robotniczego we wszystkich jego przejawach i formach.

Jest to najdonioślejsza przemiana, jaką w sferze stosunków społecznych przyniósł okres powojenny. Oto bowiem wyrosła i ukonstytuowała się nowa siła. Osiągnęła ona takie napięcie, że już nie sposób było ją zbagatelizować i zepchnąć z widowni. Wyrosła pod znakiem walki z kapitalizmem i w ciężkich z nim zmaganiach nabrała hartu, odwagi i sprężystości. Stała się więc teraz na arenie politycznej jako naturalna i przez wszystkich uznana rywalka klas dotąd rządzących. Idea, nowego ładu społecznego, która dotąd przyświecała tylko zorganizowanym szeregom socjalistycznym, poczęła ożywiać coraz powszechniejszą wizję zmian, jakie przyjąć muszą, jakie zwiastuje sobą ten nowy motor historii.

Przyspieszone procesy proletaryzacji powiększały zasięg bezpośredniego oddziaływania ideologii socjalistycznej i liczącą siłę proletariatu. Chroniczny kryzys gospodarczy i coraz jaskrawiej rysująca się bezradność warstw rządzących wobec spadających na społeczeństwa klęsk bezrobocia i pauperyzacji odrywa od feudałów kapitalistycznych ich wasali w postaci warstw środkowych, owej najliczniejszej klienteli ideologii kapitalistycznej, stanowiącej zawsze dotąd pewną i wierną gwardię w walce ze wszystkimi nowinkami, a przede wszystkim z socjalizmem. Teraz warstwy te szybko się proletaryzują, częściowo łącząc się organicznie z proletariatem, częściowo boczają się jeszcze i szukają rozwiązań przez nawrót do czasów przedkapitalistycznych. W całości swej wyemancypowują się coraz bardziej spod bezpośredniej komendy kapitału. Procesy te ujawniły się wszędzie, przybierając klasyczne formy w Anglii, gdzie robotnicza socjalistyczna Partia Pracy wysuwa się natychmiast po wojnie jako trzeci ważki czynnik polityczny, burząc odwieczny, zda się, system dwóch partii. Niedługo spycha całkowicie w cień liberałów i sama zajmuje drugie miejsce, stając się jedynym rzecznikiem opozycji wobec konserwatystów i jedynym naturalnym dziedzicem władzy. W innych krajach proces ten nie ujawnił się w tak prostych formach, ale i istota jego jest ta sama.

Demokratyzacja państw, wymuszona przez proletariata, przyniosła ogromne zmiany w całym układzie stosunków. Rozwinął się system parlamentarny. Szerokie masy społeczeństwa zostały zmuszone do myślenia o zagadnieniach swego bytu i pełnego ich rozumienia. Zaczęła rosnąć w masach ambicja zostania gospodarzem swego losu nie tylko w opłotkach własnego podwórka. Wzrosło poczucie godności obywatelskiej w masach,

które wczoraj jeszcze były obiektem polityki. To samo stanowi już całą epokę.

Wraz z parlamentaryzmem rozwija się coraz więcej instytucji o charakterze publicznym i samorządowym, pogłębiając proces uobywatelnienia mas, wzniesienia ich do roli czynnej w życiu publicznym. Wzmaga się życie samorządowe. Instytucje samorządu terytorialnego demokratyzują się i rozszerzają swą działalność na coraz to nowe dziedziny. Stają się one coraz większym producentem towarów i dostawcą usług. Elektrycznie, rzeźnie, komunikacja miejska i międzymiastowa przechodzą powszechnie w ręce samorządu lub są przezeń organizowane samodzielnie. Obok samorządu terytorialnego rozwija się cała sieć różnego rodzaju instytucji ubezpieczeniowych. Powstają wielkie ubezpieczalnie społeczne, które oparte w swej organizacji o zasadę samorządu przymusowo ubezpieczonych grup ludności, obejmują stale rosnący zasięg usług i świadczeń. Ruch spółdzielczy również odczuwa w tym okresie międzywojennym rosnący napływ sił i zajmuje coraz wydatniejszą pozycję w organizacji społeczeństwa. Chociaż pod jego nazwą przemycia się czasem treść indywidualistyczno - kapitalistyczną, niemniej jednak spółdzielczość stała się jednym z najbardziej ważkich elementów antykapitalistycznych, przyczyniając się ogromnie do tego przełomu pojęć, jaki przeżyliśmy w ubiegłym okresie.

Nie tylko to. W ten sposób obok instytucji wytworzonych przez stary ustrój wyrosły instytucje publiczne, zaspokajające szereg ważnych potrzeb społeczeństwa i stanowiące żywy dowód prawdy, że gospodarka nie jest wyłączną specjalnością prywatnego kapitału. W tym samym kierunku idzie rozwój państwa. Jego organizacja zmienia się nie tylko w swej formie ustrojowej. Głębokim przekształceniom ulegają też jego funkcje, znamionując dokonany przełom. Państwo stało się największym przedsiębiorcą. W jego ręce przechodziła coraz bardziej cała komunikacja lądowa, a nie raz śródlądowa i morska. W ręce państwa lub pod jego kontrolę przechodziły ogromne przedsiębiorstwa przemysłowe: kopalnie, huty, potężne wytwórnie surowców i przetworów. Państwo stało się największym pracodawcą. Zjawisko to występuje ze szczególną mocą w krajach środkowej Europy, gdzie słabo rozwinięty kapitalizm nie chce ryzykować wkładów w przedsiębiorstwa mało rentowne, niezbędne jednak dla życia tych krajów.

Same Koleje zatrudniały w Polsce z górą 200 tysięcy pracowników i robotników. Organizacja robót publicznych w ręku państwa i samorządu spełniała też niemalą funkcję przy budowie podstawowych inwestycji. Banki, odgrywające decydującą rolę w życiu gospodarczym, były coraz silniej uzależniane od aparatu państwowego, a w Polsce najważniejsze placówki bankowe bezpośrednio podlegały państwu. Ten ogromny rozrost gospodarczych funkcji państwa został wywołany potrzebami gospodarki. Nasza historia powojenna daje mnóstwo przykładów obejmowania przez państwo działalności gospodarczej w spadku po bankrutujących przedsiębiorstwach prywatnych lub pod przymusem próżni wytworzonej brakiem prywatnej inicjatywy w dziedzinach działalności gospodarczej dużej wagi społecznej i państwowej. Tak było z przedsiębiorstwami górniczymi i hutniczymi, z produkcją nawozów sztucznych, z żegluga i transportem autobusowym. Jakże wobec tego fałszywie brzmiały wszelkie narzekania na etatyzm, zjawiający się wskutek braku

inicjatywy prywatnej gospodarczej, a polegający na tym, że państwo obejmuje placówki gospodarcze, przez co były one w ten sposób ratowane przed zniszczeniem.

Pod narzekaniami tymi kryły się aż nazbyt widoczne apetyty prywatno - kapitalistyczne na odebranie państwu pogardzonych ongiś, a później wykazujących w ręku państwa smak zysku, kąsków. To też mimo usilnej propagandy antyetatystycznej, rozwój gospodarczej działalności państwa nie tylko nie wywołał głębszego sprzeciwu, lecz przeciwnie, opinia domagała się raczej rozszerzenia tej działalności. Przedsiębiorstwa państwowe na ogół zdawały egzamin ze swej sprawności i mimo ostrej krytyki oraz tysiącznych przyczepek ze strony ideologów prywatnej własności pozycja ich stawała się coraz mocniejsza. Najistotniejsze zarzuty przeciwko instytucjom państwowym mogły być raczej sformułowane z punktu widzenia antykapitalistycznego, gdyż stawały się one zbyt powolne wobec zasad organizacji typu kapitalistycznego i z reguły utrzymywały solidarność z przemysłem prywatnym. Zwykle jednak atakowano je od strony sprawności kierownictwa i wysokości kosztów produkcji. Gdyby tak przedsiębiorstwa prywatne stanęły pod światło, jak stawały nie raz przedsiębiorstwa państwowe, wówczas dopiero można byłoby zdobyć rzeczywistą orientację. Tymczasem ilekroć odsłaniał się rąbek tajemnicy wewnętrznego życia przedsiębiorstw kapitalistycznych zawsze wytwarzał się mniejszy lub większy skandal.

Wszystkie te procesy demokratyzowania społeczeństwa i form państwowych oraz rozszerzania zakresu publicznej działalności gospodarczej państwa, samorządu i spółdzielczości odbywały się przy czynnym współudziale zorganizowanych robotników. Frakcje socjalistyczne w parlamentach i samorządach parły w tym właśnie kierunku i osłaniały każdą nową placówkę przed atakami ideologów i polityków kapitalistycznych. Nawet rządy wrogie socjalizmowi i w ogóle ruchowi robotniczemu zawsze mogły liczyć i liczyły na poparcie robotników w tych sprawach związanych z elementarnym interesem państwowym. Samodzielnym wysiłkiem klasy robotniczej były rozwinięte ubezpieczenia społeczne. Wielki wpływ tej klasy ujawnił się też w samorządach, które zwłaszcza w dużych miastach coraz częściej otrzymywały większość socjalistyczną i wylaniały socjalistyczne zarządy miejskie. W ten sposób proletariata, rosnąc w siłę, wrastał jednocześnie w codzienne życie społeczeństwa i w daleką przeszłość spychał owe czasy, gdy socjalistami straszono dzieci i... chłopów. Nie był to tylko wzrost potęgi nowej partii, lecz przede wszystkim było to zdobywanie opinii na nową ideę gospodarczej i społecznej, nowych metod organizacji życia gromadnego, nowego światopoglądu, biegunowo przeciwnego panującemu dotąd poglądom klas posiadających. Stanowiło to ukoronowanie przewrotu, dokonanego w umysłowości społeczeństw.

Proces ten był powstrzymywany, a gdzie indziej nawet paraliżowany przez rozłam, jaki wniósł w szeregi klasy robotniczej komunizm. Rozłam ten jednak w większości krajów został całkowicie opanowany przez socjalizm demokratyczny i nie mógł odegrać większej roli, jak tylko chwilowego hamulca i dokuczliwej drzazgi. Jednak w Niemczech, a w pewnym stopniu i we Francji, komunizm potrafił rozpołowić proletariata i skupiającą się przy nim opinię antykapitalistyczną. Przyniosło to fatalne skutki nie tylko proletariatu.

Masowa organizacja silna i sprężysta, liczne przedstawicielstwa parlamentarne zgrane wewnątrz i zdy-

scyplinowane karnością wspólnej idei, szereg samorządów opanowanych i świetnie zdających egzamin publiczny pod kierownictwem partii socjalistycznych, wszystko to świadczyło, że dotychczasowa „kwestia robotnicza”, kwestia polityki społecznej, a nawet dla niektórych tylko zagadnienie filantropii stała się kwestią polityczną, zagadnieniem władzy, przechodzącej nieuchronnie w ręce nowej klasy. Opory przeciwko tej najgłębszej od półtora stulecia zmianie w stosunkach społeczno-politycznych malały wraz z dokonywanymi się przemianami w łonie klas rządzących. Przede wszystkim zanikał tu, albo już zginął dawniej, najbardziej charakterystyczny typ samodzielnego przemysłowca, osobiście organizującego gospodarkę i kierującego procesem produkcji swego zakładu oraz zbytu wytworzonych w nim towarów. Prostu wymiera ten typ selfmademana. Jego następcy, dziedzice nie mają najmniejszej ochoty do działalności gospodarczej, trawia tylko nagromadzone przez ojców skarby. Przedsiębiorstwa przybierają postać bezosobowych towarzystw akcyjnych, gdzie spadkobiercy ich założycieli zadawają się tytułarnymi stanowiskami prezesów rad nadzorczych itp. tytułami przynoszącymi jednak dochody, które pozwalają żyć bez pracy i trosk. Kierownictwo przedsiębiorstw przechodzi do rąk dyrektorów najemników, którzy tworzą coraz bardziej ważką w życiu przemysłu warstwę dysponentów kapitału.

Ongiś każde większe przedsiębiorstwo powstawało i rozwijało się dzięki potężnemu motorowi woli i talentu założyciela. Liczne fabryki noszą ich nazwiska po dziś dzień w tytule firmy. Teraz najczęściej nazwisko to zostało tylko nazwą egzemplarza akcji, samo zaś przedsiębiorstwo straciło wszelki indywidualny charakter. Prywatna inicjatywa posiadacza w większości wypadków zaginęła w wielkokapitalistycznym przedsiębiorstwie. Zastąpiła ją inicjatywa najemnych dyrektorów. Własność i kierownictwo zostały rozdzielone. Własność i twórcza rola w gospodarce wcale się już nie pokrywają. Czasy w których właściciel - przedsiębiorca był wszystkimi węzłami organicznie związany z warsztatem należą do przeszłości. Współczesny kondotier przemysłu dziś stoi na czele tej, jutro zaś stanąć może na czele spółki innej, konkurencyjnej. Właściciel - kierownik myślał kategoriami swojego zakładu, a poza jego murami rozpościerało się pole pełne wrogów, pole które miał zdobyć. Współczesny dysponent jest raczej skłonny myśleć kategoriami całej gałęzi przemysłu, jaką poznał, zgłębił i w której się wyspecjalizował, i o świecie będącym poza murami zakładu kierowanego przezeń myśli jako o swoim kraju specjalności.

Ta zmiana w strukturze klasy kapitalistycznej musiała spowodować doniosłe skutki. Wprawdzie sama klasa rządząca otrzymała zastrzyk nowych wyspecjalizowanych i utalentowanych sił na miejsce małych synów potężnych ojców przemysłu współczesnego. Ale ten nowy nabytek przyniósł z sobą inne zupełnie podejście do spraw, cechujące obecnie kierownicze sfery gospodarki. Dysponenci kapitału, dostawszy się na różne szczeble hierarchii warstwy rządzącej, niewątpliwie wsiąknęli w klasę kapitalistyczną. Przeważnie stali się posiadaczami wielkich pakietów akcji, kierowanych przez siebie przedsiębiorstw. Nierzadko jednak posiadane przez nich akcje opiewały na nazwy firm obcych lub nawet konkurencyjnych. Kazali sobie płacić olbrzymie pensje, zagwarantowali wysokie tantiemy i gratyfikacje, tak że zarobkami zaczęli niejednego z dawnych królów przemysłu. Zabrakło im jednak patriotyzmu

własnego dzieła, zaś swój sposób bycia zaprawiali często tonem wyższości wobec właścicieli, grających dziś rolę pasorzytów.

Oddzielenie własności od kierownictwa obniżyło moralną pozycję kapitalisty również w szerokiej opinii. Stało się jasnym, że los produkcji nie jest niczym związanym z posiadaczami tytułów własności. Wraz z upowszechnieniem się typu dysponenta kapitalistycznego nastąpiło zdyskredytowanie własności kapitalistycznej. Otrzymywanie jej oznaczać zaczęło nie tylko wszystkie jej dawno znane ujemne skutki: pasorzytnictwo i nadużywanie władzy płynącej z własności, ale i nowy sposób przywłaszczania pieniędzy naiwnych kandydatów na współwłaścicieli przedsiębiorstw, drogą wykupywania akcji przemysłowych i handlowych. A zbyt często pieniądze te zużywane były tylko na to, by zwiększyć możliwości dochodów uprzywilejowanych obligacji, pozostających w rękach potężnych kapitalistów lub kierowników przedsiębiorstw. Łącznie dawało to obraz odpychający każdego kto go ujrzał we właściwym świetle. Rozumie się, będąc w stanie takiego wewnętrznego załamania się, klasa kapitalistów nie mogła dać bezpośredniego oporu rosnącym prądom antykapitalistycznym.

Najboleśniej dał się kapitalizmowi odczuć i najbardziej obezwładniał upadek autorytetu w klasach średnich. Warstwy te przechodzą również głęboki wstrząs, zmieniający fizjognomię społeczną poszczególnych grup i potęgający ich obcość wobec kapitalizmu. Coraz silniejszą liczebnie i rosnącą w znaczeniu społecznym staje się tu grupa pracowników umysłowych. Rozwojowi ich sprzyjały zarówno zmiany w organizacji produkcji jak i rozrost instytucji społecznych, samorządowych i państwowych. W cytowanym wyżej przykładzie zmian w stosunkach amerykańskich ogólna 8% redukcja zatrudnienia wyraziła się w grupie robotniczej 8,8%, a w grupie pracowniczej tylko 1,2%. Nie oznacza to, żeby racjonalizacja i mechanizacja oszczędzała pracowników, ale stworzyła ona tyle funkcji nowych: rachmistrzów, kontrolerów, kreślarzy itd., że w rezultacie procentowa waga pracowników umysłowych w produkcji zwiększyła się wybitnie. Natomiast proces mechanizacji pracy i szczegółowszego jej podziału coraz bardziej upodabnia funkcje pracownika umysłowego do robotnika fizycznego. Przedział między proletariatem pracującym fizycznie i proletariatem pracującym umysłowo maleje nie tylko w dziedzinie płac, lecz również w zakresie charakteru pracy i socjalnej pozycji. Nadzieje na wybitcie się są dla obu grup tak samo minimalne. Złuda wyższości umysłowego pracownika topnieje, a nawet zastępuje ją poczucie niższości spowodowane większą jeszcze bezbronnością pracownika umysłowego wobec kapitału na skutek braku odpowiednich organizacji. Obserwujemy więc żywiołowe naśladowanie ruchu robotniczego przez powoływanie pracowniczych organizacji zawodowych, co z kolei prowadzi do zbliżenia ideologicznego i coraz silniejszego odczuwania solidarności interesów i wspólnoty zadań. Pracownicy umysłowi stanęli na drodze ku zespoleniu się z robotnikami w jednolitym poczuciu klasowym proletariatu.

Zanim do tego doszło, udział wielkiej grupy pracowników w instytucjach ubezpieczeniowych i w samorządach powołanych do życia przez klasę robotniczą, lub kierowanych przez nią uspołecznił liczne kręgi pracowników i oddzielił w znacznym stopniu od obozu kapitalistycznego. Powstanie tego typu społecznych pracowników umysłowych jest również jedną z ważniejszych

metamorfoz okresu międzywojennego. W mniejszym stopniu, ale podobną ewolucję przechodziła również inteligencja zawodowa, posiadająca coraz mniej szans utrzymania się z wykonywania praktyki adwokackiej czy lekarskiej i coraz chętniej szukająca zawodowej pracy najemnej w przedsiębiorstwach prywatnych i instytucjach społecznych. Wraz z tym opada z tej grupy nalot pseudowspólnoty z klasami rządzącymi, zadzierzguje się zaś więź zrozumienia z masami społecznymi.

Mniej głęboko sięgnęły przemiany w tych grupach warstw średnich, których byt był związany z drobnym i średnim handlem oraz rzemiosłem. I tutaj kryzys kapitalizmu wystąpił w postaci masowej pauperyzacji spotęgowanej skutkami powszechnego zastoj. Uzewnętrznili się też w jaskrawy sposób podstawowe antagonizmy, zjawiające się na tle zależności od wielkokapitalistycznego systemu kredytu i bezwzględnej władzy kartelów i monopolu kapitalistycznych nad rynkiem towarowym. Stosunek jednak do samej własności pozostał niezmienny. Przywiązanie do niej pozostało tak silne jak przedtem. Strata własności powodowała stoczenie się w niziny proletariatu, a nawet gorzej — bo wprost w otchłań nędzarzy, gdy wstępowanie w szeregi proletariatu fabrycznego, szczególnie w okresie kryzysu, było bardzo utrudnione. Te masy drobnomieszczactwa stworzyły swój odrębny krąg pojęć i dążeń, obcy już kapitalizmowi, ale daleki jeszcze od świata ludzi pracy.

Klasa robotnicza w chwili kryzysu kapitalizmu i jego wewnętrznego osłabienia znalazła w dużej części klas średnich nie tylko zrozumienie, ale i sojuszników coraz

bardziej gotowych wespół z nią podjąć dzieło budowy nowych form ustrojowych. Nie starczyło wprowadzić w życie robotniczej sił, by chwyconą w 1918 r. władzę utrzymać. Kapitalizm rozporządzał dostatecznie silną armią głosujących pod postacią większej części drobnomieszczactwa. Wytworzyły się jednak warunki takie, że wbrew woli proletariatu rządzić stało się już niemożliwością. Sytuacja wewnętrzna społeczeństwa doszła przez to do dramatycznego napięcia. Czołowe zagadnienia coraz częściej sprowadzały się do przeciwstawnych, nie dających się pogodzić stanowisk. Nie było ważniejszej sprawy publicznej, która nie ujawniłaby sprzeczności pozycji obozu robotniczego i kapitalistycznego. Każdy obywatel był zmuszony do samookreślenia swego stosunku wobec jednego lub drugiego obozu. Przed jego oczyma stała jedyna alternatywa: albo klasa robotnicza, rozwijając dalej swe siły w atmosferze demokracji, dojdzie do „rewolucji w majestacie prawa”, albo rozpętana zostanie straszliwa wojna domowa pod hasłem złamania proletariatu. Ani jedno, ani drugie nie mogło nastąpić zaraz. Proletariat musiał czekać, kapitalizm również. Tym samym czekały także rozwiązania nabrzmiałe aktualnością sprawy. Jeśli je rozstrzygano, to połowicznie, tymczasowo. W atmosferze tej tymczasowości rozstrzygnięć pęliły się bujne zarzki gwałtu, wyłaniało się raz poraz widmo wojny domowej. O chęć jej wywołania oskarżano ciągle proletariat. Chwylił się zaś tego środka kapitalizm — wspierając ruchy faszystowskie. Rozumiał snąć sam, że innej drogi już nie było. Na drodze demokratycznej czekało go nieodwołalne i pełne bankructwo: proklamowanie wojny domowej było ostatnią próbą odwrócenia losu.

WIOSNA LUDÓW

W HOTELU LAMBERT

Rok ów osobliwy od dłuższego już czasu zapowiadał się nader burzliwie. Od jesieni roku 1847 coś niezwykłego wisiało w powietrzu. Wyczuwali to szpicle po kawiarniach, a co wnikliwsi cenzorzy wyluskiwali pomiędzy szpalt nadzorowanej prasy. Stary kanclerz Metternich, czujny żuraw Świętego Przymierza, pisał w styczniu 1848 roku do Lebelzerna, posła austriackiego w Petersburgu: „Rok 1848 rzuci dużo światła, wiele rzeczy wyłoni się z mgieł, które wstrzymują spojrzenie ludzi najbardziej nawet przyzwyczajonych do śledzenia rozwoju różnorodnych spraw”.

Obawy kierowników polityki „Świętego Przymierza” sprawdziły się wcześniej niż mogli przypuszczać. Po zaburzeniach w Szwajcarii, w pierwszych dniach lutego, przychodzi kolej na Francję. W styczniu rozpoczyna się rewolucja we Włoszech. W lutym runął tron Ludwika Filipa. W marcu Metternich ucieka z Wiednia, a rewolucja berlińska uwalnia więźniów politycznych z Moabit, z Mierosławskim na czele. Króla Fryderyka Wilhelma IV, który zmuszony był witać wypuszczonych więźniów z odkrytą głową, nacisk rewolucji powoduje do złożenia przyrzeczenia o nadaniu Prusom Konstytucji. Dnia 14 marca król Sardynii, Karol Albert, już nie w imieniu swego tylko państwa, lecz całej Italii, wypowiada wojnę Austrii; wśród ogólnego entuzjazmu również i wojska papieskie przyłączają się do sardyńskich. Nadzieja zakiełkowała w sercach uciśnionych. Strach padł na autokratów, tyranów, samodziurców.

„Jakże straszny jest rok, który się tak rozpoczął i jak się zakończy? Wypadki wyprzedzają wszelkie przewidywania” — pisał na wieść o rewolucji lutowej w Paryżu poseł cara w Berlinie Meyendorff.

Czy miał on na myśli widmo sprawy polskiej? — Zapewne o nią tu właśnie chodziło, bo cień jej leżał od początku u fundamentów Świętego Przymierza. Ona też stanowiła sedno wielu kłopotów.

Rewolucja lutowa w Paryżu wytrąciła księcia Adama ze stanu depresji i zwątpienia. Był już stary. Rzeź galicyjska była dlań koszmarnym wstrząsem, z którego długo nie mógł się otrząsnąć. Zbliżenie angielsko - rosyjskie nie wróżyło nic dobrego. W kraju zaczęły wiać wiatry ugodowe. W „Liście szlachcica polskiego do księcia Metternicha” były podwładny księcia, dawny agent dyplomatyczny w Londynie, margrabia Wielopolski, stawiał przed tronem Mikołaja I społeczeństwo polskie, w usta wkładając mu słowa: „Przychodzimy oddać się Tobie jako najwspaniałomyślniejszemu z przeciwników. Byliśmy Twoimi, jako niewolnicy, prawem zaboru, postrachem za nic wążąc sobie wymuszone przysięgi. Dziś nabywasz nowy tytuł władania. Oddajemy się Tobie jako ludzie wolni, z dobrej ochoty. ...Stajesz się Panem naszym z łaski Boga...”.

Zmęczony, rozczarowany Książę zamierzał zupełnie porzucić działalność publiczną. Niech przyjdą inni młodszy, żwawszy ode mnie — mówił. Mnie już czas usunąć się w cień... Ale przedwiośnie zwiastujące wiel-

ką zawieruchę, którą przewidywał od lat niemal piętnastu, o którą modliła się cała emigracja, dodało mu świeżych nadziei. Otrząsnął się. Rozumiał, że jest to sposobność tak wielka, na miarę dziejową, że cokolwiek kryłaby przyszłość nie można sposobności tej pozostawić niewykorzystanej. Wiedział, że dopóki cel, który sobie postawił nie zostanie osiągnięty, żaden wysiłek nie będzie ostatni, żaden nie będzie dostateczny. To też pomimo rosnącego z wiekiem oraz doświadczeniami sceptycyzmu i on dał się porwać fali ogólnego entuzjazmu. Gabinety i przedpokoje w Hotelu Lambert ponownie zakotłowały się gorączkową działalnością. Sławne „zielone teczki”, w których od lat gromadzona była praca sieci agentów księcia, raz jeszcze puszczane zostały w ruch, dostarczając gabinetom Francji, Anglii, Sardynii, Watykanu i Porty Otomańskiej cennych wiadomości, cyfr i zestawień. To co przez lata nagromadzone zostało przez agencję Wschodnią i Zachodnią oraz emisariuszy krajowych, teraz przekształcone zostało w dyplomatyczne noty, poufne memoranda.

Książę był z powrotem w swym żywiole. Niekoronowany „król de facto” stał się z powrotem swym własnym ministrem spraw zagranicznych, a ministrem nieistniejącej na oficjalnych mapach Europy Rzeczypospolitej, ujarzmionej, powalonej, lecz pomagającej innym niewolnym ludom do uzyskania niepodległości, państwowej, czy swobód wewnętrznych.

„Los wszystkich populacji ujarzmionych lub uciśnionych — pisał książę Adam w instrukcji dla swego agenta dyplomatycznego w Rzymie, Orpizewskiego, w marcu 1848 — od nich samych jedynie zależy. Teraz otwiera im się zorza lepszej przyszłości. Poparcia Francji mogą się one spodziewać, o ile same okażą się jędrne, zgodne, dzielne, słowem dojrzałe...”.

Podstawą polityki Hotelu Lambert było od początku założenie, iż współdziałanie francusko - brytyjskie winno dać odbudowę niepodległości Polski i stać się początkiem akcji wyzwolenia innych narodów Europy. Na przełomie lat 30, gdy zarysowała się pierwsza „Entente Cordiale”, na tle wtargnięcia Rosji do Konstantynopola, wszystko zdawało się wskazywać, iż wraz z narastającym konfliktem lewantyńskim, przyniesie ona upragniony cel: wojnę ludów z koalicją antyrosyjską, przewodzoną przez dwie konstytucyjne monarchie Zachodu. Tymczasem nieprzychylna odradzającej się Francji polityka Palmerstona, wepchnęła z konieczności Ludwika Filipa i Guisota w objęcia Austrii i Rosji. Dlatego też w latach 1846 i 47 książę, chcąc nie chcąc, coraz bardziej oddalał się od orientacji francuskiej, coraz bardziej pokładając swe nadzieje w możliwościach, jakie poparcie Anglii udzielane Portie Otomańskiej, mogło kryć dla sprawy polskiej. Rewolucja lutowa otworzyła nowe możliwości. Upadek tchórzliwych i skorumpowanych rządów Ludwika Filipa stworzył konieczność preredagowania dotychczasowych obliczeń. Francja rewolucyjna nawracała w całej

pełni do haseł r. 1792, otwarcie rzucając hasło walki o wolność ujarzmionych ludów. Również i rewolucja berlińska oraz radykalne ruchy pomniejszych państw niemieckich wywiesiły na swych sztandarach hasła krucjaty europejskiej, pod przewodnictwem Prus i Francji, przeciwko Rosji, głównemu filarowi i żandarmowi Świętego Przymierza. Rewolucyjne ruchy monarchii habsburgskiej też miały ostrze antyrosyjskie. Obok idei zjednoczenia Niemiec i Włoch hasło odbudowy Polski było głównym hasłem młodej i budzącej się Europy. „Uważam odbudowę Polski za rzecz sprawiedliwości, co więcej: rozumu politycznego — pisał słynny historyk niemiecki Gervinius w wydawanej w Heidelbergu, „Powszechnej Gazecie Niemieckiej”, organie intelektualnym południowych Niemiec”. „Jedynie odrodzenie Polski może uratować waszą królewską moc i nas wszystkich” — wołał z zapamiętaniem Max von Gagern — poseł nassawski w Berlinie, zwracając się w oficjalnym przemówieniu do króla Fryderyka Wilhelma IV. Tę samą ideę reprezentował baron Henryk von Arnim, pruski minister spraw zagranicznych, człowiek co chciał pchnąć Prusy na inne tory, szermierza ruchów wolnych Europy, alianta Francji i Wielkiej Brytanii. W jego planach Prusy miały zabezpieczyć Europę od Wschodu odbudową Polski z pruskim księciem na tronie. Ideę rewolucyjnej krucjaty europejskiej przeciw Rosji w obronie wolności Polski propagował również w swych artykułach Karol Marx. Pozostawała Austria... Ale i tam w razie zwycięstwa ruchów narodowościowych, poparcie wydawało się bardzo prawdopodobne.

Kanclerz Nesselrode, czytając w Moskwie raporty swych ambasadorów, wołał zrozpaczony: „Szał entuzjazmu polskiego opętał Europę”.

„Cóż to zostało w Europie niewywrócone — pisał car Mikołaj do królowej Wiktorii — tylko Wielka Brytania i Rosja”.

Zdawał sobie z tego sprawę i stary książę Adam, wiedział też jak zniechęcona jest Rosja, tyranizująca Europę od lat przeszło 30. Oto jest chwila na wcielenie jego Wielkiego Planu, pieśczonego w myślach od tak długiego czasu. Oto nadchodzi wojna ludów przeciwko głównemu siedlisku tyranii i samodziurawia: Moskwie, w oparciu o główny filar konserwatywnej wolności — Anglię i ojczyznę wolności rewolucyjnej — Francję. Pomóc przywróceniu współpracy brytyjsko - francuskiej, poprzeć rewolucję pruską, niemiecką, włoską i austriacką. Wyjednać wydzielenie Wielkiego Księstwa Poznańskiego, Pomorza i Galicji, stworzyć tam zaawansowane wojska polskie. Przerzucić część kadry oficerów polskich, bezczynnie czekających we Francji, na teren Włoch i Porty Otomańskiej. Włochy to naturalny sprzymierzeniec Polski w walce z monarchią habsburgską. Jeżeli Wiedeń nie zechce pójść na konstytucyjne ustępstwa wobec Galicji, Austria będzie musiała być rozsadzona od wewnątrz uzgodnionym spiskiem węgiersko - słowiańskim. Porta to tradycyjny sojusznik we wszystkich poczynaniach przeciwko Moskwie. Szwecja też ma swe porachunki z jej wschodnim sąsiadem o Finlandię. Ale głównie liczył na Portę. Działała tam Agencja Wschodnia w Stambule, założona z polecenia księcia w roku 1845 przez Michała Czajkowskiego; miała ona poza tym rozgałęzienia w Białogrodzie, Bukareszcie, Trnovie i Jasłach. Winna ona zdwoić swe wysiłki dla pozyskania Porty widokami odzyskania Terytoriów zagrożonych przez Rosję i o-

derwania od niej Kaukazu. Jednym z narzędzi politycznych będzie tu ruch zachodnio-słowiański, opierający się o Polskę, a dwa mający ostrze: antyhabsburgskie, jako środek zaszachowania monarchii, oraz antyrosyjskie, bo skupiające ruchy wolnościowe Słowian nie w Moskwie, lecz w Warszawie i Pradze. Plan był dobrze przygotowany i pomyślany szeroko, konsekwentny, logiczny...

Cóż więc mogło stanąć na przeszkodzie w jego urzeczywistnieniu?

Na wieść o przewrocie marcowym w Berlinie i ruchach wolnościowych w wielkim Księstwie Poznańskim oraz w Galicji książę Adam złożył kierownictwo centrali paryskiej w ręce swego pomocnika Barzykowskiego i wyruszył ku granicom Polski. Chciał być bliżej wypadków, bliżej Kraju. Dnia 28 marca stanął w Berlinie. Obok niego znalazł się sztab emigracji: Wojciech Chrzanowski, Władysław Zamojski i Teofil Moraczewski. Pojawienie się jego w Berlinie wywołało sensację w całej Europie, a oburzenie i wściekłość w Moskwie. Przejeżdżający ulicami powóz księcia wityany był entuzjastycznie przez wiwatujące na jego cześć tłumy. Zaalarmowany ambasador cara, Meyendorff, wysłał o tym specjalny raport na ręce kanclerza Nesselrode. A książę nie próżnował. Użytkował teraz całą swą wiedzę i doświadczenie, wszystkie dostępne mu drogi działania. Wysiłki jego idą w jednym kierunku: pchnąć Prusy, poparte przez Francję, państwa niemieckie oraz Austrię ku wojnie z caratem, nieprzygotowanym wojskowo, podminowanym wrzeniem w Królestwie, na Litwie i Ukrainie. Zbrojna interwencja Prus, mających awangardę organizowanych w Wielkim Księstwie Poznańskim oddziałów polskich, uzbrojonych przez Francję, zachęci do interwencji Szwecję i Turcję. Przed Prusami otwierają się przecież wielkie, europejskie perspektywy stanięcia na czele młodej Europy, spełnienia woli zrywających się do wolności ludów. Argumenty polskie mają poparcie całego niemal obozu liberalnego oraz żywiołów radykalnych. Za wojną z Rosją jest von Arnim i gen. Willisen, porozumiewa się on już z ministrem spraw zagranicznych Francji Lamartine'm, w sprawie dostawy broni i współpracy wojskowej przeciwko Rosji. Meyendorff donosi Nesselrodemu, iż Prusy, dotychczas wierny zausznic Petersburga, nie tylko wysuwają się z karbów Świętego Przymierza, lecz przechodzą w szeregi państw rewolucyjnych, szykujących się do wojny. Car Mikołaj odpowiada na to koncentracją wojsk w Nadbałtyce, w Królestwie i w Besarabii. Grozi nawet wmarzaniem do Prus Wschodnich i Poznańskiego.

Polskie społeczeństwo tak w Wielkim Księstwie Poznańskim jak i Galicji, żyjące od lutego w stanie rewolucyjnego podniecenia, odpowiada przygotowaniami wojskowymi, które miały dać obu prowincjom pokazaną siłę zbrojną, związek armii narodowej. Zaborcze władze wojskowe, onieśmielone, zastraszone, nie próbują początkowo stawiać oporu.

Niemieckie społeczeństwo Wielkiego Księstwa Warszawskiego uległo ogólnemu entuzjazmowi. Miasta i miasteczka zaboru pruskiego są przez kilka tygodni widownią zbratania się obu narodów, które na chwilę zapomniawszy o dzielących je od wieków sporach, zjednoczyły się w uniesieniu szykującej się rozprawy ze „Wschodnim barbarzyństwem moskiewskim”, przed

którym odbudowana Polska ma zasłonić zagrożone Prusy. Galicja musztruje milicję, żąda ona odwołania pułków polskich, stacjonowanych w innych częściach monarchii. Dzienniki lwowskie i krakowskie, wiadomości z Wiednia podają pod rubryką: „Wieści z zagranicy”.

A tymczasem w Berlinie toczył się pojedynek dwóch ludzi: ambasadora carskiego i emigracyjnego kierownika polityki zagranicznej Polski. Książę starał się wykorzystywać nastroje rewolucyjne, by pchnąć Prusy przeciwko Rosji. Meyendorff, grożąc interwencją zbrojną, dążył do opanowania wrzenia i powrotu Berlina na drogę polityki Świętego Przymierza.

Sto dni dzielących rewolucję lutową w Paryżu od dymisji pruskiego ministra spraw zagranicznych, barona von Arnima, rzecznika francusko-prusko-austriackiej wojny przeciwko Rosji, popartej interwencją Szwecji i Turcji, te sto dni — to okres, w którym w Europie mogło się zdarzyć niemal wszystko. Liberalizm pruski i niemiecki przeżywał swój krótki, lecz bujny okres bohaterski. Tłumy berlińskie, entuzjastycznie witające więźniów politycznych, z Mierostawskim na czele, uwolnionych z więzienia w Moabie, pozdrawiały w nich nie tylko bojowników wolności, lecz i przyszłych wodzów krucjaty europejskiej przeciwko Rosji, znienawidzonej za jej brutalne mieszanie się do wewnętrznych spraw pruskich i niemieckich. Poczucie konieczności odbudowy Polski, którą von Arnim nazywał w swych oficjalnych przemówieniach: „Tarczą świata zachodniego przed zalewem barbarzyństwa moskiewskiego”, podzielana była przez inne gabinety europejskie. Podobnego zdania był i Metternich, który wielokrotnie dawał wyraz przekonaniu, że wolałby mieć za sąsiada pokojowo nastrojoną Polskę niż groźną, a nieobliczalną Rosję. Jednym z hasel rewolucji lutowej było oswobodzenie ziem polskich, a zwołany na maj parlament niemiecki, mający obradować we Frankfurcie, postulat ten miał za jeden z punktów programu swych obrad.

Posel belgijski w Berlinie, Northomb, określił przewrót marcowy jako największe wydarzenie stulecia, wyrażając jednocześnie przypuszczenie, że w wyniku tego wydarzenia Święte Przymierze przestało istnieć. „Nad Europą wschodnią — stwierdził on — zawisło widmo rozprawy orężnej”.

W Berlinie tymczasem, po oszołomieniu, jakie wywołała w obozie zwolenników absolutyzmu i współpracy z Rosją rewolta marcowa, zaczęły one przychodzić do siebie. Meyendorff nie szczędził pieniędzy, obietnic i gróźb oraz interwencji wojskowej, by pohamować zapędy von Arnima i wyrzucić go z siedziby, spowodować jego dymisję. Przed Prusami stał dylemat: zdobycie władzy w Niemczech, poprzez stanięcie na czele idącej z południa rewolucji, obalenia hegemonii rosyjskiej, ciągnącej nad Europą Środkową i Wschodnią, a Niemcami w szczególności, lub też ponownie, tym razem jeszcze głębsze popadnięcie w upokarzającą zależność od Petersburga, von Arnim zdecydowany jest na pierwszą możliwość. Za poradą księcia Adama, w marcu zaproponował on Lamartine'owi współpracę wojskową przeciwko Rosji, której punktem wyjścia miałaby być ofensywa, skierowana ku Warszawie, wychodząca z poznańskiego. Lamartine nie daje odpowiedzi odmownej — zastanawia się, waha rzekomo, chce zyskać na czasie.

Pro-polski entuzjazm, w jakim znajdowała się przez 4 miesiące Francja zmuszał wprawdzie Lamartine'a do

ustawicznego reklamowania „przyjścia z pomocą ujarzmionym ludom”, lecz gdy przyszło do konkretnego działania, okazał się on arcy-ostrożny. Na konkretny apel Arnima, odpowiedział on wreszcie niemal chłodno, obiecując jedynie dostarczenie broni i ułatwienie Legionowi Polskiemu udanie się na front. Legion rzeczywiście otrzymał poparcie władz francuskich i pieniądze na podróż, lecz nie broń. W ten sposób władze francuskie za jednym zamachem zrobiły pozornie przyjazny gest pod adresem Polski i pozbyły się z Paryża niespokojnych żywiołów rewolucyjnych, o których Lamartine mówił złośliwie, że stanowią „ferment Europy”. To samo zrobiono z Legionem Belgijskim i Niemieckim. Gdy 25 marca z inicjatywy Hotelu Lambert radykał Vavin wezwał na posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego do „opowiedzenia się Drugiej Republici po stronie ujarzmionych ludów”, Lamartine tak jemu, jak i potem delegacji emigrantów polskich odpowiedział, że los Polski zależy od „dobrej woli Mikołaja, z którym będzie się w sprawie Polaków układał”. W ten sposób Lamartine grał na rozładowanie się nastrojów rewolucyjnych.

A tymczasem w Berlinie przychodziła z powrotem do głosu reakcja pro-rosyjska. Dzięki wysiłkom Meyendorffa nie doszła do skutku planowana audiencja księcia Adama u króla Fryderyka Wilhelma IV. Wysłany przez Lamartine'a nowy ambasador Circourt, bruździł Polakom jak mógł, posyłając do Paryża kłamliwe raporty, zięjące nienawiścią do „poznańskiej rebelii”. Książę obstawiony był zewsząd szpiczlami, gdziekolwiek się poruszył, a rozmowy jego z ministrami pruskimi były często donoszone Meyendorffowi. Ziemia w Berlinie zaczęła mu się palić pod nogami.

Zawiodły również i rachuby księcia Adama na poparcie Anglii. Po niepowodzeniach w pertraktacji z Guisotem, które załamały się w grudniu 1847 r., polityka Hotelu Lambert próbowała zbliżyć się do Londynu. Działała tam, z poparciem moralnym i finansowym wypróbowanego przyjaciela sprawy wolności, Lorda Dudley Stuarta, Stanisław Koźmian, w charakterze głównego agenta na Wielką Brytanię. Oprócz tego opinia publiczna nad Tamizą przeorana była kilkudziesięcioletnią działalnością „Literackiego Towarzystwa Przyjaciół Polski”. Zbliżenie polityki Hotelu Lambert z Londynem dokonało się na sprawie włoskiej, na którym to terenie obie strony działały podobnie, dążąc do jedności Italii poprzez stworzenie Królestwa Włoch Północnych oraz konfederacji gospodarczej i politycznej całego półwyspu.

W przededniu Wiosny Ludów istniały we Włoszech dwa główne ośrodki dążeń zjednoczeniowych: dwór Sardyński Karola Alberta, oraz Papież Pius IX, reformator-patriota włoski, wielki Europejczyk i jak można było wówczas sądzić, przyjaciel Polski. Na jesieni 1847 r. Książę liczył na przychylność i poparcie Papieża w swych poczynaniach wyzwoleniczych i w ogóle w planach przebudowy nowej Europy, jaka musiałaby wyróżnić się ze wstrząsu, o który modlił się Mickiewicz. Czartoryski przewidywał go, co więcej, uważał za nieunikniony od r. 1833. W swej ocenie roli, jaką Pius IX mógłby odegrać w życiu międzynarodowym zgadzał się on z wybitnym publicystą włoskim, liberałem i karbonariuszem Azeglio, który stawiając go na czele Ligi Państw Włoskich przyznawał dziejową rolę we współczesnym świecie. „Pius IX — pisał Azeglio — staje się szefem moralnym Europy, robi to czego nie udało się dokonać ani Bossuet'owi, ani Leibniz'owi, — przywróci jedność Chrześcijaństwu”.

Ale nie zaniedbywał też książę Karola Alberta, zbliżając się doń poprzez skuzynowanego z nim Zygmunta Krasińskiego, mającego zresztą bezpośredni dostęp i do papieża.

Na obu tych monarchów liczył książę Adam, planując wyzyskanie wypadków jakie według jego przewidywań będą musiały rozegrać się na terenie Italii, gdyby doszło do powszechnej wojny ludów przeciwko mocarstwu Świętego Przymierza. Teren włoski miałby oczywiście znaczenie przede wszystkim antyhabsburskie. Toteż w latach 1844 — 1847, wykorzystując rozpoczętą reformę wojska papieskiego, umieszcza on w jego szeregach kilkudziesięciu doświadczonych oficerów polskich z Francji. To samo czyni jeśli chodzi o armię sardyńską. Książę dąży do przygotowania na terenie Italii własnych kadr sił zbrojnych, narazie służących zaciętnie na żołdzie rzymskim i sardyńskim, lecz mogących, gdy chwila będzie ku temu sposobna, przejść pod sztandary polskie. W tym celu stara się by w kontraktach umieszczana była klauzula, że rządy rzymski i sardyński nie będą zatrzymywały ich „na wypadek gdyby byli wezwani gdzieś indziej przez obowiązki, które każdy Polak ma wobec swej Ojczyzny”. Na wodza przyszłego Legionu przewiduje gen. Chrzanowskiego, posiadającego obywatelstwo brytyjskie i pełne poparcie Lorda Minto, wysłannika Palmerstona, a osobistego przyjaciela Władysława Zamoyckiego, prawej ręki Księcia.

Wyłaniały się realne możliwości nawiązania stosunków dyplomatycznych między Stolicą Apostolską a Anglią, jak również utworzenia Nuncjatury w Stambule i Jerozolimie; osłabiłoby to austriackie wpływy kościelne na terenie Porty, gdzie Wiedeń starał się rozciągać opiekę nad ludnością chrześcijańską. To wspólne ostrze antyaustriackie zaakcentowało się w polityce Czartoryskiego od roku 1846, t.j. od Rzezi Galicyjskiej i zajęcia Krakowa. Dążenie Rosji do opanowania cieśnin i penetracja Lewantu zdawały się zgodzić z wszelkimi logicznymi przewidywaniami czynić z Anglii naturalnego sprzymierzeńca wszystkich czynników, które, stwarzając dywersję na tyłach rosyjskich, osłabiałaby jej parcie na zewnątrz. Przewidywania Księcia okazały się jednak zawodne. Pomimo rosnącej nieufności wobec Rosji, pacyfistycznie nastrojony Palmerston nie chciał ryzykować, bez koniecznej potrzeby, ani jednego żołnierza angielskiego, ani jednego okrętu. Szybko odradzająca się w latach czterdziestych potęga wojskowa i gospodarcza Francji coraz bardziej niepokoiła Londyn. Właśnie w decydujących momentach roku 1848, Palmerston skłaniał się ku przekonaniu, że Rosja może być czynnikiem stabilizacji i, jak za czasów napoleońskich, tamą „przeciwko zalewowi Europy przez Francję”. „Czujemy — pisała czule królowa Wiktoria do cara Mikołaja — że serdeczne i bliskie porozumienie między Anglią i Rosją jest rzeczą istotną dla interesów obu krajów...”. Toteż w decydującym momencie Anglia stanęła po stronie Rosji, a wyraziła swe *désinteressment* wobec Polski. To właśnie w debacie nad sprawą Polską w maju w r. 1848 Palmerston wypowiedział swe słynne słowa: Nie mamy wiecznotrwałych związków z tym lub innym krajem, nie uznajemy też utożsamiania naszej polityki z jakkolwiek inną. Nie mamy naturalnych wrogów ani wiecznych przyjaciół. Mamy natomiast odwieczne interesy...”. W tym duchu działała też w terenie i dyplomacja angielska. Ambasador brytyjski w Berlinie, Lord Westmorland, emerytowany generał, był człowiekiem ograniczonym i wolno myślącym. Nie

był on przeciwnikiem groźnym. Lecz na nieszczęście dla Czartoryskiego, bawił wówczas przejazdem w Berlinie, dyplomata dużej miary, ambasador brytyjski w Stambule, Stafford Canning, człowiek, który w sprowokowaniu wojny krymskiej „magna pars fuit”. On to przejrzał zamiary polskie rzucenia Prus z poparciem francuskim i brytyjskim w wojnę przeciw Moskwie o Polskę. I ten sam człowiek, co 7 lat potem nie wahał się świadomie, w nieskończeniu mniej korzystnych warunkach pchnąć swój kraj do wojny z Rosją, dla obrony Turcji, użył wszystkich swych wpływów i przebiegłości, by zażegnać wybuch, który wszystkim zdawał się być wówczas nieuchronny.

Wyczuł to Fryderyk Wilhelm. Niesiony wypadkami w kierunku wojny ze swym szwagrem carem Mikołajem, otoczony nastrojonymi antyrosyjsko ministrami, otworzył przed obu dyplomatami brytyjskimi swą duszę. Na jednej z audiencji prosił Westmorlanda i Canninga, by wpłynęli na jego własny gabinet w kierunku poniesienia zamiarów stworzenia w poznańskim odrębnej armii polskiej. Gdy obaj Anglicy zwrócili mu uwagę, że dobrze jednak coś zrobić dla Polaków, dla uspokojenia opinii publicznej Europy, przyrzekł przyznanie poznaniakom swobód, graniczących w zasadzie z autonomią. Tymczasem po cichu przygotowywał dymisję von Arnima i powrót do dawnej polityki podporządkowania się Petersburgowi. Grając na czas, Brytyjczycy postawili na swoim. W maju i czerwcu nastroje rewolucyjne osłabły, a chwiejny monarcha odzyskał pewność siebie.

Poznańska mniejszość niemiecka przeszła do przeciwuderzenia, grając na ogólnie niemieckim szowinizmie. Parlament Frankfurcki, wbrew energicznemu wysiłkom Czartoryskiego, 331 głosami przeciwko 101 obalił wniosek Schaffratha o konieczności udzielenia poparcia niemieckiego sprawie polskiej. W Wiedniu przyszła do głosu reakcja pometternichowska z Fickelmontem na czele. Powstanie poznańskie stłumiono krwawo. Polskie obozy wojskowe w Książu i w Miłostawiu zostały opanowane i rozbrojone. Windischgraetz zbombardował Kraków, dusząc tym samym główny ośrodek działalności politycznej w Małopolsce Zachodniej. W Małopolsce Wschodniej administracja austriacka wygrała rosnące przeciwieństwa polsko-ruskie. Parlament Frankfurcki mając do wyboru albo wojnę z Rosją, trudną i pełną ryzyka, lub też poparcie „pacyfikacji” poznańskiej, wobec bezbronnej ludności polskiej, po krótkich wahaniach i paru płomiennych mowach opowiedział się ostatecznie pomimo protestów zapaleńców za pruską polityką silnej ręki. Nie pozostał na to bez wpływu obradujący od maja Kongres Słowiański w Pradze: jego delegaci odcięli się wprawdzie od despotyzmu mikołajewskiego, lecz przeciwstawili się również i ekspansji wpływów niemieckich na zachodnią słowiańszczyznę.

Baron Circourt, ambasador francuski w Berlinie, zgadzając życzenia swego mocodawcy, Lamartine'a i Bastida, posyłał raporty w duchu „L'ordre reigne en Posnanie”, podczas gdy w Wielkim Księstwie lała się krew polska. Szlachetny Lord Westmorland słał również obłudne i kłamliwe raporty o „prześladowaniach ludności niemieckiej i żydowskiej”. Londyński „Times” pelen był w tym samym czasie szczegółów okrucieństw popełnionych rzekomo przez powstańców polskich na Niemcach, co miało być powodem interwencji pruskiej.

Sterroryzowane zsyłkami, zalane wojskiem Królestwo ani drgnęło, pomimo wysiłków rewolucyjnych

radykałów emigracyjnych, którzy raz jeszcze parli do powstania. Książę przeciwstawił się temu stanowczo. Był on zdania, że kraj jest zbyt wykrwawiony i wyczerpany, by mógł pozwolić sobie na nową ruchawkę. W tym sensie posyłał instrukcje dla swych agentów krajowych. Tłumaczył on, że dywersja byłaby dopuszczalna tylko w wypadku interwencji mocarstw zachodnich. Ta jednak nie nadeszła.

Car Mikołaj odetchnął. Bez wojny Rosja opanowała sytuację. Rozpoczęły się nowe aresztowania i zsyłki na Sybir. Równocześnie władze pruskie likwidowały resztki przedostających się do poznańskiego drobnych oddziałów sformowanego we Francji Legionu Polskiego. We Włoszech nie doszło do sformowania legionu polskiego, jako zawiązka słowiańskiej armii, mającej powstać z dezertorów austriackich.

W lipcu Książę Adam stracił ostatecznie wiarę, którą dzielił ze swym przeciwnikiem Mierosławskim, w możliwość wojny francusko - pruskiej przeciwko Rosji. Wrócił do Paryża uleczony ze złudzeń, jakie początkowo żywił wobec Prus. Do reszty przybiła go wiadomość, iż Papież, który wydawał się popierać plany Karola Alberta Sardyńskiego, konfederacji Włoch wycofał się z przedsięwzięcia pozostawiając króla własnym jego losom.

Pomimo jednak tych niepowodzeń walących się nań zewsząd, początkowe powodzenia sardyńskie w Lombardii, oraz postępy rewolucji węgierskiej otwierają pewne możliwości działania. Austria jest przecież drugim z rzędu wrogiem Polski i całej Słowiańszczyzny zachodniej. I tutaj Czartoryski powraca do swej przewodniej idei budowy braterskiej Federacji Wolnych, dobrowolnie zjednoczonych ludów. Polska i Węgry będą w niej ośrodkami, dookoła nich zgromadzi się wszystkie ludy, którym z jednej strony zagraża niemczyzna, z drugiej napotyka azjatycka Rosja; jej słowiańskie hasła brzmią jak groźba zniszczenia. Polsce przypada rola inicjatora Konfederacji i mediatora, pośrednika w sporach pomiędzy jej członkami. Trzeba wyzwolić, powtarza często Książę swemu otoczeniu, Słowiaństwo zachodnie od wpływu Rosji, objąć przewodnictwo czynnego przykładu i twórczej idei, należy pogodzić Madziarów z otaczającymi ich ludami słowiańskimi, wytłumaczyć przyjacielom, Węgrom, konieczność zarzucenia postawy wyższości, a zbratania się z Chorwatami, Słowenami, Serbami i Słowakami.

W sierpniu, gdy sprawa polska jak zwykle po porażkach dyplomatycznych zdawała się schodzić w podziemia konspiracji, książę Adam podejmował próbę rozegrania swego planu federacyjnego. Do Białogrodu wysłany zostaje Barzykowski, jeden z najczynniejszych działaczy w Hotelu Lambert. Do Stambułu, Budapesztu i na Bałkany idą nowe instrukcje. Orpiszewski w Rzymie otrzymuje polecenie przyspieszenia pracy nad stworzeniem polskiego ośrodka wojskowego w Lombardii, który byłby zawiązkiem siły zbrojnej, złożonej ze słowiańskich dezertorów z armii habsburskiej. Mają oni tworzyć mieszane pułki ze sztandarami z Orłem, Pogonią i Archaniołem. Na czele tego ośrodka staje syn księcia Adama, Witold. W Paryżu Czartoryski przekonuje za pośrednictwem ambasadora węgierskiego hr. Telleky, rząd i sejm budapeszteński o konieczności doprowadzenia do ugody z Rumunami oraz słowiańskimi ludami monarchii i stworzenia wspólnego frontu antygermańskiego. Telleky jest usposobiony przychylnie; przekazuje sprawę do Budapesztu. Jednak sprzeciwia się temu Kossuth: upojony pierwszymi sukcesami, prze-

zenia on możliwości węgierskie, jest nader podejrzliwy wobec inicjatywy Czartoryskiego, którego oskarża o stronniczość na rzecz Słowian. Książę nie daje za wygraną. Tłumaczy, nalega, ostrzega. Kossuth jest nieustępliwy, zaślepiony.

Pozostawały jeszcze Włochy. Tam jednak również, po początkowych sukcesach klody zaczęły walić się pod nogi. Papież zmienił swoją przychylną, jak się pierwotnie zdawało, postawę wobec Polski. Zawarł konkordat z Rosją. Wycofał swe poparcie dla włoskiej akcji zjednoczeniowej. Odmówił błogosławieństwa dla kadry legionu słowiańskiego, wyruszającej do Lombardii.

Dywersja Mickiewicza, który zdołał zgromadzić dookoła siebie około 200 ludzi, utrudniała pracę werbnikową i organizacyjną Księcia Witolda i Zamoyskiego. Skrajnie panslawistyczne, nieprzemysłane hasła rzucane przez wieszczą krzyżowały na każdym kroku poczynania agenta Hotelu Lambert — Orpiszewskiego; miał on obok ambasady rosyjskiej do zwalczania i dementowania proklamacje i nieścisłe komunikaty swoich, ponosząc gorzkie skutki rozbicia Polaków na dwa obozy.

Jednakże pomimo klęsk Karola Alberta pod Custozą i Novarą, pomimo niepowodzeń planu Legionu Słowiańskiego w Lombardii, na wiosnę 1849 r., sytuacja wydaje się ciągle jeszcze dość korzystna. Bem i Dembiński odnoszą zwycięstwa nad wojskami austriackimi, przysyłając swym autorytetem samego Kossutha. Armia austriacka jest zdemoralizowana. Kossuth planuje nawet marsz na Wiedeń. Sytuacja wydaje się przez pewien czas tak korzystna, pomyslna, iż nawet Czesi, w osobie Rygiere podporządkowują się inicjatywie Czartoryskiego, o której dotychczas nie chcieli słyszeć. Wszystko wydaje się teraz zależeć od wspaniałomyślności węgierskiej, od dogadania się Madziarów ze Słowianami.

„Rewolucja wiedeńska w połączeniu z ruchem wolnościowym Węgier i Włoch — pisał Ziemiałkowski w swych pamiętnikach — zdawała się tak dalece łamać podstawy potęgi habsburskiej, że nie trzeba było się lękać, aby Austria potrafiła kłaść jeszcze kiedykolwiek hamulec podzwignięciu się Polski”.

Ale waląca się Austria potrafiła jeszcze rzucić przeciwko Węgrom, Chorwatów z Banem Jelačićem i rozpaczliwym skinieniem zawezwać pomocy Rosji. Mikołaj nie po to trzymał w Królestwie 300 - tysięczną armię, by tolerować triumfy buntowników węgierskich, prowadzonych przez polskich emigracyjnych generałów. Ekspedycja Paskiewicza Erywańsko-Warszawskiego położyła kres nadziejom węgierskim i polskim. Ostatnie zarzewie wolności zostało krwawo stłumione.

Sierpień 1849 r. znaczy koniec planów Czartoryskiego. Wiosna Ludów nie przerodziła się w upragnioną wojnę ludów o wolność. Bem wycofuje się z resztkami wojsk do Turcji i przyjmuje Islam, wraz z Czajkowskim. Do Paryża poczynają napływać niedobitki rewolucji, która przez półtora roku wstrząsnęła Europą, a była tak bliska od osiągnięcia swych celów, iż przez pewien czas nie śmieli o tym wątpić nawet najzgorzalsi jej przeciwnicy. W Berlinie, po krótkotrwałych przebłykach liberalizmu, zwyciężył nacjonalizm pruski i służalstwo wobec Rosji. Francja i Anglia trwały w zaskorupiałym oportuniźmie. Jak powiedział jesienią 1849 r. w Izbie Deputowanych Montalambert „królowie powrócili na trony, ale wolność nie odzyskała już swego tronu, który miała w naszych sercach”. Nad Dunajem, w Wiedniu zatriumfował duch wygnanego Metternicha. Włosi dali się, jak zwykle, pobić Austriakom. Polacy, pomimo ofiarności i zapału, jeszcze raz wykazali zbyt mało przygotowania, przewidywania i wy-

trwałości, Węgrzy wykazali ciasnotę i zaślepienie nacjonalistów, niezdolnych w dziejowej chwili zdobyć się na wspaniałomyślny gest pojednania ze swymi słowiańskimi sąsiadami. Taki był plon miesięcy, które przewaliły się burzliwe, a bezpłodnie niemal przez Europę wydarzeniami, a mogły zmienić bieg dziejów na stulecia.

Potężny ten wstrząs, choć przytłumiony, a wreszcie opanowany, pozostawił jednak po sobie pewne ślady. Obok poetyckiej legendy, dał on rozluźnienie tyranii, jaką nad Europą sprawowały mocarstwa Świętego Przymierza. Jedynym wyjątkiem była Polska, nad którą całun milczenia zarzucony został na lat przynajmniej sześć.

„Przy powszechnym wstrząśnięciu — pisał Książę Adam w liście do Orpiszewskiego — wszędzie wszyscy korzystają. My jedni nic zyskać nie możemy, bo z jednej strony nikt, nawet ci, którym to interes własny, lub powinność wskazuje, nie chcą nam ręki podać...”.

Listopadowym wieczorem roku 1848 „błędny rycerz dyplomacji europejskiej” zajęty był w swej Bibliotece porządkowaniem tajnych raportów, przywiezionych przez jego emisariuszy z kraju; donosiły one głównie o zsyłkach młodzieży na Sybir, o nowych aresztowaniach. Był już zmierzch. Na bulwarach zapalano już gazowe latarnie; wśród nadekwańskiej mgły stały one przez szyby żółtawą poświatą. Wśród stosu dokumentów, depesz i notatek, książę natrafił na rękopis wiersza. Po charakterze pisma poznał Norwida. Nie mógł się oprzeć by czytać go właśnie teraz, po ciemku niemal. Wiersz

zaczynał się od słów: „tam, gdzie ostatnia świeci szubienica...”.

Książę zatopił się w odcyfrowaniu przyblakłych znaków. Było tak ciemno, że musiał przysunąć się do okna: stare oczy wchłaniały znaki wyblakłych liter na bibułowym papierze. Czytał...

„Gdy ducha z mózgu nie wywikłasz tkanin,
Wtenczas cię czekam, ja, głupi Słowianin
Zachodzie ty”.

„A tobie Wschodzie znaczą dzień widzenia,
Gdy już jednego nie będzie sumienia
W ogromni twej”.

Książę wstał i przysunął się tuż do samej szyby, przez którą sączyły się światła migotliwych latarni. Był porwany i odurzony.

„Południe kłańsz mi, bo ty klaszczesz mocy,
A ciebie minę, o głucha Północy,
I wstanę sam”.
Braterstwo ludom dam, gdy lzy osuszę,
Bo wiem co wartość ma, co ścierpieć muszę.
Bo już się znam”.

Książę skończył i zapadł z powrotem w fotel. Zrobiło się już zupełnie ciemno. Był wyczerpany i podniecony zarazem, a obrazy minionych miesięcy niedawnego porwy przesuwają mu się jak w kalejdoskopie. „Tak — wyszeptał — Wiosna Ludów przychodzi chyba raz na sto lat. Ale — ale chyba każde stulecie musi mieć taką Wiosnę. Może następna zakończy się inaczej. Pomysłniej dla ludów...”.

NEKYIA

Paryż. Z dnia na dzień potężniej pomruk wielkiego miasta. Wysznięte przez długie lata koryta Bulwarów wezbrały na nowo. Toczy się w nich burzliwy potok samochodów. Na wielkich skrzyżowaniach ulic i placach granatowi policjanci rozsypują cierpliwie grube węzły maszyn. W powietrzu unosi się coraz więcej błękitnego dymku spalin i powraca znajomy zapach ulicy. Paryż pachnie jak dawniej, swoiście, podniecająco.

Zabłyły znowu kuszące spojrzenia neonów, wzrok lgnie do szklanych ścian rozświetlonych wieczorem akwariów kawiarń. Coraz więcej autobusów, więcej taksówek i coraz mniej ludzi w mrowisku kolejki podziemnej. Gdy w górze wzrasta niepokoju, na peronach paryskiego „Métro” powraca cisza zapadłych stacyjek. Ale w tym wielkim mieście, reprezentacyjnym i pięknym, rozfalowanym na nowo ruchem i światłem, tym wyraźniej powraca także urok tego, co stanowi jego prawdziwą tajemnicę.

Paryż to wielkie miasto małych miasteczek, tych „quartiers” żyjących swoim życiem, zamkniętym i prowincjonalnym. Gdzieś z daleka, jak odgłos zza ściany, dolatuje tu gwar nowych czasów i spleciony z tym, co przebrzmiało już dawno, tworzy jakiś dziwny i harmonijny dźwięk, w którym słychać wszystko. Wszystkie epoki usiadły tu razem i mówią ze sobą. Wśród starych murów, na cichych placach panuje zawsze jeden wielki Czas — czas teraźniejszy wszystkich czasów przeszłych. Nie ma umarłych, nic nie minęło; trwa wszystko i żyje tak, jak dawniej. W ubogiej uliczce Lewego Brzegu dźwięczą nieodmiennie słowa Kamila Desmoulins i Dantona wbijane twardą pięścią w cynowy bufet brudnego „bistrot”. Na poczerwiałych murach domów bieli się kredą napis „Vive le roi” obok afisza z sierpem i młotem. „Camarades!..” A w cichy wieczór wiosenny, wśród zieleni Passy, słychać szepc ludzi, co odeszli stąd dawno i prychnący „Citroën”, prowadzony ręką wytwornej kobiety, łatwo staje się kabrioletem George Sand, Księżnej d’Agoult...

Mózg zmęczony wieżą Babel pism, dzienników i radia, przeciąga się tu z rozkoszą i odpoczywa. Zapomina się tu o tym, o czym każą pamiętać i przypomina się to, co dawno już zapadło w głąb, zduszone przykazaniami nowego świata. Każdy dom, każdy kamień rzucają nieme pytania. Coraz trudniej na nie odpowiadać... Lecz gdy można z nimi pomówić, gdy odezwać się wydobyte z trudem i zapomniane dziś myśli, wtedy czuje się ich prawdziwą wartość.

W jeden z tych wiosennych wieczorów, pachnących wilgotną zielenią, zapadłem w małej i dziwnej uliczce. Przebiega ona u stóp domu Balzaca w dzielnicy Passy. Dom zamieniono dziś na muzeum, a uliczka ta też jest zabytkiem. Wśród nowoczesnych kamienic z tarasami, w pobliżu fabryki Citroëna, zakątek ten przetrwał nienaruszony. Mały domek parterowy, wstawiony w rozczochrany ogródek, pozostał takim, jakim był za życia Balzaca, który mieszkał tu pod przybranym nazwiskiem M. de Breugnot. Pseudonim chronił

go przed zgrają wierzących. Czar tego domku, urok tamtych lat promieniuje wokół. Poniżej kłębi się zbita zieleń parku, otaczającego pałacyk Księżnej de Lamballe. Przysiadłem na kamieniu wkopanym tu w roku 1731 jako granica pomiędzy „seigneureries” Auteuil i Passy. Myśl, oderwawszy się od trzymanego w ręce zwoju gazet, przeskoczyła wstecz i zaczęła się błąkać.

Tak — Balzac miał ochotę na ten pałacyk w dole. Ilekroć wyszedł z domu do ogródka, patrzył w tamtą stronę. Wietrzył interes. Obliczał sobie, że go kupi za 300.000. — Frs., a sprzeda za milion. Stracił wiele, że nie żyje teraz. Ile możliwości dla jego żytki do handlu... Własnymi książkami mógłby obracać „na czarno”. Ten pałacyk długo go niepokoił. A potem pisał do Wierchowni, że pragnąłby go dla niej, dla p. Hańskiej. Tu, w tym domku, powstały pisane w nadludzkim tempie atryamentem i czarną kawą „Urszula Mirot”, „Proboszcz wiejski” i wspaniałe „Kuzyn Pons”. Stąd pisał do p. Hańskiej: „Pracować, droga Hrabino, oznacza to dla mnie wstawać o północy, pisać do 8-ej rano, spożywać śniadanie w ciągu kwadrans, pracować do 5-ej po południu, zasypiać i rozpoczynać znowu o północy”.

Zapadał zmrok i cichł dolatujący z dala gwar miasta. Opustoszały ulice, zabłyły latarnie. Poszedłem stąd dalej. Przechodzi się to obok tarasu, stanowiącego resztki „Chateau de Passy”, tulące się do jakiegoś znacznie młodszego domu. Pałac ten kupił w r. 1722 Samuel Bernard. Wtajemniczeni twierdzą, że to bardziej p. Samuel miał prawo powiedzieć „l’Etat c’est moi” aniżeli Ludwik XIV. Mieli oni między sobą jakieś poważne rozrachunki i podobno Król-Słońce tkwił mocno w kieszeni M. Bernard... Ano — oni wtedy nie przenieśli się jeszcze do Ameryki... W każdym razie „lend and lease” musiał być pokazny biorąc pod uwagę te honory i przyjęcie p. Samuela w Marly. Szło to potem z dymem prochu pod Nordlingen i Sommershausen. Pograżony w rozważaniach nad Traktatem Westfalskim, zablakałem się pod jakiś inny dom — bardzo dziwny.

Stał samotny wśród okrywającej go zieleni niewielkiego ogrodu. Przeżarta rdzą żelazna furtka zamknięta, brak numeru. Wyłożona kamiennymi płytami ścieżka, prowadząca do ganku, zarosła krzakami. Bluszcz, rozpełzły po ziemi, wczółgał się na schody i do pustych oczodołów okien. Gałęzie drzew powrastały do pokoiów na wyższych piętrach i przebiwszy zmurszały dach, sięgały do środka, jak grube, żylaste ręce. Wśród zamieszkałych wokół domów, na ludej ulicy, czynił on wrażenie czegoś tajemniczego i nierealnego. Stałem przed nim urzeczony jego zagadką. Ale zmysł praktyczny zapanował nad rzuconym urokiem. Może by go można wynająć? Odrestaurować jako tako i jeszcze wziąć potem dobre odstępnie... Bliskość Balzaca działała. I równocześnie przypomniła mi się jedna z jego nowel: „La Grande Bretèche”. Też opuszczony dom, gdzie Comte de Merret zamurował żywcem w małym „cabinet de toilette” kochankę swojej żony. Był to jakiś Hiszpan, wysiedlony z kraju przez Napole-

ona. Ponieważ Comtesse przysięgła, że w tym „cabinet” nikogo nie ma, hiszpański D. P. był tak rycerski, że nie skompromitował pani de Merret i dał się dyskretnie zamurować. Nie wyszedł. Opuszczona przez męża, Comtesse de Merret przeniosła się z „Grande Bretèche” do zamku, zabraniając w testamencie wynajmowania tego grobowca. Zaciekawiony nie mniej, aniżeli Bianchon, który odkrył tajemnicę „La Grande Bretèche” w rozmowie z pokojówką hrabiny — wszedłem do wielkiej kamienicy naprzeciwko, aby porozmawiać z konsjerżką. Ona wiedzą wszystko. Zobaczywszy mnie, odgadła od razu po co przyszedłem:

— Monsieur pewnie w sprawie tego domu. Oui, oui, — ciągle tu przychodzą. Mais rien à faire. C’est honteux, ale właściciel nie chce tego nikomu wynająć. Nie wolno mi nawet podać jego adresu. Nikomu — vous comprenez?

Byłem olśniony. Konsjerżka patrzyła na mnie ze zdziwieniem. Ale nie mogłem jej przecież tłumaczyć, że jest to jeszcze jeden dowód więcej na poparcie twierdzenia O. Wilde’a o naśladowaniu sztuki przez życie. Toteż dorzuciłem coś modnego o braku mieszkań robiąc smutną minę. Machnęła ręką.

— Oh Monsieur, brak teraz wszystkiego. Zabrało już nawet idiotów, aby utworzyć nowy rząd...

Rzeczywiście. Konsjerżki są jednak wielkie. Poczulem ciężar gazet pod pachą i pomyślałem sobie ile głębokiej filozofii zawierały te słowa. Wszedłem na ulicę.

Było już prawie ciemno. Puste okna wśród czarnej zieleni patrzyły na mnie i rzucały dziwny urok. Coś przyciągało mnie do tego domu i nie pozwalało odejść. Stałem pod furtką i pociągnąłem za resztki drutu od dzwonka. Pisynele zardzewiałe kółka, drut zerwał się gdzieś wśród krzaków z cichym jękiem. Wydało mi się, że pękło ostatnie połączenie ze światem. Spojrzałem, czy nikt nie idzie i jednym susem przeskoczyłem przez furtkę.

Wpadłem w gęstwę krzaków. Pochyliłem, przedarłem się na drugą stronę domu. Tylne drzwi, wywalone, wychodziły na mały gazon porosły wysoką trawą. Dwa stare drzewa rzucały tu cień i mrok był gęstszy. Na jasnej plamie nieba, ponad dachem, przeslizgiwały się bezszelestnie nietoperze. Cisza panowała zupełna. Byłem przekonany, że dostałem się w jakiś inny świat. Oparty o drzewo patrzyłem na ciemną rozpadlinę drzwi i ogarnął mnie niemiły strach. Zdawało mi się, że za chwilę wyjdzie z nich ktoś i straszliwym spojrzeniem skarci za zakłócanie milczenia. I wtedy to, gdzieś z głębi, wraz z rytmem bijącego szybko serca, zapomniane i początkowo małe, wyszło jedno słowo i zapeliło wszystko wokół: Nekyia.

To tytuł jedenastej księgi „Odyssei”, księgi umarłych. Jak to było? Pamiętasz? Odysseusz, wracając do ojczyzny, przebywa po drodze ocean, oddzielający świat żywych od siedzib umarłych. Przybija do jakiejś mglistej wyspy Kimeryjczyków. Tam ma zapytać cienia Tejrezjasza, w jaki sposób uda mu się powrócić do kraju rodzinnego. W tej pustce tutaj, naprzeciw czarnego otworu drzwi ziejącego martwotą i śmiercią, słowo „Nekyia” zaczęło mi przeciągle wyc, jak wicher cmentarny. Strach, zwykły i pierwotny mieszał się z półśmiechem wspomnień i analogii będących jak pogwizdywanie dla dodania sobie odwagi.

Bo właściwie jest taka wyspa, podobna do tamtej. Też mglista i też z innego świata. Ale czy się ci Odysseusz czegoś na niej dowiedzą? Odysseusz, pouczonej przez Circe, wie, że aby zmusić cienie do rozmowy, musi napić je ciepłą krwią. Zarzyna jagnię i odpędzając natrętnych, podstawią puchar z posoką tym, których pragnie usłyszeć. Wówczas to dowiaduje się rzeczy bardzo ważnych. Nie tylko Tejrezjasz udziela mu światłych rad aby nie drażnić Słońca (ham — z tym słowem...), nie tylko rozmawia z matką i z przyjaciółmi poległymi pod Troją, ale także ku swemu wielkiemu zdziwieniu dostrzega tam Agamemnona. Wodza Naczelny wyprawy. Cóż się stało? Przecież razem wyruszyli do domu. Daje mu więc łyk krwistego napoju i słyszy rzeczy ponure. Agamemnon powrócił do kraju wcześniej i — zlikwidowano go tam z całym sztabem. W czasie jego nieobecności warunki uległy zmianie i biedny syn Atreusza nie nadawał się do towarzystwa. W tragicznych strofach opowiada o tym.

Nietoperz przeleciał mi nisko nad głową, a jakiś nagły powiew poruszył koronę drzew. Obwisła bezwładnie rywna brzołka, skrzywnęła i trzasnęła spróchniała okiennica. Z chaosu zapomnianych wierszy, z miarowego stuku heksametru, tłukącego się w głowie, odpryskuje coraz więcej słów jak przy rozbijaniu twardego kamienia...

ἄλλο δὲ τοι ἐρέω, σὺ δ' ἐνὶ φρεσὶ βάλλεο σῆσιν
Κρόβδην μὴδ' ἀναφανδὰ φιλῆν ἐς πατρίδα γαίαν
νῆα Κατισχέμεναι.

Tak. Radził mi, że jeżeli pragnie wrócić do milej ziemi ojczystej, to „krybden” a nie „anafanda” tzn. w sekrecie, a nie jawnie. Oni też mieli swoje problemy repatriacyjne. Odysseusz posłucha jego rad i wróci „krybden”. Hm — tymczasem ani „krybden”, ani „anafanda”...

Wsluchany w miarowy rytm wiersza, który odżył tu nagle i nie postarzał się, słyszę go na tle powracającego ciągle słowa „Nekyia”. I myślę o tych innych, co odeszli do mglistego kraju Kimeryjczyków. Tu, na tej ulicy, w tej „Grande Bretèche” paryskiej, co stoi od dawna opuszczona i poza światem, schodzą się napewno cienie wielu ludzi. Iluż bywało ich w pałacu M. Bernard, rzucając tu myśli, które wtedy budziły umysły świata, a nie usypiały. Może potem był tu sąsiad Balzac, a z nim wielu innych. Cisną się znajome nazwiska; może... Obawa i jakby oczekiwanie czegoś dziwnego wprawiają myśl w podniecenie. Urzeka ciemny otwór drzwi, jak wrota zakazanej krainy. Strach i ciekawość popychają ku nim, dźwięczy jak zakłęcie grecki wyraz, pełen śmierci i pustki. Zbliżyłem się powoli i wszedłem.

Cicho i ciemno. Po prawej stronie wąskiego korytarza wywalone drzwi i wielki pokój. Dalej drugi i trzeci. Na ulicy błyszczą latarnie i światło ich, przesiane przez liście drzew, wpadło przez puste okna do środka. Podłoga wydartą, marmur z kominka znikł. Odklejone wilgocią tapety zwisały ze ścian w strzępach i szeleściły poruszane przeciągiem, co chodząc tu bezszelestnie. Z jakiegoś kąta wyszedł szczer i podreptał spokojnie do drugiego pokoju. Martwa pustka i mglisty półmrok. Stoję i słucham. Tłucze się serce, bije w skroniach. Tłoczą się imiona, odżywają dawno wypowiedziane słowa. Co powiedzieliby dzisiaj? Jakim zakłęciem przywołać ich tutaj, ożywić? — Twarz musnął powiew. Zapach pleśni, zmieszany z jakimś innym u-

derzył w nozdrza. To mdły zapach farby drukarskiej, bijący od paczki gazet pod pachą. Zapach krwi zarzynanej jak jagnię, dzień po dniu, prawdy. — Gdybyż zapach tej farby... Prawda? — Oni też czuli ją i wyrażali lepiej i jaśniej... Niedorzeczne pragnienie usłyszenia jej z umilkłych dawno ust. Coś zaszeleściło w drugim pokoju i nagle poczułem, że nie jestem sam. Są. Przyszli.

Słyszałem już tylko głośnie uderzenia serca i patrzyłem na nikle płamy światła. Zaczęły drgać i wydłużać się w smugi. Cofnąłem się i utkwilem w nich wzrok. Rosły postacie. Pokój ożywił się i rozróżniłem w pomroce kilka twarzy i sylwetek. Ten „bon gros” potężny i otyły, to Balzac. Tak — od tyłu głowy do obcasów linia prosta, przód jak profil asa pikowego. Ponury jak Ajaks, siedzi po turecku wąsаты i łysawy Flaubert. Przechadza się pod oknem H. Taine. Oparty o resztki kominka stoi przygarbiony Renan. W drugim pokoju, bardziej odległe, migają białe peruki i białe pończochy. Ktoś wchodzi, ktoś wychodzi; znajome postacie to nikną, to podchodzą bliżej. Drżę z obawy i z ciekawości. Zapytać ich tak, jak Odysseusz. Wyciągnąłem rękę z gazetami. Stojący bliżej zbiegli się. Poczułem, że wyrywano mi je z rąk. A potem milczenie i szelest papieru. Niecierpliwie się. Drżącym głosem rzucam nieśmiało pytanie:

— No i cóż panowie myślą o tym, co dzieje się dzisiaj?

Ktoś podszedł do mnie i poznałem go. To G. Le Bon. Rozstawił nogi i trzymając w ręce zwinięty dziennik, mierzył nim we mnie jak z pistoletu.

— Epoka, w którą wkraczamy będzie naprawdę Erą Tłumów. Żądania tłumów stają się dzisiaj coraz to wyraźniejsze i idą w kierunku zupełnego zniszczenia obecnego społeczeństwa celem sprowadzenia go do prymitywnego komunizmu, który był normalnym stanem wszystkich grup ludzkich przed świtem cywilizacji.

Tu Balzac nie wytrzymał i machnął jakimś tygodnikiem. Tubańnym głosem zwrócił się do wszystkich. Zauważyłem, że krawat miał rozwiązany. Jak zwykle.

— Panowie! Chociaż wcale na to nie wyglądam, świetnie przestudiowałem saint-simonizm, furieryzm i komunizm. Ten ostatni jest logiczną konsekwencją wszystkich „izmów”. Lud nie sprzecza się o byle drobnostki. Kroczy on wprost do ostateczności. Otóż co to jest komunizm? — To powrót do stanu zdziczenia — wszyscy mężczyźni, wszystkie kobiety jedzący przy tym samym stole, bez grosza w kieszeni, gdyż jeżeli tylko jest uroczony jadłospis, wówczas jeden oszczędza, drugi wydaje i oto brak równości, oto wojna. To nie maksimum, lecz minimum zapłaty za pracę wszelkiego rodzaju dla wszystkich pracowników, z batem plantatora włącznie, by zmusić leniwych i opornych do pracy...

— Wiedzą dobrze, że nie mogą urzeczywistnić równości w bogactwie, lecz mają nadzieję zrealizowania co najmniej równości w ubóstwie, — wtrącił Le Bon.

— Jest rzeczą nie do przyjęcia, aby człowiek rozsądny był komunistą — ciągnął Balzac. — Jeżeli Republika powróci kiedykolwiek we Francji, przepowiadam wam nie jednego Robespierre'a przeciwko Babeuf'owi, lecz sto tysięcy Robespierre'ów ponieważ prawdziwy republikanin musi być tysiąc-krotnie surowszy wobec komunizmu aniżeli monarchista. Komunizm jest najbardziej bezpośrednim i najbardziej gwałtownym wrogiem demokracji. Jest on naturalnym sprzymierzeńcem władzy absolutnej! Republika jest zdrowiem naturalnym i komunizm jest tu rakiem. Jest on szczęściem szarlatańców reprezentowanym przez despotyzm, który pod pretekstem leczenia zabija jeden przy pomocy drugiego, aby samemu zostać spadkobiercą...

Balzac zadyszał się. Flaubert skrzywił się ironicznie. Nigdy nie darzył Balzaca zbyt wielkim szacunkiem. To też, nie zwracając się nawet w jego stronę, wycedził wolno, pogardliwie:

— Nie czuję żadnej nienawiści do komunistów po prostu dlatego, że nie darzę nienawiścią wściekłych psów. Doświadczenie dowodzi, iż żadna forma ustroju nie zawiera dobra samego w sobie; orleanizm, republika, cesarstwo już nic nie mówią, ponieważ idee najbardziej sprzeczne mogą pomieścić się w każdej z przegródek. Wszystkie sztandary zostały do tego stopnia splamione krwią i g...m, że byłby czas nie mieć żadnego. Wielkim morałem republiki będzie udowodnienie, że głosowanie powszechne jest tak samo głupie, jak prawo boskie, jakkolwiek mniej wstrętne. W takim, jakim zostało ono ustanowione, jeden jedyny element przeważa na niekorzyść wszystkich innych: liczba panuje nad duchem, nad wykształceniem, nad rasą, Masa, liczba, są zawsze idiotyczne. Nie mam wielu przekonań, ale to jest we mnie silnym. Nie mniej jednak trzeba liczyć się z masą, choć tak tępą jak jest, ponieważ tkwią w niej zarodki płodności nie dającej się obliczyć. Dajcie jej wolność, ale nie władzę. Jeżeli Francja.....

Le Bon przerwał, uśmiechając się sceptycznie:

— Francuzi troszczą się w stopniu bardzo słabym o wolność, lecz zato pragną zachłannie równości i znoszą z łatwością wszelkiego rodzaju despotyzm, byleby ten był tylko bezosobowy.

Mówiąc to, podał Flaubertowi wymownym ruchem egzemplarz „L'Humanité”. Ale ten machnął ręką ze zniecierpliwieniem:

— Od r. 1815 nie robi się nic innego, jak tylko dyskutuje nad formą zewnętrzną, jaką należy nadać istocie fantastycznej i nienawistnej, zwanej Państwem.

Le Bon pokręcił przecząco głową dając do zrozumienia, że pozory mylą.

— Nie ma narodu, gdzie partie polityczne byłyby liczniejsze i bardziej wrogo usposobione wobec siebie. Lecz wspólnym ideałem wszystkich partii, od najbardziej rewolucyjnych do najbardziej kon-

serwatywnych, jest zawsze absolutyzm Państwa. ETATYZM jest jedyną partią polityczną Francuzów. Dusza Jakobina, klerykała lub socjalisty nie różni się zupełnie na tym punkcie. Francuzi wydają się wielkimi miłośnikami równości.....

Balzac znowu nie wytrzymał i przerwał Le Bon'owi. Chwyciwszy go za kłapy surduta, zaczął huczeć i ciskać się:

— Proklamując równość wszystkich, ogłosiło się deklarację praw zawiści. Saturnalia Rewolucji odbywają się dziś u nas w spokojnej pozornie dziedzinie ducha, przemysłu i polityki; to też wydaje się obecnie, że jakkolwiek przywilej nabyty dzięki pracy, oddanym usługom lub talentowi jest przywilejem przyznanym na koszt masy. Ustawę o reformie rolnej rozszerzy się niebawem aż do pola chwały włącznie...

— Od dołu do góry panuje zawiść, a pogarda od góry do dołu — dorzucił Le Bon.

Flaubert, siedząc ciągle po turecku, oparł brodę na rękę i dumiał. Samotnik z Croisset nie był łatwym w rozmowie:

— Nie wierzę w różnicę klas — burknął od niechceni. Kasty należą do archeologii. Ale wierzę, że biedni nienawidzą bogatych i że bogaci boją się biednych. Tak będzie wiecznie. Głosić miłość, tak jednym jak i drugim, jest rzeczą zbędną... Cierpimy li-tylko z jednego powodu: z powodu głupoty. Jest ona straszliwa i powszechna. Kiedy mówi się o tępcie plebsu, mówi się rzecz niesłuszną, niekompletną. Konkluzja: należy oświecić warstwy oświecone. Zaczynajcie od głowy; ta jest właśnie najbardziej chora; reszta przyjdzie sama.....

Le Bon skrzywił się; miał poważne zastrzeżenia co do skuteczności wpływania na warstwy oświecone i przede wszystkim co do ich prężności:

— Myśliciel dostrzega zanadto złożoność problemów by mieć kiedykolwiek głębokie przekonania i zbyt mało zamierzeń politycznych wydaje mu się godnymi jego wysiłków, by miał podążać za którymkolwiek z nich. Zarówno w religii jak i w polityce, powodzenie jest zawsze po stronie wierzących, nigdy sceptyków; — i jeżeli dziś przyszłość wydaje się należeć do komunistów — pomimo niepokojącej absurdalności ich dogmatów, to dlatego że poza nimi nie ma nikogo, kto wierzyłby w cokolwiek. Współczesne sfery kierownicze straciły wiarę we wszystko. Nie wierzą one w nic — nawet w możliwość obrony przed groźnym potokiem barbarzyńców, otaczających ich ze wszystkich stron. Silne przekonanie jest tak odporne, iż jedynie równe przekonanie ma szanse zwycięskiej walki z nim. Wiara nie potrzebuje lękać się innego, poważnego wroga, jak tylko wiary...

Przysłuchując się tej rozmowie, zapomniałem że ludzie ci nie są żywymi. To też zwróciłem się do Le Bon'a:

— Wydaje mi się, że nie docenia pan roli, jaką coraz wyraźniej zaczyna odgrywać na świecie silny

nawrót do chrystianizmu z postępowym katolicyzmem na czele. Czy nie sądzi pan, że np. we Francji przejawia się on w stopniu bardzo silnym?

Le Bon nie zdołał mi na to odpowiedzieć, gdyż Flaubert zaczął się tak głośnie śmiać, że wszyscy zwrócili się w jego stronę nie rozumiejąc tego nagłego wybuchu wesołości. Nawet z sąsiedniego pokoju wychyliła się jakaś głowa w białej peruce; to sędziwy Jean Jacques nadstawił ucha. A Flaubert śmiał się ciągle, patrząc na mnie z wyraźnym politowaniem. W końcu wykrztusił:

— Gdy nie można pociągnąć społeczeństwa za sobą, przypręga się do niego z tyłu jak konie od platformy, gdy trzeba zjechać z góry i maszyna w ruchu ponosi cię, co jest środkiem ku posunięciu się naprzód. Ma się na usługach namiętności dnia. To jest tajemnicą wielkich powodzeń — i małych także.

Umiłkłem przygnieciony słusnością tej uwagi. Flaubert śmiał się dalej:

— Jeżeli zaś chodzi o podniesienie myśli masy, o danie jej szerszej koncepcji Boga — i co za tym idzie — mniej ludzkiej, to wątpię, wątpię w to...

Stojący dotąd przy oknie i pogrążony w czytaniu gazet, H. Taine podszedł do mnie i spoglądając spoza okularów w metalowej oprawie oddał mi pisma tak, jak oddaje się coś, co zna się już doskonale:

— Proszę przeczytać mowy wygłaszane z trybun i w klubach, sprawozdania, projekty ustaw, pamflety, całe mnóstwo pism czerpiących natchnienie w zdarzeniach obecnych i tak ważnych: żadnego wyobrażenia o tworze ludzkim takim, jaki się ma przed oczyma w polach, na ulicy; — wyobraża się go sobie zawsze jako zwykły automat, którego mechanizm jest znany. U pisarzy jest on pozytywką zdań; dla polityka jest on teraz pozytywką głosów, którą wystarczy dotknąć palcem w odpowiednim miejscu, by dała ona należyłą odpowiedź. Nigdy fakty; nic poza abstrakcjami, amfildady zdań o Naturze, Rozumie, Ludzie, Tyranach, Wolności — rodzaj wydętych balonów, niepotrzebnie potrącanych nawzajem w przestrzeni. Gdyby nie wiedziało się, że kończy się to rezultatami praktycznymi i straszliwymi, możnaby przypuszczać, iż to gra logiki, ćwiczenia szkolne, uroczystości akademickie, kombinacje czysto ideologiczne.

Le Bon miał na ten temat zdanie wyrobione. Uśmiechnął się z wyższością:

— Przestudiowanie szeregu cywilizacji następujących po sobie od początku świata dowodzi, że były one zawsze kierowane w swym rozwoju przez bardzo nikłą liczbę idei fundamentalnych. Gdyby historia ludów sprowadzała się do historii ich idei, nie byłaby ona nigdy długa. Jeżeli pewnej cywilizacji udaje się stworzyć w ciągu wieku dwie albo trzy myśli przewodnie i fundamentalne w dziedzinie sztuk, nauk, literatury lub filozofii, można uważać ją za wyjątkowo świetną.

Otóż jeżeli potrzeba wiele czasu, by pewne idee usadowiły się w duszy tłumów, to nie mniej czasu potrzeba na „wyprowadzenie” ich z duszy tłumów. To też tłumy, z punktu widzenia idei, są zawsze spóźnione o wiele generacji przed uczonymi i filozofami. Wszyscy mężowie stanu wiedzą dzisiaj ile niedorzeczności mieści się we wspomnianych przed

chwila ideach fundamentalnych, lecz wskutek tego, że wpływ ich jest jeszcze bardzo silny, zmuszeni są oni rządzić według zasad, w których prawdę przestali wierzyć...

Ostatnie zdania Le Bon wyskandował wyraźnie, wybijając takt ręką. Flaubert spojrział na stojącego opodal Rousseau i słyszał jak szepnął do Micheleta:

— Jakkolwiek znajduję się w trzodzie jego wnuków, człowiek ten nie podoba mi się. Sądzę, że wpływ jego był nieszczęsny. Jest on rodzicem demokracji zawistnej i tyrańskiej. Mgły jego melancholii zamroczyły w mózgach francuskich pojęcie prawa...

Michelet uśmiechnął się kwaśno. Taine spojrział w tamtą stronę i zauważył jakby do siebie:

— Wyłączyć kilka pojęć bardzo prostych i bardzo ogólnych; następnie — odrzucając doświadczenie — porównywać je, łączyć na różne sposoby i ze sztucznej mozaiki, złożonej w ten sposób, wydedukować przy pomocy odrobiny rozumowania wszystkie konsekwencje wynikające z niej...

— Zwyczajne i czyste twierdzenie, wolne od wszelkiego rozumowania i wszelkiego dowodu, stanowi pewny sposób przepojenia umysłowości tłumów pewną ideą. Im bardziej twierdzenie jest związane, pozbawione dowodów i wywodów, tym większy posiada ono autorytet — odpowiedział Le Bon.

Balzac, pogrążony w lekturze gazet, mruknął na to sentencjonalnie:

— Gdyby prasa nie istniała, nie należałoby jej wynajdywać!

Flaubert wstał i podszedł do okna. Zwrócony w stronę ulicy, syczał z pasją:

— Przeciwno głupocie tej epoki odczuwam strumienie nienawiści, które mnie duszą. G... o podchodzi mi do ust, jak przy zduszonych rupturach. Prawdę mówiąc wiele rzeczy przyprawia mnie o beznadziejność. W dniu, w którym przestanę być oburzony, rozłożę się na obydwie łopatki, jak kukielka, z której wyciąga się patyczek... Zwrócił się do wszystkich: — N i g d y, moi drodzy, nie miałem tak olbrzymiego niesmaku do ludzi. Pragnąłbym utopić ludzkość w moich wymiotach...

Balzac, potakując głową, podał mu kilka gazet. A ja zamarłem z przerażenia. Ten męczennik stylu, zamęczony lata całe użyciem w „Madame Bovary” nie dających się uniknąć dwóch dopełniaczy („Une couronne de fleurs d'oranger”) następujących bezpośrednio po sobie, objawiał się tu w postaci nieznannej mi dotąd. Tymczasem zramolały Berthelot, chcąc prawdopodobnie zalogować ogólny pesymizm, machnął niechętnie ręką:

— W r. 2000 nie będzie ani rolnictwa, ani pastuchów, ani rolników, ani wojen, ani granic... Każdy będzie miał ze sobą swą żywność składającą się z małej tabliczki azotowej, swoją małą bryłkę tłuszczu, mały kawałek mączki lub cukru, mały flakon korzeni aromatycznych... Człowiek stanie się łagodniejszy i bardziej moralny, ponieważ przestanie żyć z rzezi i niszczenia istot żywych... Ziemia stanie się wielkim ogrodem...

Ale optymizm jego nie wywarł żadnego wrażenia. Natomiast milczący dotąd i przysłuchujący się tylko rozmowie Renan, parsknął szyderczym śmiechem i zaczął niemal krzyczeć:

— Wiemy więcej niż przeszłość. Przyszłość będzie wiedzieć więcej niż my. Niech żyje przyszłość!... I przyskoczywszy do zdumionego tym nagłym wybuchem Berthelot'a, syczał mu prosto w twarz:

— Jeżeli nauka miałaby pozostać tym, czym jest, trzeba by ją znosić przeklinając; ponieważ zburzyła ona i nie odbudowała. Najważniejszym zagadnieniem jest fakt, iż nie możemy dostrzec na przyszłość — z wyjątkiem nawrotu do wiary — sposobu dania ludzkości katechizmu, możliwego odtąd do przyjęcia. Mówię szczerze, iż nie wyobrażam sobie, jak odbuduje się bez dawnych złudzeń fundamenty życia szlachetnego i szczęśliwego...

Le Bon westchnął:

— Jednym z wielkich błędów wieku nowoczesnego jest wiara, że szczęście zawarte jest jedynie w rzeczach zewnętrznych. Jest ono w nas samych, stworzone przez nas samych i prawie nigdy poza nami...

Zapadło milczenie. Tyłko Flaubert odłożył kilka gazet i burknął:

— Wcale nie jest miła obecnie ta biedna Francja — doprawdy — ani szlachetna przede wszystkim, ani dowcipna; — ale w końcu — to Francja...

Renan wsunął głowę w lekko przygarbione ramiona:

— Francja reprezentuje znakomicie okres analityczny, rewolucyjny, areligijny, obrazoburczy ludzkości... Bardzo być może, iż pewnego dnia Francja, spełniwszy swą rolę, stanie się przeszkodą dla postępu ludzkości i zniknie; gdyż role są głęboko różne. Ten, kto zrobił analizę, nie robi syntezy. Każdy ma do wykonania swoje dzieło — takim jest prawo historii...

Cisza; zdawało się, że wszyscy zastanawiają się nad tymi słowami. Korzystając z tego, zwróciłem się do Renana:

— A zatem czy nie sądzi Pan, że może Rosja...

Nie mogłem dokończyć. Powstało nagle straszliwe zamieszanie i krzyk. Z drugiego pokoju zbiegły się nowe cienie i jeden starał się przekrzyknąć drugiego. Obok marynarki Le Bon'a i surdutów pozostałych, pojawiły się inne ubiory, pomieszane ze sobą, jak za kulisami teatru. Stos gazet rzucony w powietrze, rozsypał się w nieładzie. Renan, onieśmielony krzykiem, jak w czasie pierwszego przyjęcia go u Magny, zamilkł. Jedynie Balzac, znany ze swego głośnego mówienia, przekrzykiwał wszystkich:

— Jeżeli w przyszłości, w czasie nie dającym się przewidzieć, Rosja wdrze się i zaleje świat, będzie miała ona wszystko do zawdzięczenia swojemu „esprit d'obeissance"... Zobaczycie, iż żaden naród świata nie jest lepiej zorganizowany dla podboju...

Ktoś zaśmiał się szeroko. To Rambaud wołał gestykując:

— Piotr Wielki przy pomocy uderzeń laską przyzwyczajał swą szlachtę do czucia się ludźmi wolnymi i Europejczykami...

Michelet trząsał siwą grzywą i bulgotał:

— Rosja wogóle nie liczy w Rosji. Nie ma narodu: jest jedno biuro i jeden bat...

Natomiast Rousseau, niezrażony tym wybuchem miętności i wrzaskami, spokojnie rozważał rzecz całą, zwracając się do Condillac'a. Widząc, że gardzi on nieopanowaniem swych uczniów, przysunąłem się bliżej, by usłyszeć coś mądrzejszego od zwyczajnych obelg.

— Rosjan nie uda się nigdy ująć naprawdę w karby, ponieważ ujęto ich za wcześnie. Piotr miał geniusz naśladowczy, nie miał prawdziwego geniuszu — tego, który tworzy i robi z niczego coś. Niektóre z jego dzieł były dobre, większość nie na miejscu. Dostrzegł, iż lud jego był barbarzyński, lecz zupełnie nie dostrzegł, że nie był on dojrzały do policji i chciał go cywilizować zamiast go tylko zahartować. Chciał on najpierw porobić ze swych poddanych Niemców, Anglików — podczas gdy należało rozpocząć od tworzenia Rosjan. Imperium rosyjskie będzie chciało uciskać, lecz będzie samo uciskane. Tatarzy, jego poddani lub sąsiedzi, staną się ich panami — i naszymi. To rozwiązanie wydaje mi się niemuśnikione...

Condillac słuchał uważnie i zgadzał się. Kiwał głową, uzupełniając te wywody:

— Piotr stworzył marynarzy, konstruktorów, żołnierzy, kupców, artystów; lecz jeżeli nie nauczył ich najpierw być obywatelami, jakież trwały zysk wyciągnie Rosja z jego prac, z jego wiadomości i z jego talentów? Wcale nie dzięki swym wytwórniom, kanałom i groblom Holandia jest tak wspańska, lecz dzięki duchowi, który ją ukształtował, dzięki prawom, które stworzyły jej wolność... Nie oczekiwało się od Piotra znajomości fachu cieśli, lecz żądało się prawodawcy.

Michelet nie potrafił dostroić się do rozsądnego tonu dyskusji i zwracając się do Condillac'a, opuścił w dół obydwie ręce jakby przecinając coś na dwie połowy:

— Świat Prawa ma swą granicę tam, gdzie była ona w Sredniowieczu — nad Wisłą i nad Dunajem...

Nie chcąc dopuścić do zupełnie wstecznej dysputy stwierdziłem, że wszyscy mówią tu o Rosji dawnych czasów, podczas gdy dziś zmieniło się wiele. Istnieją podstawy do twierdzenia... Ale powstał znowu gwar i zagłuszył moje wywody. Markiz de Custine gestykutował gwałtownie i nie dopuszczał żadnych „ale”:

— Rosja jest dziś oddalona zaledwie o cztery wieki od chwili najazdu barbarzyńców, podczas gdy Zachód przeszedł przez ten sam kryzys czternaście wieków temu: cywilizacja starsza o tysiąc lat rzuca niezmierny dystans pomiędzy obyczajami narodów...

— Pod bolszewizmem, zgodnie z prawem powtórzoną przykładami niejednej rewolucji zachodniej, urosła druga Rosja. I to odwieczna Rosja jest tą, która porusza się, szuka przestrzeni i oddechu w znaczeniu, w jakim Rosja szukała ich zawsze. Sowiecka czy nie, Rosja jest Rosją — konkludował J. Bainville, spoglądając to w moją stronę, to w stronę Micheleta.

— Tak, ale dziś wszystko przemawia za tym, że Rosja nauczyła się wiele. Ostatnie konferencje i pewna mądra ustępliwość... Znowu nie dopuszczono mnie do słowa.

— Crescendo kłamstw, fałszywych pozorów, iluzji... warknął Michelet.

Bainville pogroził mu palcem, ale też nie był bardziej łaskawy:

— Wielokrotnie już pomyłono się co do Rosji i właściwie myłono się zawsze, lecz szczególnie od czasu gdy Lenin objął władzę. Byłoby zatem nieostrożnością ufać oznakom umiarkowania i rozsądku, jakie wydaje się okazywać rząd bolszewicki. Abdul-Hamid i Cesarzowa Chin celowali również w sztuce obiecywania reform, gdy potrzebowali szlachetnych łask Europy...

— Dokonano tam jednak bardzo wiele i wszyscy, co zwiędzali Rosję... Nie — rozmowa była niemożliwa, bo Markiz de Custine dosłownie wrzeszczał:

— W Rosji widzi się wszystko to, co łaskawie zechcą pokazać...

Michelet zaczął wygłaszać sądy nie nadające się wogóle do powtórzenia. Sprawa Polski zaślepiała go zupełnie. Starając się na próżno dosięgnąć Markiza de Custine, zdołałem mu jednak powiedzieć, że ostatni raz był w Rosji przed r. 1840 i żeby lepiej milczał. Zresztą wszystkie kwestie sporne są już na najlepszej drodze i niebawem zostaną rozwiązane. Ale Bainville sądził inaczej:

— Czyż problem Turcji i Konstantynopola nie będzie jej interesował tak, jak interesował on Piotrow, Katarzynę, Aleksandrów i Mikołajów? A najpierw i przede wszystkim czyż nie rzuci ona okiem na swoje granice? Będą to konflikty prawie natychmiastowe, które — być może — nie pozostaną zawsze konfliktami czysto dyplomatycznymi. Będzie ona miała zresztą wielki środek, który pozwala mówić i działać, to znaczy armię, dowodzoną przez Brusilowów i Poliwanofa, będącego tak, jak za Cara, ministrem wojny.

— Rosja nie pragnie wojny i nie leży to w jej interesie. Mówi pan głupstwa i zupełnie nie dziwię się, że nawet na pańskim pogrzebie doszło do skandalu — odparłem sucho.

— Jeżeli jest możliwe, że Rosja podźwignie się bez nowych kryzysów i bez nawrotów do anarchii, to nie uzna ona tego wszystkiego, co zostało uczynione, lub uzna jedynie półgębkiem. Stanie się ona naturalnym sprzymierzeńcem tych, w których interesie będzie leżało przewrócenie traktatów, zaburzenie nowego rozkładu państw i terytoriów.

— Ach tak. Nareszcie wytłumaczył mi pan jej przyjazne uczucia dla nas — rzuciłem ironicznie. Zapewne pan wie, że dziś pomawia się cały kraj o chęć nowej wojny.

Bainville nie przejął się tym. Uśmiechnął się do mnie, marszcząc czoło:

— Armia Czerwona nie będzie naprawdę niebezpieczna dla Zachodu tak długo, jak długo masa rosyjska nie stopi się z masą niemiecką. Na Rosję nie możemy wyrzucić presji. Na Niemcach mogli-

śmy wszystko i możemy jeszcze wiele. To Niemcy należy uczynić niezdolne do zburzenia pewnego dnia pokoju z pomocą Rosji.

Podniósł jedną z gazet i wskazał wymownym ruchem na wielki artykuł: „Problem Niemiec”.

— Jedno jest pewne — odrzekłem — a mianowicie, że wszelka niechęć do Rosji w związku z jej przesuwaniem granic i jej „imperializmem”, jest nieuzasadniona. Rosja wie, że Zachód jeszcze ciągle myśli tak samo, jak panowie, i dlatego stara się zabezpieczyć. — Tu znowu powstało nieopisane zamieszanie, okrzyki protestu i nawet gwizdy. Ktoś zawołał z tłumu:

— To pan zapomniał o tym jak to już Katarzyna II pisała do Voltaire’a po pierwszym rozbiórce Polski? „Rozszerzenie naszych granic było jedynym sposobem zagwarantowania ich; nie znaleźliśmy innego”.

— Rosjanin to kłamstwo. Jest on kłamstwem w wielkim panu, w popie, w Carze... pienieł się Michelet, tupiąc nogami w przystępie dzikiej pasji.

Skoczyłem do okna aby zobaczyć, czy na ulicy nie ma policji. Gotowi zamknąć nas wszystkich. A równocześnie uprzytomniłem sobie, do czego prowadzi nieodpowiedzialna działalność pewnych kół emigracji. Co ten Mickiewicz narobił...

— Proszę zaprzestać argumentowania tego rodzaju — krzyknąłem. Nam dziś nie wolno już tego ani mówić, ani słuchać.

Po tych słowach zapadła nagle cisza. Wszyscy zamarli w bezruchu i zaczęli przyglądać mi się z ciekawością. Miałem wrażenie, że to nagle ja stałem się jakąś zjawą w świecie tych cieni; zjawą, która wzbudziła wprost naukowe zaciekawienie. Padaly na mnie takie spojrzenia, że zacząłem się mimo woli rumienić. „Dla czego panowie...” — zacząłem, jękając się. Błądziły po mnie takie uśmiechy, że straciłem cały tupet demokratyczny. „Czemu panowie...” — zacząłem na nowo. Ale bałem się powiedzieć cokolwiek, bo wyczułem, że mówię językiem zupełnie niezrozumiałym. — „No tak — no nie wolno, bo nie wolno. Po prostu...”. Po raz trzeci zająknąłem się.

Flaubert przyglądał mi się, wydymając usta i poddawał mnie moralnej wiwisekcji. Specjalista. Spojrzenie Micheleta utknęło we mnie zatrutym grotem pogardy. Przyłożonymi do oczu złotymi nożyczkami „lorgnon”, Condillac ciął mnie na kawałki. Balzac z rabelesowską rubasznnością pokazywał mi rękami, abym wreszcie wyrzucił ze siebie kilka słów, dając do zrozumienia, że potem pęknie ze śmiechu. W tej jednej chwili zrozumiałem, że to, co do tak niedawna było niezrozumiałe, co przeczyło wszystkim zasadom, jakie świat zdołał sobie wywalczyć, — to wszystko stało się dziś zupełnie naturalnym i trudno to wytłumaczyć w pierwszej chwili tak samo, jak zjawisko oddychania. Oddycham, bo oddycham. Na szczęście Le Bon wybawił mnie z kłopotu:

— W cywilizacjach współczesnych dawne idee, będące podstawą zwyczajów i opinii, zostały prawie całkiem obalone w 19 w. wskutek czego panowanie ich nad umysłem stało się bardzo słabe. Weszły one w fazę zużycia, podczas której dawne idee przechodzą w stan przesądu. Tak długo, jak długo

nie były one zastąpione przez nową myśl przewodnią, panowała w umysłach anarchia. Tylko dzięki tej anarchii, dyskusja mogła być tolerowana. Pisarze, myśliciele i filozofowie powinni byli błogosławić 19 w. i spieszyć się, by z niego skorzystać, gdyż nie ujrzą go oni więcej. Był to może wiek dekadencji, lecz był to jeden z rzadkich momentów historii świata, gdzie wyrażanie myśli pozostawało wolne...

Wyprostowałem się i powróciła mi pewność siebie. Wzrokiem mówiącym „a widzicie” mściłem się za pogardę i spoglądałem z wyższością. Le Bon ciągnął dalej:

— Nie utrzyma się on i nie przetrwa. Warunki współczesnej cywilizacji pociągają ludy europejskie do stanu socjalnego, który nie będzie tolerował ani dyskusji, ani wolności. Nowe dogmaty, które narodzą się, nie przyjmą się w istocie inaczej, jak tylko pod warunkiem odrzucenia dyskusji jakiegokolwiek rodzaju i staną się tak samo nietolerancyjne, jak te, które je poprzedzały.

— Voyez-vous, c'est comme ça — powiedziałem z dumą, niezrażony szczerym współczuciem, które na odmianę zaczęło przeglądać w oczach wszystkich skierowanych na mnie. Le Bon dalej wyjaśniał:

— Cezaryzm dawnych wieków, który zawsze pojawiał się w historii w zaraniu cywilizacji i w ostatniej fazie ich upadku, podlega obecnie wyraźnej ewolucji. Odradza się on dzisiaj pod nazwą komunizmu. Ten nowy wyraz absolutyzmu Państwa będzie na pewno najtwardszą formą cezaryzmu, ponieważ będąc bezosobowym, uniknie on wszystkich motywów obawy, jakie hamują najgorszych tyranów...

— O właśnie, właśnie — rozumieją panowie, rzekłem ucieszony. Trudno — trzeba to znieść. W tej chwili jest to jedyna droga do wolności. Ale za to potem, człowiek...

— Bez gwałtownych uczuć i nalogów, ni szalony ni mądry, z myślami przeciętnymi, z sądami przeciętnymi, umrze w średnim wieku z powodu przeciętnej choroby, wynalezionnej przez statystykę — powiedział, wzruszając ramionami, matematyk Bertrand.

Wszyscy zaczęli się cicho śmiać i śmiech ten zamienił się w jakiś upiorny rechot. Słowa utknęły mi w krtani, potworny strach zjeżył włosy i marszczył grzbiet. Bo oto usłyszałem najstraszliwszy wyrok śmierci, jaki możnaby wydać: wyrok śmierci na ducha i myśl ludzką.

Głowa zaczęła mi drzeć i drganie to rozeszło się na całe ciało. W uszach dzwonił jednostajny i przenikliwy dźwięk, jaki słyzy się w chwilach zupełnej ciszy. Czuję, że słucham ciszy śmierci absolutnej, pustki świata żywych, zabitych wewnątrz. I uczułem po raz pierwszy ogrom morderstwa, które sunie bezszelestnie, skrada się i uśmierca niewidocznie. Biją dalej serca, krąży krew, poruszają się członki; ale gdzieś, w jakiejś krainie, rośnie stos ubitych dusz, skazanych na milczenie wieczne.

Zamknąłem oczy i zwarłem drżące szczęki. Przemołem strach i z zaciśniętymi zębami szepnąłem:

— Więc? Co możecie mi powiedzieć?

Odpowiedzią było milczenie. Ustał śmiech. Otworzyłem oczy i dostrzegłem, że wszyscy usuwają się na

bok, jakby czyniąc dla kogoś miejsce. Zamajaczyła nowa postać. Energiczna twarz i para bystrych oczu spoglądały na zgromadzonych. Tył głowy przykryty biskupią piuska. Poznałem go. To sławny „Orzeł z Meaux”, Bossuet. Złożyłem ręce i błagalnym wzrokiem ogarnąłem jego postać. Lecz on nie patrzył w moją stronę. Stał na środku i wznosił ręce. W zupełną ciszę runęły grzmiące słowa:

— Spieszcie powrócić do swych grobów, by nie widzieć, co wasi spadkobiercy uczynili z was i z waszych zamiarów...

Powiał wiatr, zaszleściły zwisające tapety, z łomotem zamknęły się okiennice i zapadła ciemność.

„Stałem nieruchomy mając nadzieję ujrzeć cienie innych bohaterów. Ale zadrzałem; blady strach zmroził moje zmysły; zląkłem się by posłana przez Prozerpinę z głębin Erebu, wstrętna głowa Gorgony nie uderzyła mego wzroku...”.

Uciekałem. Dudniły w pustych ulicach szybkie kroki, tłukły się strzępy myśli usłyszanych tam, w samotnym domu. Czyż przyszli oni naprawdę? Czy powiedzieli coś nowego? Może powtórzyli tam tylko słowa rzucone już dawno i zapomniane. Ależ tak... Wspomnienia upostaciowały je i wróciły, jak wraca po latach dawno zapomniany wiersz.

„Napelnily piekło ponurymi jęki i skargami straszonymi”. Nie — bo ich świat nie jest już piekłem...

LYTTON STRACHEY

Rozgłos, pozycję literacką, znaczenie społeczne zawdzięcza Strachey swoim książkom biograficznym — „Znakomitym wiktorianom”, „Królowej Wiktorii”, „Elżbiecie i Essexowi” — ale jego bez porównania mniej znane drobne studia literackie w niczym nie ustępują tym książkom, jeśli idzie o doskonałość techniki pisarskiej, a niektóre z nich należą do arcydzieł angielskiej essayistyki. Co więcej, dopiero te drobne studia dostarczają nam klucza do zrozumienia Strachey'a. Szczególnie zaś charakterystycznym, dla niego jest to, co pisze o „Listach filozoficznych” Woltera w studium, przedrukowanym później w tomie „Książki i charaktery”. Zaczyna się ta ocena „Listów filozoficznych” od takich słów:

„Ta epokowa książka była soczewką, przy której pomocy Wolter skupił rozproszone promienie swoich angielskich wrażeń w jedne ognisko o wspaniałej i palącej intensywności”.

I ten ton nie opuszcza Strachey'a już dalej, w ciągu wcale obszernych rozważań krytycznych.

Wolter jest pisarzem, którego się czyta lekko i gładko. Jest wyjątkowo inteligentny, świetnie operuje dowcipem, ma dużo wdzięku. Kiedy się go jednak bierze do ręki dzisiaj, bardzo szybko — i to w sposób nieraz irytujący — czytelnik staje się świadomy tego, co jest jego ograniczonością i ciasnotą. Bardzo też szybko utwierdza się w przekonaniu, że uroki stylu Woltera mocno dziś przywydły i że przy całej jego gracji i bystrości nie jest to pisarz, u którego moglibyśmy szukać odpowiedzi na nasze bolączki i nasze problemy. Toteż nikt ich tam nie szuka. I dlatego trudno aby nas taki stosunek do Woltera, jaki widzimy u Strachey'a, nie zaskoczył swoim entuzjazmem — u pisarza do entuzjazmów mało skłonny — i żywością reakcji. Wytlumaczenie znaleźć można tylko w szczególnie bliskim powinowactwie duchowym. Lektura innych studiów literackich Strachey'a utwierdza nas w tym przekonaniu. Najlepiej i najswobodniej czuł się on w atmosferze w. XVIII. ideały kulturalne tego wieku były jego ideałami. Oświecenie francuskie to było dla niego apogeum kultury, złoty wiek ludzkości: jego miarą mierzył zjawiska sobie współczesne.

I oto stoimy wobec zagadki: jak to się stało, że taki epigon Oświecenia, człowiek o tak swoistym punkcie widzenia mógł odegrać tak wybitną rolę nie tylko w życiu literackim, ale w pewnej mierze także i w ukształtowaniu się brytyjskiej umysłowości okresu międzywojennego.

Lytton Strachey (1880-1932) był synem generała, który służył w Indiach. Pochodził z rodziny zamożnej, utytułowanej o dobrych tradycjach kulturalnych. Studiował w Cambridge. Jak się zdaje, nigdy w ciągu swego życia nie był zmuszony do żadnej pracy zarobkowej. W rodzinie jego od szeregu pokoleń istniała tradycja służby w administracji. Ale Strachey do tej służby nie miał żadnego pociągu. W ogóle nigdy nie pociągało go życie czynne.

Wcześniej zato przystał do grupy literackiej, zwanej „grupą z Bloomsbury” (zwanej tak od dzielnicy Londynu, w której znajdują się British Museum i uniwersytet). W skład jej wchodziły takiej znakomistości, jak

wielki ekonomista Keynes, powieściopisarze Virginia Woolf i E. M. Forster, krytycy i historycy sztuki Roger Fry i Clive Bell. Ciężką, z pierwszorzędną werwą pisarską nakreśloną, ale też i demagogiczną charakterystykę tej grupy znaleźć można w rosyjskiej książce kniazia Dymitra Mirskiego o „Inteligencji angielskiej”. Mirskij był emigrantem, który długie lata przesiedział w Angli, aż potem, w latach trzydziestych, nawrócił się na komunizm i pojechał do Rosji. Książkę o inteligencji angielskiej napisał wkrótce po swoim powrocie. „Grupę z Bloomsbury” scharakteryzował jako ludzi „zgniłych”, nihilistów, aspołecznych indywidualistów, nie mających zrozumienia dla problemów społecznych i o arystokratycznych aspiracjach. Wkrótce po napisaniu tej książki Mirskij został zaarrestowany i znikł z horyzontu rosyjskiego życia literackiego. Od wszelkiego kontaktu z Bloomsbury był już raz na zawsze zabezpieczony.

Charakterystyka, dana przez Mirskiego, jest niewątpliwie demagogiczna. Ale trzeba sobie powiedzieć, że wszelka ryczałtowa charakterystyka „grupy z Bloomsbury” jest bardzo trudna. Składa się ona bowiem z wybitnych indywidualności, które niełatwo jest sprowadzić do wspólnego mianownika. Co ludzi tych przede wszystkim łączyło, to krytycyzm wszelkich autorytetów i intelektualizm bardzo wysokiej próby. Wszyscy oni silnie zaważyli na współczesnym angielskim życiu umysłowym. Keynes (któremu Strachey dedykował „Znakomitych wiktoriań”) — podobno — zrewolucjonizował naukę ekonomii. Fry zrewolucjonizował poglądy na współczesne malastwo: wprowadził on do Anglii Cezanne'a i w ogóle postimpresjonistów (datą przełomową był tu rok 1910, w którym zorganizowano w Londynie bardzo burzliwie przyjęta ich wystawa). Virginia Woolf (której Strachey dedykował „Królową Wiktorię”) i E. M. Forster to wraz z Joyce'em najwybitniejsi powieściopisarze angielscy bieżącego wieku. A poza tym swoistą atmosferę kulturalną „grupy z Bloomsbury” łatwo wyczuć w angielskim życiu kulturalnym po dziś dzień. Jeśli dzisiaj angielski krytyk czy publicysta tak starannie unika frazesu, nadętości, niezrozumiałstwa, dąży przede wszystkim do jasności i precyzji wyrazu, tak wyraźnie ponad wszystko wysuwa kryterium prawości intelektualnej — to jest w tym niewątpliwie dziedzictwo egzorcyzmowanego przez Mirskiego „ducha Bloomsbury”.

W tej grupie Strachey'owi przypadła specjalna rola. — Do r. 1918 był on autorem jednej tylko, niewielkiej i mało znanej książki. Książką tą był krótki zarys historii literatury francuskiej „Landmarks in French Literature” (1912), ogłoszony w popularnej serii „The Home University Library”. Mimo swego popularnego charakteru jest to książka bardzo wybitna i bardzo oryginalna w ujęciu. Świadczy ona o doskonałym życiu się Strachey'a — już wtedy — z literaturą francuską, przede wszystkim z literaturą klasyczną. Nawrót w Anglii do ideałów klasycznych w literaturze, który objawił się później w renesansie Pope'a, w studiach krytycznych Eliota, w programie literackim takich reprezentacyjnych kwartalników, jak przed wojną „Criterion”, a dzisiaj „Scrutiny” — widoczny jest już w tej książce. Nikt drugi w Anglii nie umiał mówić o wielkich klasykach

francuskich z tak głębokim zrozumieniem i wycuciem ich wartości — co Strachey. Przykładem tego życia się Strachey'a z klasykami będzie zresztą jeszcze później sławne studium jego o Rasynie, arcydzieło wnikliwej analizy literackiej tego bardzo trudno dostępnego dla cudzoziemców wielkiego pisarza francuskiego.

Książka świadczyła też o wyjątkowym talencie syntetycznym Strachey'a: zamknąć dziewięć wieków rozwoju literatury francuskiej na 250 stronach niewielkiego formatu, i to tak, żeby książka ani na moment nie była nudnym nagromadzeniem nazwisk i tytułów, umieć wydobyc momenty najistotniejsze, scharakteryzować je w sformułowaniu, które by łączyło precyzję, wyrazistość i wdzięk — wszystko to wymagało nie tylko świetnego życia się z przedmiotem, ale i nieprzeciętnego talentu pisarskiego.

Nie ta jednak książka przyniosła Strachey'owi sławę i pozycję wybitnego pisarza, ale wydany w r. 1918 — ma on wtedy lat 38 — tom studiów biograficznych o „Znakomitych wiktorianach”.

Książka mówi o czterech takich wiktoriańskich znakomitościach: kardynale Manningu, który odznaczył się jako energiczny administrator kościelny, a w dziejach kulturalnych i literackich pamiętny jest przede wszystkim jako wieloletni i zawzięty antagonistą Newmana; o Florence Nightingale, która w czasie wojny krymskiej z wyjątkową energią i poświęceniem zorganizowała po raz pierwszy nowoczesną opieką lekarską na froncie i której pamięć wskutek tego otoczona jest w Anglii powszechnym kultem; doktorze Th. Arnoldzie (ojcu znanego poety i krytyka Matthew Arnolda), który był kierownikiem „public school” w Rugby i którego indywidualność wycisnęła silne piętno na charakterze tego typu szkoły; wreszcie o gen. Gordonie, który, jak wszyscy choćby z „W pustyni i w puszczy” pamiętamy, został zamordowany w r. 1885 po zdobyciu Chartumu przez wojska Mahdiego.

Tragiczna śmierć otoczyła gen. Gordona nimbem bohaterstwa, Florence Nightingale przeszła do potomności w chwale patronki pracy charytatywnej, w doktorze Arnoldzie potomność ta widziała wybitnego pedagoga, którego działalność wpłynęła na taki a nie inny charakter tego właśnie typu szkół, przez który przeszli niemal wszyscy politycy i znaczna ilość działaczy społecznych oraz pisarzy okresu wiktoriańskiego, kardynał Manning wreszcie był reprezentatywnym przedstawicielem angielskiego świata katolickiego epoki wiktoriańskiej. Wcześniejsze studia biograficzne, najczęściej pisane przez ludzi im bliskich, traktowały ich z rewerencją i sympatią, czasem nawet z czcią.

Strachey traktuje ich inaczej.

Byłoby prymitywnym uproszczeniem powiedzieć, że Strachey ludzi tych prosto atakuje, że stara się ich „zdemaskować”, „odbronzować”. Albo — powiedzmy ściślej — takie określenie miałoby sens w zastosowaniu tylko do jednej ze sprezentowanych tu biografii, do biografii dra Arnolda. Szkic o nim jest od początku do końca otwartym atakiem. Strachey nie pomija żadnej okazji, aby pedagoga z Rugby skompromitować i ośmieszyć w oczach czytelnika. Wyzyskuje dla tego celu nawet jego pewne ułomności fizyczne. Ze wszystkich czterech jest też ten szkic najbliższy karykaturze. Pod względem artystycznym jest on najslabszy.

W pozostałych szkicach stosunek Strachey'a do modelu jest zupełnie inny. Nie brak tam nawet pewnej sympatii. Sympatia ta jednak jest mocno przemieszana z ironią. Strachey patrzy na swoich bohaterów z pod

ironicznie przymrużonych powiek. Są oni dla niego nade wszystko zabawni i dziwni. Nie odmawia im szlachetnych pobudek, ofiarności, altruizmu. Ale w każdym z nich dostrzega nutę pewnego szaleństwa, albo — powiedzmy ostrożniej — nonsensu. Nutę, która go równocześnie bawi i drażni.

Co to za nuta?

Dwu przede wszystkim właściwościom wiktoriańskich Strachey nie może się nadziwić. Jednej — to że wszyscy oni są ludźmi wierzącymi. Cecha ta jest stale ironicznie podkreślana. Ktoś szuka wskazówek życiowych w prociach Hozeasa, ktoś inny chce badać stosunek władzy świeckiej do duchownej w świetle wspomnianego przez św. Pawła prorocтва o nadejściu Antychrysta. Z generałem Gordonem zawieramy znajomość w momencie, kiedy krąży po Palestynie z biblią w ręku, szukając „miejsca Ukrzyżowania, granicy dzielącej plemiona Beniamina i Judy, Gibeonu oraz ogrodu rajskiego” (Strachey powstrzymuje się tu od wszelkiego bezpośredniego komentarza, ale tego rodzaju zestawienie wystarczy za złośliwy komentarz). Zaznajamiamy się z religijnym tłem „Suggestions for Thought” Florence Nightingale. I t.d., i t.d.

Ta nuta woltańska naśmieszki nie opuszcza Strachey'a nigdy. Studium o Manningu ujęte zostało w ten sposób, że pokazany on został poprzez wieloletni antagonizm z wielkim swym przeciwnikiem, Newmanem. W konflikcie tym wszystkie sympatie Strachey'a są po stronie Newmana; jest on oczarowany inteligencją Newmana, jego wdziękiem i subtelnością. Mimo to z chwilą kiedy wypada Strachey'owi mówić o przekonaniach religijnych Newmana, na twarzy jego pojawia się znowu ten sam ironiczny uśmiech: „Kiedy Newman był jeszcze dzieckiem, chciał, aby baśnie z Tysiąca i Jednej Nocy były prawdziwe. Kiedy dorósł wieku męskiego, życzeniem jego stało się zadość”.

Drugie zaś źródło zdziwienia i irytacji Strachey'a to energia, aktywność i pracowitość ludzi wiktoriańskich. Szczególnie wyraźnie występuje to w studium o Florence Nightingale. Strachey tak gromadzi szczegóły, zestawia perspektywy, że to co w ręku innego biografów łatwo mogłoby stać się dowodem heroiczno-ofiarnej pracy, nie cofającej się przed żadnymi trudnościami, tu zostało nam pokazane jako jakieś opętanie pracą, szaleństwo aktywności, przekleństwo, z pod którego człowiek nie może się wyzwolić nawet w momentach choroby i słabości. Strachey ani na moment nie stawia pod znakiem zapytania szlachetności motywów Florence Nightingale. Ale umie historię jej życia sprezentować tak, że czytelnika w pewnym momencie ogarnia dreszcz zgrozy. Święta czy opętana?

Studium o Florence Nightingale jest przedstawieniem pewnego wypadku skrajnego. Ale Strachey i przy innych swoich bohaterach co chwila kręci ze zdziwienia i zgorszenia głową: czemu ci ludzie tak niespokojnie pętają się po świecie, zapracowują się na śmierć, zdobywają odległe kolonie, są wiecznie czynni, aktywni, ruchliwi? Życie jest przecież takie piękne, tyle uroków można z niego spijać. Ale na to, aby się tą słodyczą życia umieć rozkoszować — dopowiada nam Strachey — trzeba mieć w sobie dużo rozsądnego sceptycyzmu, potrafić się od tej gorączkowej krzątaniny oderwać. Wtedy, dopiero wtedy można rozmakować się w jego urojach: pięknej książce, dziele sztuki, inteligentnej i dowcipnej rozmowie.

Wiemy, skąd taki ideał rodem. Strachey oceniał ludzi wiktoriańskich z perspektywy XVIII w., z perspektywy

dowcipnych i sceptycznych bywalców salonów, ludzi o wydoskonalonym smaku i zapewnionym solidnym dochodzie rocznym, ludzi nie umiejących pracować, i umiejących spędzać życie bez pracy. Z jakim np. ciepłem i sympatią pisał gdzie indziej o jednym z nich, księdzu Morellet, który przeżył swój wiek i dożył po Rewolucji czasów Cesarstwa:

„Ale ów nowy świat już dłużej nie był tym, czym zwykł być dawniej. Coś się w nim popsuło. Cała jego gorączka, wszystkie jego zmiany i przemiany, — wszystko to wydawało się wogóle nie bardzo być godnym uwagi. Bardziej już opłacało się drzemać. Wszyscy ci młodzi i przyjaciele byli niewątpliwie bardzo dla niego uprzejmi. Ale czy oni to rozumieli? I jak mogli rozumieć? Jakie było ich doświadczenie życiowe? On, ba, on, słuchał Diderota, godzinami całymi przesiadywał w ogrodzie Tuilieryjskim, rozmawiając z d'Alambertem i panną de Lespinasse, wspominał o nim Wolter, — pół życia spędził w Auteil w drodze panią Helvetius, którą uwięziono w Bastylii. Głowa opadała mu na piersi... Tak, on poznał, co to jest la douceur de vivre”.

Książka o „Znakomitych wiktoriańskich” wyszła po raz pierwszy w marcu 1918 r. i od razu zdobyła sobie wielkie powodzenie. Ten i drugi z recenzentów irytował się i oburzał, ale cały świat czytelniczy był podbity. Pobiła wnikliwością psychologiczną, zaletami znakomitego pióra. Wszystko to jednak nie wystarczałoby dla wyjaśnienia jej niezwyklego powodzenia. Wyjaśnienia takiego szukać należy w atmosferze tego właśnie momentu, w którym się ukazała.

Wyszła ona pod sam koniec wojny, kiedy ludzie byli już głęboko zmęczeni propagandą wojenną i przesyleni uroczystą wojenną frazeologią. Jej sceptycyzm, igranie z autorytetami — wszystko to na tym tle musiało działać odświeżająco.

Ale były i przyczyny głębsze. Rok 1918 to był w Anglii rok rozczarowania rezultatami — zwycięskiej przecież wojny (dobrym dokumentem atmosfery tych czasów są powieści Forda Madox Forda). Ludzie czuli, że jakieś rozpętane gigantyczne siły, nad którymi przestają już panować, kierują ich gdzieś, gdzie wcale nie spodziewali się znaleźć i gdzie nie chcieliby się znaleźć.

Otóż ta koncepcja bohatera, jaką dawał Strachey, współbrzmiała z takimi nastrojami. Najlepiej widać to na studium o gen. Gordonie. Jest ono przeprowadzone jakby na trzech planach. Mamy więc relację o ekspedycji Gordona, o oblężeniu Chartumu, o zdobyciu Chartumu przez Mahdiego, śmierci Gordona. To jeden plan. Ale równocześnie tragiczne dzieje ekspedycji Gordona przeplatane są relacją o grze dyplomatycznej, jaka się dokonała niegdyś. W Kairze głównym bohaterem tej akcji dyplomatycznej jest Sir Evelin Baring, w Londynie — Gladstone. Strachey nie stara się gen. Gordona pomniejszyć, jeśli idzie o ludzkie motywy jego postępowania. Można nawet po przeczytaniu jego studium powiedzieć, że Gordon zachował się jak bohater. Tylko że w gruncie rzeczy ten bohater był jedynie — pionkiem. Po przeczytaniu całego studium czytelnik odnosi wrażenie, że tak naprawdę to Gordon został bohaterem w rezultacie nieudolności, trudności powzięcia decyzji, braku wyobraźni, rozgrywek osobistych pewnych ludzi w Kairze i w Londynie. Ostateczna konkluzja jest pesymistyczna: bohater historyczny jest tylko kukłą, kierowaną przez siły, nad którymi w rzeczywistości nie

ma żadnej władzy. I ten właśnie pesymizm doskonale trafiał w owoczesne nastroje.

I jeszcze jeden wzgląd trzeba wziąć pod uwagę. Podobnie jak i ostatnia wojna, tak i wojna lat 1914-18 była procesem rewolucyjnym, przyspieszała pewne procesy społeczne. Ludzie nie uświadamiali sobie tego jasno, ale w pewnym sensie wyczuwali, że to co było przed wojną, należy już do bezpowrotnej przeszłości, że to co przyszło, to inny styl życia. Ta zmiana perspektywy bardzo zabawnie np. odbiła się na „Sadze Forsyte'ów” Galsworthy'ego, która zaczęta została przed wojną, skończona — już po wojnie. Zaczął ją Galsworthy z wyraźnym zacięciem satyrycznym, kończył w lirycznym rozrzewnieniu: patrzcie, oto ostatni przedstawiciele zachodzącego wielkiego wieku...

Otóż książka Strachey'a pozwalała ludziom uświadomić sobie tę obcość, odrębność, dziwność wieku, który się skończył. Pierwszy raz odmalował ktoś ludzi wiktoriańskich tak, że przede wszystkim uwytatnił ich niedzisiejszość. Taki dystans odpowiadał pewnemu powszechnemu odczuciu.

Akceptując jednak stanowisko Strachey'a, ludzie naogół nie orientowali się w tym, że jeśli mógł się on zdobyć na taki dystans wobec Anglii wiktoriańskiej, to nie tyle dlatego, że był człowiekiem wieku XX, ile dlatego, że tkwił w wieku XVIII. Że zatem jego ideał kulturalny jest najzupełniej utopijny, a krytyka — tylko i wyłącznie negatywna. Jeśli wobec kogoś z „grupy z Bloomsbury” krytyka Mirskiego miała trochę słuszności, to właśnie wobec Strachey'a. Wobec tej ordynarnej demagogii, jaką bolszewicy uprawiają ze słowem „reakcyjny”, odczuwa się naturalną niechęć do używania go, ale jeśli gdzie, to właśnie tutaj byłoby ono na miejscu: Strachey oceniał wiek XIX z punktu widzenia ideałów jeszcze wcześniejszej przeszłości. Dlatego też w krytyce jego przeważnie nie ma nuty bojowej. Ludzie, których opisuje, są przede wszystkim dziwni i zabawni. Rzadko kiedy tylko potrafią go wytrącić z równowagi.

W trzy lata po „Znakomitych wiktoriańskich” przyszła inna książka Strachey'a: „Królowa Wiktorii”. Powodzenie, jakie tę książkę spotkało, było bodaj że jeszcze większe od sukcesu „Wiktoriańskich”: przerobiono ją na scenę, wielokrotnie tłumaczono, m. in. także i na język polski. Aby tę książkę właściwie ocenić, trzeba pamiętać, że Strachey nie jest historykiem i nie ma ambicji historyka. Królowa Wiktorii interesuje go jako bardzo ciekawy okaz gatunku ludzkiego, zato bardzo mało obchodzi go jej rola w polityce brytyjskiej. I w ogóle nie interesuje go polityka. Wydarzenia polityczne są tu uwzględnione skąpo i tylko o tyle, o ile rzucają jakieś charakterystyczne światło na samą królową, o ile są odczynnikami, wydobywającym te czy inne właściwości jej psychiki. Strachey wybrał za model królową dlatego, ponieważ dla nakreślenia biografii takiego modelu miał pod dostatkiem materiałów, i dlatego, że taki model miał życie pod wieloma względami ciekawe i różnorodne, a w każdym bądź razie obfitujące w pewne efektowne sytuacje, zato zupełnie poza zasięgiem swoich zainteresowań pozostawił to, coby ogólnie można było nazwać „rolą historyczną” królowej Wiktorii. O tym jak trafnym w takim samoograniczeniu był tu instynkt pisarski Strachey'a, łatwo przekonać się choćby przez porównanie jego „Królowej Wiktorii”, z „Marysią Sobieską” Boga-Zeleńskiego, w której to książce ciekawe, wnikliwe, odkrywcze charakterystyki Marysieńki i króla Jana przeplatają się z zastraszająco prymitywnymi uwagami na tematy polityczne.

Takie świadome ograniczenie się do biografii psychologicznej królowej Wiktorii, i tylko biografii, zawazyło przede wszystkim na kompozycji książki. Strachey z zainteresowaniem (i z rozbawieniem) śledzi formowanie się osobowości przyszłej królowej, jej stosunek do matki, do Jerzego IV, do zaufanego doradcy dra Stockmara, do króla Leopolda belgijskiego. Później, kiedy młodziutka królowa obejmuje już tron, z wielką uwagą bada, jak świadomość królewskośći wpływa na kształtowanie się jej psychiki. Bardzo go też interesują jej perypetie małżeńskie: poznanie księcia Alberta okres narzeczeństwa, stosunki jakie się ułożyły między królową a „księciem małżonkiem”, wpływ jego na kształtowanie się jej pojęć o obowiązkach monarszych — wszystko to zostało przedstawione w książce wcale szczegółowo. Zato czterdziestolecie rządów królowej po śmierci księcia Alberta — a więc okres czasu ostatecznie bardzo długi i jeśli idzie o „rolę historyczną” królowej właśnie najważniejszy — potraktowane zostało krótko, na kilkudziesięciu stronach. I tu zresztą interesowały Strachey'a przede wszystkim pewne zagadnienia z dziedziny stosunków ludzkich, mianowicie stosunki królowej i Disraeliego, który z maestrią umiał grać na jej słabostkach.

Grubo by się mylił, kto by sądził, że „Królowa Wiktorii” jest dziełem jakiegoś programowego „odbronzowywania”. Postać królowej Wiktorii odlewano co prawda w bronzie na całej przestrzeni Imperium Brytyjskiego tak wielką ilość razy, jak chyba nikogo drugiego. Niska, tęga jejmość o dosyć pospolitych rysach twarzy — bardzo źle znosi podobną operację. Zwłaszcza na tych pomnikach, które jeszcze mają pewne pretensje do monumentalności — a ostatecznie pomnik po to jest, aby był monumentalny — królowa Wiktorii wygląda zdecydowanie śmiesznie. Pewna uroczystość i pompatość gestu przy arcymieszkańskim w gruncie rzeczy usposobieniu, silnie rozwinięta świadomość majestatu, jaki reprezentuje, a równocześnie raczej pospolita umysłowość, brak poczucia humoru, — wszystko to, zdawałoby się, czyniło z niej szczególnie łatwy i ponętny przedmiot drwin „odbronzowiacza”.

Ale Strachey tą łatwą drogą nie poszedł. Uchroniło go od tego — poczucie dystansu. Królowa Wiktorii była całą swą aurą psychiczną czymś tak zupełnie obcym dla niego, czymś tak całkowicie należącym do zamkniętej już przeszłości (i to mimo że pierwszych dwadzieścia jeden lat jego życia upłynęło już za jej panowania), iż mógł sobie pozwolić na spojrzenie na nią spokojne, beznamienne, ironiczne, miejscami mocno rozbawione i — podszyte dyskretną sympatią. W zakończeniu zaś w scenie śmierci, kiedy Strachey żegna się ze swoim modelem, sympatia ta nabiera nawet na tyle ciepła, iż przekształca się w coś, co jest bardzo bliskie nucie rozrzewnienia.

I jeśli jest coś w tej książce „rozprawą” z epoką wiktoriańską i z wiktoriańską mentalnością, to tylko właśnie owo poczucie dystansu, stale przypominające czytelnikowi: tak, królowa Wiktorii to bardzo ciekawy okaz rodzaju ludzkiego, ale okaz należący już do bezpowrotnej przeszłości. Walczyć z tą mentalnością? Co za nonsens! Czy można walczyć dzisiaj z ichtiosaurom?

Mniejsza o to, czy rysy mentalności wiktoriańskiej były około roku 1920 naprawdę tak doszczętnie wypłenione z życia angielskiego. I jałowóż też rzeczą byłoby wchodzić w rozważania, czy Strachey wybrał taką formę rozprawienia się z epoką wiktoriańską dlatego, że sam był od niej wyjątkowo daleki, czy też uznał taką

formę za zabieg pedagogiczny. Dosyć, że taką formę wybrał. I że jest ona artystycznie bardzo sugestywna.

Wkrótce po wydaniu „Królowej Wiktorii” Strachey zebrał w tomie „Książki i charaktery, francuskie i angielskie” (1922) szereg drobniejszych szkiców literackich — trzy z nich poświęcone są Wolterowi — ale na wydanie jego następnej nowej książki przyszło publiczności czekać aż lat siedem. Ta nowa książka „Elżbieta i Essex” (tłumaczona również na język polski) — ostatnia z jego większych rzeczy — była zupełnie inna od poprzednich.

Niespodzianką był tu przede wszystkim wybór epiki. Strachey przerzucił się w czasie elżbietańskie. Dlaczego się przerzucił? Czy kierowały nim tu zainteresowania natury wyłącznie intelektualnej? Czy widział w tragicznym romansie królowej Elżbiety i hrabiego Essea poprostu „wdzięczny”, efektowny temat? Czy też zdecydowały tu jakieś względy natury głębszej, bardziej angażujące całego człowieka?

Za tym drugim względem przemawiałby już cały charakter pisarstwa Strachey'a. Nie miał on bowiem w sobie nic z zawodowego autora studiów biograficznych, który po napisaniu jednej książki szybko szuka efektownego modelu dla następnej, a więc pisarzy typu Harolda Nicolsona czy Maurois. Ostatecznie, jeśli nie liczyć tomów drobnych essayów i wspomnianego wyżej zarysu historii literatury francuskiej, ogłosił wszystkiego trzy większe książki. Wolno zatem już zgóry uważać, że kierowały nim tu względy natury bardziej osobistej.

Utwierdza w tym przekonaniu czytelnika ton nowej książki. Nie ma w niej już tego sceptycznego, trochę rozbawionego, a troszkę i melancholijnego uśmiechu. Ton jest poważny, bohaterowie dramatu potraktowani zostali na serio.

A przecież temat, zdawałoby się, prosił się o potraktowanie humorystyczne. W dramacie, który Strachey odmalował, amant ma lat dwadzieścia pięć, amantka — lat sześćdziesiąt. Dodajmy jeszcze całą dwuznaczną aurę „dziewictwa” królowej Elżbiety. Zdawałoby się, dla pisarza, który wyrobił sobie pozycję jako trochę kpiarz, a trochę cynik, start aż — za łatwy.

Bo też Strachey szuka w tym romansie czegoś zupełnie innego. Gra silnych napiętości, rozmach życiowy, umiejętność stawiania swego życia na kartę — oto co go u ludzi elżbietańskich zafascynowało. Najwyraźniej sceptyk znużył się swoim sceptycyzmem, miał już dość „demaskowania”, ironizowania, postanowił poszukać ludzi, żyjących życiem pełnym, których napiętości biją mocnym tętnem. Dlatego skierował się tym razem do renesansu.

I chybił.

Kiedy czytamy książkę o wiktoriańskich czy o królowej Wiktorii, mamy świadomość tego, że autor swych bohaterów doskonale rozumie, że w całym mechanizmie ich psychiki świetnie się orientuje, że ich przejrzał na wylot. W książce o romansie Elżbiety i hr. Essea rzecz ma się inaczej. Sceny są tu bardzo efektowne, efekty — dramatyczne, pełne napięcia, ale przy tym wszystkim nigdy nie opuszcza nas wrażenie, że właściwie ludzi tych oglądamy stale tylko zzewnątrz, że nigdy nie przenikamy samego mechanizmu ich psychiki. Obrazy cięszą oko barwnością i niezwykłością (jedną z takich scen to polonicum: przyjęcie posła polskiego, Działyńskiego). Każą się one domyślać jakiegoś wielkiego rozmachu, bogactwa nieokielznanej energii. Ale poza ogólne wrażenie takiego bogactwa właściwie nie wychodzimy.

I dlatego — rzecz nieoczekiwana — w książce tej jest trochę melodramatyczności i jest trochę stylistycznego efekciarstwa, retoryki.

W pewnej mierze braki tej książki tłumaczą się niedostatkami źródeł. Ludzi dziewiętnastego wieku możemy poznać względnie dobrze tylko dlatego, że są nam chronologicznie bliżsi. Pozostawili oni po sobie mnóstwo pamiętników, diariuszów, listów — jest w czym szukać. Jeśli biografowi grozi tu jakieś niebezpieczeństwo, to raczej nadmiaru źródeł.

Jeśli idzie o ludzi wieku XVI, sprawa ma się inaczej. Źródła, które by nam mówiły już nie tylko o takich czy innych *faktach* biograficznych, ale które by nam równocześnie pokazywały tych ludzi, są rozpaczliwie nieliczne. A poza tym nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, jak bardzo ludzie ci byli naprawdę różni od nas. W czasie tej wojny wyszła we Francji książka jednego z najlepszych w świecie znawców dziejów kulturalnych XVI wieku, prof. Lucien Febvre'a „Le problème de l'incroyance au XVIe siècle. La religion de Rabelais”. Jest to fascynująco ciekawa książka. Na przykładzie ogromnie bogatego materiału faktycznego i przy zastosowaniu analizy wyjątkowo subtelnej Febvre stara się zbadać, co mógł znaczyć sceptycyzm religijny u człowieka XVI wieku, ba, co więcej, czy człowiek XVI wieku wogóle mógł być niewierzącym. Wnioski są ogromnie ciekawe i bardzo wyraziście unaoczniają nam, jak dalece ludzie XVI wieku mówili językiem różnym od naszego.

Trudności tych porozumienia się z Anglią elżbietańską Strachey był zresztą świadom. U samego wstępu jego książki znajdujemy takie, bardzo wymowne wyznanie:

„Wiek ten to był wiek Marlowe'a i Spencera, wczesnych lat Szekspira i Franciszka Bacona, — nie potrzebuje on opisu: każdy zna dobrze jego rysy zewnętrzne i literacki wyraz jego uczuć. Bardziej jednak cenne od opisów, ale prawdopodobnie nieosiągalne, byłyby tu jakieś sposoby, przy których pomocy umysł współczesny mógłby zdobyć imaginacyjne zrozumienie tamtych istot ludzkich sprzed trzech wieków... Ta droga jednak zdaje się być dla nas zamkniętą. Gdzie jest ta sztuka, przy której pomocy moglibyśmy się wświdrować w owe dziwne duchy i jeszcze dziwniejsze ciała? Im jaśniej to widzimy, tym odleglejszy staje się dla nas ten osobliwy świat. Z bardzo nielicznymi wyjątkami — być może z jednym jedynym wyjątkiem Szekspira — z postaciami tego wieku nie możemy się spotkać na stopie poufałości: są to obrazy wzrokowe, które znamy, ale których naprawdę nie rozumiemy”.

Przy tym wszystkim jednak trzeba sobie też powiedzieć, że niepowodzenia Strachey'a nie tłumaczą się tylko niedostatecznym stanem źródeł. Tłumaczą się także i tym, że Strachey chciał tu wyjść ze swojej skóry. Wspomniany wyżej prof. Febvre pisze: „Chcieć zrobić z wieku XVI wiek sceptyczny, wiek libertyński i wychwalać go jako taki — to najgorszy z błędów i najgorsze z złudzeń. Zgodnie z wolą swoich najlepszych przedstawicieli był on — całkiem naodwrot — wiekiem natchnionym. Wiekiem, który wszędzie szukał przede wszystkim odbicia tego co boskie”. — Oczywiście w świetle tego, co powiedziano o Strachey'u wyżej, trudno się dziwić, że z ludźmi takiego wieku nie mógł on znaleźć wspólnego języka. I dlatego najbardziej przeko-

nywująco artystycznie wypadły w książce te sceny, w których Strachey z melancholią i uśmiechem ironii obserwuje objawy ludzkiej głupoty i fanatyzmu, takie jakie się np. przejawiały w tragicznej historii dra Lopeza.

Nie potrzeba dodawać, że książka ta, mimo że zwinęta w zasadniczym pomysł, skoro wyszła z pod ręki takiego majstra, czyta się gładko, że jest dobrze skomponowana, że napisana jest z werwą pisarską.

Po „Elżbiecie i Essexie” Strachey zdążył tylko ogłosić jeszcze na krótko przed śmiercią niewielki tom krótkich szkiców charakterologicznych „Miniatury” („Portraits in Miniature”, 1931). Niektóre z nich należą do jego arcydzieł. Zamykają tom portrety sześciu historyków angielskich. Kongenialność Strachey'a z Oświeceniem raz jeszcze znalazła tu swoje przyzwierdzenie. Ze wszystkich bowiem sportretowanych tu historyków angielskich Strachey najcieplej mówi o Dawidzie Hume'ie, wielkim filozofie, który był także i tegim historykiem. Strachey podkreśla „zadziwiający rygor, niebiańską przejrzystość” jego pism, zaś ich „największy urok” widzi w tym, że Hume jest „bezwzględnie oddany rozumowi, że idzie za rozumem wszędzie, gdziekolwiek go on zaprowadzi, z pełnym, zuchwałym nawet zaufaniem”. Jak widzimy, oczarowanie grą namiętności ludzi renesansowych nie trwało długo i nie pozostało silniejszych śladów.

Po śmierci Strachey'a zebrano w tomie „Komentarze i charaktery” te wszystkie jego rzeczy, które uprzednio nie weszły w skład żadnego wydania książkowego. Tom przynosi niedokończoną piękną studium o angielskiej sztuce epistolarnej, obejmuje on także jedno z arcydzieł krytycznych Strachey'a, jego odczyt o Pope'ie (wydany już zresztą uprzednio w osobnej broszurze), ale nowych rysów do charakterystyki Strachey'a w nim nie znajdziemy.

* * *

Jakie jest znaczenie Strachey'a w dziejach nowszej literatury angielskiej i jaka jest jego pozycja u czytającego ogółu dzisiaj?

W historii literatury i umysłowości angielskiej XX wieku Strachey zajmuje rolę poważną, i to z wielu względów.

Swoimi studiami o Rasynie i Pope'ie stał się on jednym z głównych współtwórców tej zmiany dominanty artystycznej w kierunku rehabilitacji klasycyzmu, która jest w Anglii tak charakterystyczna dla ostatniego ćwierćwiecza.

Dalej, — Strachey jest jednym z klasyków angielskiej literatury biograficznej. Nie jest to mało, jeśli się zważy, że chyba w żadnej z literatur świata rodzaj literacki biografii nie rozwinął się tak bogato jak w angielskiej. Strachey odkrył nowe możliwości artystyczne tego rodzaju. Zerwał z obowiązkiem ścisłego trzymania się porządku chronologicznego, pokazał, jakie efekty biograf może osiągnąć drogą zestawienia różnych perspektyw czasowych, uczył kompresji, sztuki pokazania człowieka w jednej czy drugiej charakterystycznej scenie czy cytacie. I nauka ta nie poszła w las. W krytyce można się spotkać z żalami, że powieść jest dzisiaj w Anglii w upadku. Ale nikt dzisiaj nie odważyłby się to samo powiedzieć o biografii jako rodzaju literackim. I w tym rozkwicie biografii niewątpliwie duża część zasługi przypada Strachey'owi.

Jest Strachey znakomitym stylistą. Świetnie operuje kontrastami, wspaniale umie wyzyskać urok niespo-

dzianki, zaskoczenia czytelnika, potrafi być bardzo dowcipny, włada ciętą ironią, a przy tym wszystkim umie wydobyć dyskretny, ale mający swój czar, urok liryczny. Jak widzimy, rejestr możliwości tego stylu jest bogaty.

Jest to wreszcie pisarz, który jak nikt drugi uświadomił współczesnym Anglikom ich odrębność w stosunku do epoki wiktoriańskiej, umiał w sugestywnym ujęciu literackim pokazać obcość ludzi tej epoki.

Za życia Strachey'a można się było spotkać, i to w tak poważnym piśmie jak „The Criterion”, z opinią o nim, iż jego humor „nie jest, być może, bardzo daleki od tego, jaki objawiają bezimienni bazgracze, zasmarowujący ściany publicznych wychodków”. Taki głos jednak już wtedy, kiedy się pojawił — w r. 1929 — był wyjątkiem. Można mu przeciwstawić liczne głosy takich pisarzy ze starszego i młodszego pokolenia, jak Edmund Gosse, Sir John Squire, Clive Bell, Max Beer-bohm, Harold Nicolson, Aldous Huxley, Desmond Mac Carthy, Raymond Mortimer — którzy wszyscy uważają Strachey'a za wielkiego pisarza. Po śmierci wzięta go też w posiadanie krytyka uniwersytecka. Napisał o nim studium pewien hinduski profesor, K. R. Srinivasa Iyengar, a pewien anglista niemiecki ogłosił książkę o jego stylu.

A jednak nie można powiedzieć, żeby Strachey w dzisiejszym angielskim życiu kulturalnym był siłą szczególnie żywą, aktywną. Prawda, należy on już do galerii uznanych wielkości literackich. Książki jego się w dalszym ciągu przedrukowuje. Ale — przy tym wszystkim — współczesna prasa czy książki dzisiaj wychodzące nie dostarczają dowodów, które by upoważniały do twierdzenia, że Anglik dzisiaj, po drugiej wojnie światowej, uważa Strachey'a za pisarza szczególnie sobie bliskiego. Żeby to, co Strachey ma do powiedzenia, ludzie uważali dziś za coś szczególnie cennego.

Na pierwszy rzut oka może to dziwić. Przecież fala zniechęcenia i rozczarowania warunkami życia powojennego jest dzisiaj w Anglii niewątpliwie silniejsza od tej, jaka przeszła przez nią po r. 1918. Skoro więc

Strachey przed trzydziestu blisko laty wypłynął na tamtej fali, skoro jego sceptycyzm i pesymizm znalazły wtedy tak silny rezonans, dlaczego nie znajduje on tego rezonansu teraz?

Aby to zrozumieć, trzeba sobie przede wszystkim zdać sprawę z tego, że analogia między sytuacją z r. 1918 a sytuacją z r. 1947 jest w gruncie rzeczy analogią pozorną. Prawda, po r. 1918 przez Anglię przeszła wielka fala rozczarowania. Ale była to fala rozczarowania po pokoju, który *był* wygrany. Były to lata rozwianych nadziei i wcale poważnych wstrząsów społecznych, ale tak au fond, zwłaszcza jeśli idzie o sytuację międzynarodową, Anglik mógł się czuć wtedy tak naprawdę bezpieczny, jak mało kiedy w dziejach. Po tamtej wojnie Imperium Brytyjskie zaokrągliło się o nowe nabytki: kolonie niemieckie w Afryce, Palestyna, protektorat nad Irakiem... Niemcy leżały pobite, Rosja, rozdarta wojną domową, była wyłączona z obiegu międzynarodowego, nie liczyła się. Jedyną potęgą, która mogła być w jakiś sposób groźna, wydawała się — pozał się, Boże, — Francja. I dlatego na tamto rozczarowanie można sobie było pozwolić reakcją eleganckiego sceptycyzmu, ironicznego uśmiechu, postawą dystansu i — w gruncie rzeczy — kwietyzmu.

Dzisiaj sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Imperium trzeszczy w postawach i jest w trakcie radykalnych przemian. Ludzie są głęboko świadomi braku stabilizacji i braku bezpieczeństwa. Bomba atomowa... Plany polityczne ZSRR...! Co będzie ze światem, gdy w Stanach Zjednoczonych wybuchnie kryzys gospodarczy? Gdy Rosjanie zaczną produkować bomby atomowe?... Taka sytuacja wymaga aktywnego zaangażowania się. W takiej sytuacji sceptycyzm Strachey'a staje się czymś tragicznie nieadekwatnym. Przy lekturze szkiców o gen. Gordonie, Florencji Nightingale, kardynale Manningu czy nawet doktorze Arnoldzie z Rugby gotów jest on dzisiaj czytelnika współczesnego drażnić. Czytelnik ten bowiem jest dobrze świadom tego, że jeśli mu dzisiaj czego potrzeba, to właśnie energii i wiary tamtych ludzi.

FILOZOFIA EGZYSTENCJALNA SARTRE'A

I.

Rodowód egzystencjalizmu.

Jaki jest rodowód współczesnej filozofii egzystencjalnej? Zawdzięcza ona niewątpliwie dużo dziełu myśliciela duńskiego Sorena Kierkegarda. Dużo, ale nie wszystko. Bowiem egzystencjalizm skutkiem rozległości swego terenu działania — życie człowieka — i swych wielostronnych zainteresowań może sięgać i sięga do wielu prądów aktywności ludzkiej. Jako romantyczna koncepcja człowieka nawiązuje np. niewątpliwie do idealizmu niemieckiego. Jako irracjonalny pogląd na świat sięga chętnie do poetów i marzycieli najrozmaitszych epok. Ale dopiero lektura pisarza duńskiego nadała natchnieniem i intuicjom myślicieli systematycznych jak Jaspers czy Heidegger decydującą barwę, ośmielając ich też do tego tonu kaznodziejsko-barokowego, który jest tak charakterystyczny dla ethosu modnej dziś doktryny.

Nie ulega wplywom Kierkegarda sam J.-P. Sartre, twórca egzystencjalizmu francuskiego. Chroni go od nich własny i oryginalny talent i kultura filozoficzna oraz pewien właściwy mu i bardzo swoisty cynizm, pozwalający mu oglądać życie płazów ludzkich bez aseptyki i bez koturnów, które u innych egzystencjalistów zaprzeczają pewne osiągnięcia pozytywne, każąc im widzieć w najmniejszym drgnieniu instynktu życiowego szatana lub Boga. Ale bez Kierkegarda nie czuje się tętna rzeczywistości, na której tle wyrasta egzystencjalizm, a którą rozumieć trzeba w jej działaniu potrójnym: rzeczywistości, która umożliwia powstawanie kierunków filozoficznych, sama zmienia się pod ich działaniem i zmieniona nadaje im nowe zabarwienie i nowe tło: możliwość rozwoju. Rzeczywistość dzisiejsza, zainteresowana Sartrem, przeszła do Kierkegarda i innych odległych myślicieli i teraz postawiła autora *L'être et le Néant* przed faktem dokonany mody na Kierkegarda i jego „rozpaczy aż do śmierci”. Zapewne, że pierwsze wybitne dzieło prezentujące współczesności myśliciela duńskiego — mamy na myśli książkę Jean Wahla — wyszło już w roku 1938. Ale dopiero wielka ofensywa egzystencjalna Sartre'a nadała studiom nad Kierkegardem rumieniec aktualności.

Kierkegaard nie był myślicielem systematycznym. Gnębiony rozpaczą metafizyczną, miotany nienawiścią do duńskiego Kościoła oficjalnego, rzucił na papier swe głębokie nieraz paradoksy, nadając im formę niemal poetycką. Był niezrównanym hermeneutą życia, wizjonerem i prorokiem niezmiernie sugestywnym, ale nie był i nie chciał być filozofem. Przeciwnie, walczył z filozofią, występując przeciw Heglowi z uwagi na te właśnie punkty, które łączą doktrynę hegliańską z filozofią tradycyjną. Kierkegaard widział w Heglu „badacza esencji” i atakował go za jego obojętność wobec pełnej aktualności życia — egzystencji. Uważając egzystencję za jedynie godną badania, wierzył, że sens jej leży wyłącznie w życiu wewnętrznym, religijnym, i wychodząc od doświadczenia religijnego snuł dalszy watek swej wolucyjnej myśli. „Punkt Archimedesowy poza światem to wysoka komnata, w której człowiek modli się w całej rzetelności” (*Życie i królestwo miłości*). Z myśli

Kierkegarda dużo niewątpliwie weszło w krew współczesnego egzystencjalizmu — wymienimy tylko ideę wyboru między dobrem i złem, wiarę w metafizyczną wagę i godność działania, irracjonalną pogardę do myślenia systemicznego, dezyderat autentyczności uczucia, myślenia i działania i pogardę do filisterstwa (*Człowiek „poważny”*) a przede wszystkim rozpacz, spowodowaną nicością i przypadkowością naszej egzystencji, rozpacz na którą lekarstwem jest wyłącznie gorąca wiara w Boga. Kierkegardowy postulat wiary zostaje zresztą przejęty tylko przez prawicę egzystencjalną (Jaspers, Marcel, Chestow i i.); Sartre reprezentuje ateizm dogmatyczny i metafizyczny, odrzucając wszelkie remedia religijne, i, jak zobaczymy, pozostawia człowieka zupełnie samego wobec przejmującej, metafizycznej, obywatelskiej rozpacz.

Dla powstania i rozwoju doktryny Sartre'a najbardziej decydujący był wpływ filozofii Heideggera. Martin Heidegger wyszedł ze szkoły Husserla, i chociaż jego podstawowe dzieło „*Sein und Zeit*” nie wykazuje wyraźnych punktów stykowych z twórcą fenomenologii, to jednak Husserlowska walka z „dogmatyzmem” pozytywnym, husserlowska *epoché*, rozpinająca swój nawias nad wszelkimi sądami o bycie, umożliwiła przecuciom, natchnieniom i filozoficznym sympatiom Heideggera jego światoburczy egzystencjalizm. Na pytanie, czym jest byt, czym jest życie, Heidegger odpowiada, że istotą jego jest troska (*Sorge*). Czym jest człowiek? Niczym innym jak tylko tym, co robi (aktywizm istotny dla wszystkich odmian egzystencjalizmu). Walcząc o życie człowiek ulega pokusie utożsamienia się z innymi ludźmi. Egzystencja ludzka (*Dasein*) jest ciągłym procesem zatapiania się w świecie „innych”, z którymi człowiek jest zmuszony współżyć, żeby żyć. Czytamy i wydajemy sądy o literaturze tak jak się czyta i wyrokuje (klasykne się, *das Man* Heideggera), oburzamy się na to co się uważa za oburzające. To się stanowi niebezpieczeństwo zaprzeczania własnego ja — groźbę upadku człowieka. Pokusa identyfikacji, czy zaprzeczania się w świecie „innych” jest grzechem wobec wolności człowieka — wolności wyboru siebie samego w świecie. Człowiek usiłuje wolność tę zniszczyć przez kapitulację wobec się, szuka pociechy i usprawiedliwienia za swe czyny i myśli, chce siebie sam traktować jako osobnika zdeterminowanego, który *musiał* postąpić tak, a nie inaczej. Ale usiłowania te niezawsze mu się udają. Raz po raz ulega on uczuciu obrzydzenia do życia, nudzie i atakom trwogi metafizycznej, która odsłania przed nim jego pełną samotność i kompletną nicość jego egzystencji, jego wolność. — Oto zasadnicze myśli filozofa niemieckiego. Zobaczymy je wszystkie we francuskim, literackim wydaniu J.-P. Sartre'a.

II.

Doktryna Sartre'a.

Filozofia Sartre'a występuje przeciw wszelkim formom determinizmu, który interpretuje życie jako łańcuch przyczyn i nieodwołalnych skutków: tak musiało być, bo wobec takiej a takiej sytuacji inne rozwiązanie

sprawy było niemożliwe. Determinizm, spychając wszystko na nieodwracalne przyczyny, za które człowiek nie jest odpowiedzialny, daje z jednej strony balsam na wyrzuty sumienia (nie mogłem postąpić inaczej, bo...), z drugiej strony, łagodząc cierpienia, sprowadza inercję a często i rozpacz wobec „sytuacji bez wyjścia”.

Gdyby determinizm miał słuszość, gdyby myśli i postępy ludzkie można było zredukować do przyczyn, które je wywołały, cóż za ciężar spadłby z barków człowieka, jakie niebo odsłoniłoby się przed nim w czasach ładu i optymistycznej wiary w postęp, — a z drugiej strony jakie piekło stanęłoby przed nim w czasach tragicznych, w „czasach bez wyjścia”. Ale analiza egzystencjalna Sartre'a doprowadza go do wyników, nie dających się pogodzić z „wygodną” deterministyczną interpretacją zjawisk. Zdaniem Sartre'a człowiek nie znajduje w filozofii uzasadnienia dla swego ustawicznego „tłumaczenia się” i spychania winy na ludzi, z którymi współżyje, na czasy, w których musi działać, na okoliczności, które „zastał”. Wszystkie te wymówki są głosem nieczystego sumienia, są zakłamaniami. Człowiek, który wbrew swemu sumieniu nie chce brać na siebie odpowiedzialności za to, co robi i czego doznaje, to zakłamany tchórz, nędznik, nieodstępny towarzysz powieści, nowel i dramatów Sartre'a, ilustrujący dobitnie i jasno wyniki analizy filozofa, przeprowadzonej w jego dziele fundamentalnym *L'Être et le Néant*. „Gdyby urodził się np. w r. 1860, byłby przeszedł przez życie ze spokojną pewnością; byłby potępiał surowo tchórzostwo innych i nic, absolutnie nic nie byłoby przed nim odkryło jego prawdziwej natury.. To nie jest sprawiedliwie, pomyślał. Są tysiacy, może miliony ludzi, którzy żyli w epokach szczęśliwych i którzy nigdy nie poznali swych granic: zostawiono im przywilej wątpliwości. Alfred de Vigny — być może, że był to tchórz. A Musset? A Saint Beuve? A Baudelaire? Ci ludzie mieli szczęście” (*Le Sursis*). Dla Sartre'a praktyczni determiniści to tchórze i lajdacy. Ich postawa jest zgruntu fałszywa. Wszystko, co mówią na swe usprawiedliwienie lub na swą chwałę, to kłamstwo. Nic nie uprawnia nas do zwalania winy na okoliczności. Każdy z nas dźwiga na sobie cały ciężar odpowiedzialności. Nawet ostatnia wojna, wtrącając człowieka w wir wypadków i nieszczęść, zdawałoby się, obiektywnych i niemal kosmicznych, nie może być usprawiedliwieniem dla człowieka, który na nią zwała np. zmarnowanie swych możliwości twórczych i swą ruinę moralną. „Ostatecznie człowiek rodzi się dla wojny albo dla pokoju, tak jak rodzi się robotnikiem lub członkiem burżuazji. Nic nie można na to poradzić. Nie każdy ma szczęście, żeby być Szwajcarem. A ja — to jest moja wojna, to ona mnie zrobiła, to ja ją robię, jesteśmy ze sobą nierozłączni. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, czym byłbym, gdyby ona nie wybuchła” (*Le Sursis*).

Zdaniem Sartre'a nie co innego, ale właśnie walka z determinizmem i postulat odpowiedzialności indywidualnej wywołał u większości jego antagonistów niechęć czy nienawiść do egzystencjalizmu. Wygodnie jest być tchórzem i głupcem i występować ciągle jako ofiara nieodwołalnego łańcucha okoliczności.

Ludzie, zaatakowani przez Sartre'a, atakują go z kolei. Zarzucają mu, że jego filozofia prowadzi do rozpacz, że w istocie jest niczym innym jak apologią samobójstwa, że jest najskrajniejszym pesymizmem. Sartre odpowiedział swoim przeciwnikom książeczką polemiczną „*L'existentialisme est un humanisme*”. Bardzo jasno i bardzo zwięźle, bardzo interesująco i... trochę przekonująco — dla tych przede wszystkim, którzy nie

znają jego dzieła fundamentalnego. A więc — egzystencjalizm nie jest pesymizmem, ale wręcz przeciwnie; niezależniąc człowieka od wszelkich autorytetów, dając mu wolność absolutną, nawet od łańcucha przyczyn, do którego przykuł go determinizm jest on najradośniejszym optymistem. Dalej — podczas kiedy filozofowie tradycyjni zakładają, że esencja poprzedza egzystencję, wyznaczali człowiekowi określone zadania, krępując go tym samym, bo zmuszając do realizowania postulatów, których sam sobie nie nałożył, bo człowiek egzystencjalny jest wolny absolutnie. Jest wolny wobec materii i wobec ducha i jego wytworów i wobec Boga. Bo Bóg, którego samo pojęcie jest wedle Sartre'a sprzeczne w sobie, nie istnieje. Człowiek jest sam. Nie jest przedmiotem, jak nóż do rozcinań karteek, który został stworzony dla realizacji pewnych określonych celów (esencja poprzedza egzystencję), bo jest całkowicie wolny i to, czym będzie, zależy wyłącznie od niego, wyłącznie od tego, co z siebie zrobi.

Sartre opiera swoje pojęcie wolności na rozróżnieniu i analizie dwóch modalności naszego istnienia: *ja dla siebie samego* (*pour soi*) i *ja* — byt przedmiotowy (*l'en soi*). O tej drugiej modalności nie warto i nie można nic więcej powiedzieć jak to, że ona prosto jest. Ja jestem, ja istnieję dla ludzi, którzy mnie widzą, dotykają itd. tak jak istnieje dla nich stół, drzewo czy ogród. Co innego *ja sam dla siebie*, *ja* pomyślane w modalności pierwszej. Czy *ja sam dla siebie* wogóle *jestem*, tak jak są przedmioty, z którymi obcuje? Nie, *ja dla siebie*, stając się ustawicznie, wszystko, co robię, to nic innego jak tylko projekcje w przyszłość, których dokonuję, żeby stać się *czymś*, żeby istnieć przedmiotowo. Ale naprawdę nie istnieję i nie będę istniał tak, jak istnieją przedmioty. Bowiem to, czym jestem naprawdę, zależy od czegoś, czego jeszcze nie ma — od przyszłości. — Ale przecież istnieje przeszłość, istnieje historia człowieka. Czy nie determinuje ona człowieka, czy nie krępuje jego wolności, umożliwiając mu tym samym obiektywizację swej egzystencji? A narodowość, a klasa społeczna, w której się urodził, miasto i kraj, w którym żyje? Nie, odpowiada Sartre. Bo wszystko to zależy całkowicie od tego, czym człowiek chce być, zależy więc od jego wolnej projekcji w przyszłość. Niema takiej sytuacji, któraby krępowała jego wolność. Skala, którą widzę przed sobą, będzie moim wrogiem, będzie stawiała opór, gdybym chciał ją przenieść na inne miejsce. Ale ta sama skala stanie się moim sprzymierzeńcem, jeżeli jestem turystą i esteta i wspinający się na nią będę mógł podziwiać piękny krajobraz alpejski. Skala, byt przedmiotowy, nabiera charakteru przeszkody czy pomocy, charakteru takiego lub innego dopiero w świetle celu, który sobie stawiam, w świetle mojej projekcji w przyszłość, ta zaś zależy wyłącznie od mego wyboru, od mojej wolnej woli.

Ale i moja przeszłość, moja historia, zależy od mego wolnego wyboru. Dopiero moja projekcja w przeszłość, cel, który sobie stawiam, decyduje o tym, czym jest dla mnie moja przeszłość. Przecież to ja sam, dokonuję ustawicznie operacji na przeszłości, wybierając dla siebie to, co ważne ze względu na cele, do których dążę i zapominając o szeregu zaszłych wypadków, które mój wybór przeszłości odtrąca. Któż inny, jeżeli nie ja, owo płynne, stające się ciągle a nie istniejące jako przedmiot *ja dla siebie* decyduje o wartości podróży, jaką odbyłem, o szczerości przysięgi miłosnej, o czystości moich dawnych zamierzeń? To przyszłość decyduje, czy przeszłość jest martwa czy żyjąca. To samo odnosi się do historii. Jeżeli pewne wydarzenia są historyczne, to

nie dlatego prosto, że miały one kiedyś miejsce, ale dlatego, że dane społeczeństwo wybrało je ze względu na określone wartości, które wydarzenia te posiadają dla projekcji w przyszłość. Przeszłość człowieka jak i przeszłość narodu jest wyłącznie *propozycją* i jako taka wymaga ona i oczekuje ratyfikacji. Sartre ilustruje swoje rozważania nad przeszłością przykładem weterana napoleońskiego, który po upadku cesarstwa, nie chcąc się przystosować do nowych form życia, *wybrał się* jako Bonapartysta kosztem strat materialnych, aby w ten sposób dokonać ratyfikacji swych bohaterskich czynów pod znakiem orłów cesarskich. Mógł tego nie uczynić, mógł pogodzić się z nowym reżimem i zapewnić sobie dobrobyt, ale wtedy straciłby prawo do swojej przeszłości weterana, przestałby być bohaterem z pod Berzyny, nie miałby prawa oczekiwać triumfalnego powrotu swego cesarza.

Miejsce, w którym człowiek się urodził, jest zwykłym przypadkiem. Przeciwnicy wolności, determiniści wyszukują tę przypadkowość jako jeszcze jeden dowód na zależność człowieka od okoliczności obiektywnych. Czy mają słuszość? Nie, odpowiada Sartre, bo w rzeczywistości dopiero cel, wybrany przez człowieka, decyduje o tym, czy miejsce swego urodzenia i zamieszkania uważa on za zupełnie naturalne i prosto nie wyobraża sobie siebie żyjącego gdzieindziej, czy też uważa je za przeszkodę dla swego szczęścia. To tylko ze względu na moje marzenie, żeby zobaczyć New York, moje życie w małym prowincjonalnym miasteczku jest dla mnie bolesnym absurdem. Jakżeż inaczej byłoby wogóle do pomysłenia, żeby miejsce, w którym żyje, miało być jakąś przeszkodą? Przeszkodą do czego? Nie ma sensu — powiada Sartre — mówić emigrantowi, który po katastrofie swojej partii politycznej wyjeżdża do Argentyny, że to daleko. Daleko od czego? Argentyna jest daleko dla tych, którzy chcą pozostać we Francji, jest daleka dla nich poprzez ich projekcję w przyszłość, która w tym wypadku jest oparta na oglądzie wartości związanych z życiem we Francji, ale dla międzynarodowego rewolucjonisty Argentyna jest centrum świata, jak może nim być zresztą każdy inny kraj.

Nic, absolutnie nic nie determinuje człowieka do określonych posunięć. Przeszłość, która jest tylko propozycją, podlega ratyfikacji, podlega permanentnej operacji, dokonywanej ze względu na przyszłość, — a ta jeszcze nie istnieje! W środku stoi wolny człowiek, który wybiera, wybiera aż do śmierci. Wybiera nawet wtedy, kiedy torturuje go oprawca, wybiera nawet wtedy, kiedy siedzi skuty w kajdany — jak maquisardzi z *Morts sans sepulture*. I wtedy jest wolny. Wolny nie w jakimś znaczeniu stoickim, ale wolny do — złamania kajdan czy próby wyrwania się katom. Sens kajdan, więzienia występuje dopiero w świetle celu, jaki człowiek sobie wybrał: pozostać niewolnikiem, zaryzykować ucieczkę, szukać śmierci samobójczej itd. Podobnie przedstawia się sytuacja człowieka, urodzonego w klasie niższej społecznie, w klasie czy rasie dyskryminowanej politycznie itd. I tu wszystko zależy od jednostki. Jeżeli chce żyć w poniżeniu i beznadziei, realizując w ten sposób swe cele masochistyczne, jej klasa, naród, rasa, czy pochodzenie społeczne dadzą jej napewno sposobność do nasycenia się swym nieszczęściem. Jeżeli człowiek jest ambitny i pragnie celów innych jak życie w rozpuście inercji, jest wolny do czynu jak każdy inny. Nikt nie ma prawa skarżyć się na okoliczności, które jakoby skazały go na cierpienie i hańbę. Każdy człowiek prześladowany jest jak ów bohater Kaffki, który sam stworzył wrota, przez które następnie nie może przejść.

Obdarowując człowieka wolnością, Sartre każe mu drogę za nią płacić. Nie daje mu ona ani szczęścia w znaczeniu popularnym ani błogości stoickiej ataraksji. Wolność odsłania się człowiekowi w rozpacz. Rozpacz tę znamy dobrze od Heideggera, którego pojęcie wolności jest niezmiernie zbliżone do idei Sartre'a. Człowiek Heideggera dokonywa sam projekcji swojej rzeczywistości ale ta rzeczywistość jest niczym. Człowiek ustawicznie sam siebie wybiera (stały temat egzystencjalistów wszelkich odcieni ale cóż, kiedy nagle, w połowie drogi chwytają go trwoga i rozpacz, odsłaniając przed nim jego nicność, której załazek nosi w sobie. Bo... gdyby nie nicność która go otacza, nie byłby wolny, gdyby nie był wolny, gdyby egzystencja nie poprzedzała esencji, ale naodwrot, gdyby np. istniał Bóg, który wyznaczałby człowiekowi cele, albo gdyby istniały jakieś wartości obiektywne, które możnaby traktować jako drogowskazy, człowiek nie byłby naprawdę wolny, ale nie nosiłby też w sobie tej rozpacz, która życie czyni nieznośnym ciężarem. Rozpacz tę znał dobrze Kierkegaard, ale ratował się od niej wiarą w Boga. Sartre, jak i Heidegger, ukazał człowiekowi jego wolność, odbierając mu zarazem wszelką chęć do jej użycia. Bo zresztą niema sposobu żeby ją użyć. Bohaterowie Sartre'a, ci, którzy chcą wolności „jako takiej”, t.zn. nie rozumieją, że nie jest ona esencją, nie jest wartością, ale koniecznością naszego istnienia, idą prostą drogą w absolutną beczyność, która prowadzi ich do spodlenia i wreszcie do katastrofy. Mathieu z powieści *L'âge de raison* chce być wolny za wszelką cenę. Myślał kiedyś zaangażować się politycznie, ale miłość wolności, wolności źle zrozumianej, nie-egzystencjalnej, nie pozwoliła mu na zrobienie kroku naprawdę wiążącego. Czas mija i Mathieu jest ciągle człowiekiem „wolnym”, człowiekiem mogącym sobą dysponować. „Czekał tak długo; jego ostatnie lata były tylko chwilami przed szturmem. Czekał poprzez tysiące małych trosk codziennych; oczywiście przez ten czas uganiał się też za kobietami, podróżował i ostatecznie trzeba było, żeby zarabiał na życie. Ale przy tym wszystkim, jego jedyną troską było zachowanie swej gotowości do czynu, czynu wolnego i przemyślanego, któryby zaangażował całe jego życie, i stał się początkiem nowej egzystencji”. „Tyś szedł swoją drogą — mów: do Mathieu jego przyjaciel polityczny — Jesteś wolny. Ale do czego służyć ma wolność, jeżeli nie do tego, żeby się zaangażować”. „Czy wyobrażasz sobie, że będziesz mógł całe życie przeżyć w nawiasie?” (*L'âge de raison*) Ale Mathieu nie umie już działać, miłość do wolności odebrała mu wszelką ochotę do czynu. Z rozpaczą i zawzięcia myśli o swym przyjacielu Danielu, pederastie, który postanowił poślubić jego kochankę, zaszła w ciążę z jego, Mathieu, winy, żeby ją ratować przed nieszczęściem. „Był zafascynowany Danielem. Myślał: Czy to może jest wolność? On działał, obecnie nie może już powrócić do tego, co było przedtem. Dziwna musi być dla niego ta świadomość, że ma za sobą akt, akt nieznan, czyn, którego prawie już nie rozumie, a który wstrząsnie jego życiem. A ja wszystko, co robię, robię za nic; możnaby powiedzieć, że ktoś mi kradnie następstwa moich czynów; wszystko dzieje się tak, jakbym mógł w każdej chwili zacząć od nowa. Nie wiem prosto, co bym dał za to, żeby dokonać wreszcie aktu nieuleczalnego”.

Wolność pojmowana jako esencja, jako wartość, może dawać szczęście, szczęście realne czy wysublimowane, ale jest to wolność złudna, nieufundowana, nieistniejąca. Natomiast wolność jako zasadnicza struktura egzystencji, wolność prawdziwa t.zn. ta, która manifestuje się

w poczuciu całkowitej niezależności aktów dokonywanych przez nas od ich „przyczyn”, wolność, która łamie łańcuch tradycji człowieka, która wymaga od niego ciągłego stawania się na nowo, bo nic go nie wiąże z jakąkolwiek sytuacją, w jakiej by się znalazł, wywołuje w nim mdłe uczucie wstrętu do siebie samego.

Wolność odsłania przed człowiekiem jego „nicność”, jego zbyteczność w świecie i całą „kleistość” jego „ja”, które tylko się staje ustawicznie, unicestwiając swe własne przeżycia i wszystko wokół siebie. Człowiek chce się pozbyć swej nasei, i wierzy, że to mu się uda, jeżeli stanie się „czymś”, jakimś „bytem przedmiotowym” (*I'en soi*), jeżeli osiągnie jakąkolwiek formę stałą. „Być tym, czym jestem, być pederastą, nędznikiem, tchórzem być wreszcie kupą śmieci która nie dochodzi nawet do istnienia” (*Le Sursis*) „Marzyłem niejako, żeby się zabić, żeby unicestwić przynajmniej jedną ze zbytecznych egzystencji. Ale nawet moja śmierć byłaby zbyteczna. Zbyteczny mój trup, moja krew na kamieniach pośród tej roślinności, w głębi tego uśmiechniętego ogrodu. I to ciało stoczone przez robaki byłoby zbyteczne dla ziemi, któraby je przyjęła, i wreszcie moje kości oczyszczone, wyluskane, czyste i gładkie jak zęby byłyby też zbyteczne: byłem zbyteczny dla wieczności” (*La Nau-sée*).

Przejęty obrzydzeniem do swojej własnej „lepkości” człowiek zdradza swą wolność. Nieszczęśliwie „ja dla siebie”, chcąc stać się *czymś* wpada w histerię nienawiści do swej ciąglej wolności. Marzy o ostatecznej determinacji, — żeby tylko być *czymś*, być takim, jakim mnie widzą, nie być ciągle odpowiedzialnym za każdy swój akt i za każdą myśl. Oto jądro nieczystego sumienia, zła wiary (*mauvaise foi*) — próby wyleczenia się ze wstrętnego poczucia swej własnej przypadkowości i bezużyteczności. Zła wiara polega na chęci otumanienia czy też zabicia głosu sumienia, które wzywa wszędzie i zawsze do autentyczności przeżyć i czyni człowieka odpowiedzialnym za jego los. Człowiek ucieka przed wolnością, chciałby być obiektywnie, być czymś, tęskni do „spokoju kamienia”, — ale ta jego tęsknota nigdy się nie ziści. Zawsze pozostanie wolnym i raz po raz zdaje sobie sprawę z tej wolności, której zupełnie oszukać nie może.

Zła wiara Sartre'a wzięła się niewątpliwie z medytacji Heideggera na temat upadku człowieka, który pragnie się zidentyfikować z „się” (*das Man*). Sartre przewyższa jednak swego nauczyciela niezrównaną intuicją psychologa — artysty i niemal kaznodziei jakiejś religii autentyczności, kreśląc niezrównane obrazy ruiny moralnej, do której prowadzi zakłamanie.

Zła wiara sprowadza nikczemność i tchórzostwo. Ale może istnieją inne remedia, mniej zabójcze, które pozwalają pozbyć się rozpacz i obrzydzenia do samego siebie? Cudu tego ma dokonać miłość. Kochanek czy kochanka, to będzie „ten drugi”, który, zachowując swoją wolność, będzie mnie kontemplował; jeżeli mnie kocha, stanę się dla niego „bytem przedmiotowym” absolutnie doskonałym. Jeżeli odnajdę w sobie ten byt przedmiotowy, który „ten drugi”, mój kochanek, kontempluje, to cud jest dokonany! Stałem się „bytem przedmiotowym dla siebie samego” (*L'en soi pour soi*). Oto miłość która w swej istocie jest tylko nadzieją pozbycia się nieznosnego cierpienia, wynikającego z poczucia swej niepotrzebnej przypadkowości. Zakochany chce „uwieść” osobę kochaną, używając w tym celu całej gamy sposobów ażeby pokazać, jej, że jest naprawdę „pełnym bytem”. Nie chce zabierać jej wolności, bo ta właśnie wolność kochanki ma być nieodzownym

warunkiem kontemplacji swego własnego „bytu przedmiotowego”, ale równocześnie chce się stać dla niej całym światem, nieodzownym absolutem.

Wszystko napróżno! Szczęście kontemplacji swego własnego bytu przedmiotowego jest niemożliwe dla śmiertelnych. Szczęście to posiadać mógłby tylko Bóg, a Bóg jest dla Sartre'a sprzeczny w sobie. Więc co robić? Co robić? Czy rację miał Lucjan z „Dzieciństwa szefa”, stawiając jako warunek szczęścia zaprzestanie poszukiwania w sobie samym? Nie, odpowiada Sartre, to jest „mauvaise foi”, zdrada swojej wolności, swojej istoty, to prowadzi do nikczemności. Więc może kwietyzm etyczny? Nie, bo naczelnym warunkiem prawdziwego życia jest działanie. Człowiek musi się angażować, musi ciągle dokonywać czynów, od których niema odwrotu, bo tylko w ten sposób „staje się” naprawdę i tylko w ten sposób nadaje wartość swojej przeszłości (jak ów weteran napoleoński), która bez ustawicznej ratyfikacji przez czyny umiera dla człowieka. Czym jest człowiek? O tym mówią tylko jego czyny, poza nimi nie ma nic. Geniusz Prousta — powiada Sartre — to jego książki. Jak postąpić w danej chwili, jaką wybrać drogę na skomplikowanym rozstaju? Tak postąpić i tak wybrać, jak się postąpi i wybierze. Nikt na całym świecie nie może służyć człowiekowi radą, co zrobić w wypadku alternatywy etycznej, bo sam wybór doradcy jest już implicite wyborem drogi. Sartre opowiada, że w czasie okupacji przyszedł do niego jego dawny uczeń z prośbą o radę, czy ma dostać się do Anglii i służyć ojczyźnie jako żołnierz De Gaulle'a, czy też pozostać we Francji, żeby opiekować się matką. Czy Sartre jako filozof mógł mu udzielić rady? Rady jakiej? Jeżeli młody człowiek wyjedzie z Francji, to znaczy, że uczucia patriotyczne są dlań ważniejsze niż chęć pomocy matce. Jeżeli zostanie, to znaczy, że sprawa ma się naodwrot. Kto ma mu poradzić? Książd? Ale — powiada Sartre — są różni księża. Jeżeli pójdzie do kapłana-kolaboranta, odpowiedź wiadoma. Jeżeli do księdza - patrioty ta sama sytuacja.

Czy istnieją jakieś bezwzględne wartości etyczne, przy pomocy których można się zorientować w wyborze słusznej drogi? Egzystencja poprzedza esencję — takie wartości więc nie istnieją. „To ja jestem bytem, dzięki któremu powstają wartości” (*L'être et le Néant*). Wszystkie bariery, wszystkie prawa wałają się, unicestwione przez świadomość mojej wolności: nie ma i nie może być dla mnie ucieczki w żadne wartości wobec faktu, że to ja jestem tym, który podtrzymuje istnienie wartości” (*ibidem*).

Człowiek, skazany na wolność, która otacza go zewsząd, musi żyć życiem autentycznym, własnym, indywidualnym. Musi działać, bo sądzą go wyłącznie czyny (a nie jakieś tajemnicze, niewyrażone w niczym „intencje”), nie zdradzać swojej wolności (zła wiara, unicestwienie „ja dla siebie” prowadzi do grzechu), nie szukać swego obóstwiania w miłości czy jakimkolwiek innym obcowaniu z „drugim” (połączenie obu modalności istnienia jest niemożliwe dla śmiertelnych).

Dążenie do życia niezakłamanego, autentycznego, prowadzi w oczywistej konsekwencji do potępienia t.zw. „człowieka poważnego”, który nie ma czasu na rozważania etyczne, bo jest związany na niezliczone sposoby ze swym czasem, środowiskiem, rasą, miejscem urodzenia, zawodem itd. Już chrześcijański Kierkegaard atakował „człowieka poważnego”: „Czy apostoł Paweł miał jakieś zajęcie oficjalne? Nie, Paweł nie miał zajęcia oficjalnego. Czy zarabiał on może w jakiś inny sposób? Nie, nie zarabiał wogóle pieniędzy. Czy przynajmniej

był człowiekiem żonatym. Nie, Paweł nie był żonaty. No więc chyba Paweł nie był człowiekiem poważnym? Nie, Paweł nie był człowiekiem poważnym". Nienawiść ateisty-Sartre'a dosięga człowieka poważnego nawet za grobem. Heidegger przyznaje każdemu człowiekowi prawo do własnej, autentycznej śmierci. Jeżeli ktoś zakłamie się absolutnie i zaprzepaści swoje „ja" w dogmatycznym królestwie „się", to pozostaje mu przynajmniej jego śmierć, która go czyni jedynym i niezastąpionym. Sartre nie zgadza się nawet na przywilej śmierci autentycznej dla człowieka, który umiera w zakłamaniu. Istnieją zmarli nieautentyczni, ci, którzy z własnej woli oddali swój głos na rzecz ethosu „ludzi poważnych" zakłamanie trupy, ci, co zmarli „za jakąś rewolucję", „za wojnę", nie uświadamią sobie w sposób absolutnie szczerzy sensu i celu swej walki i jej śmiertelnych konsekwencji.

III.

Mroki i złudzenia egzystencjalizmu.

Dwa konkretne zjawiska dzisiejszych czasów rozciągają nad egzystencjalizmem swe opiekuńcze skrzydła, utrudniając poważnie wrogom nowej filozofii odwołanie się jej właściwego charakteru: rozpacz i niepokój człowieka współczesnego, oraz jego ostateczne zwątpienie w wartość cywilizacji. Argumentacja egzystencjalistów zawdzięcza swą moc nieustannemu procesowi sublimacji, któremu poddają oni oba te fenomeny. Rozpacz, niepokój i nihilizm są chorobami konkretnymi i dadzą się też konkretnie leczyć; ale egzystencjalizm wprawia w ludzi, że źródło ich cierpień jest metafizyczne i że leczyć ich nie można i nie trzeba.

Subiektywizm filozoficzny nie od dziś używa swych metod sublimacyjnych, pogłębiając systematycznie kryzys kultury. Bergsonizm, fenomenologia i t.zw. filozofia życia to w istocie ciągle próby odwracania człowieka od jego gleby historycznej, ciągle wysiłki osłabienia jego poczucia realności istnienia. Egzystencjalizm pojawia się w chwili, gdy depresja człowieka powojennego sięga swego zenitu; stąd szczególna siła i popularność modnej filozofii.

Trzeba przyznać, że sublimacje, t.zw. redukcje i inne zabiegi filozofii subiektywnej nie zawsze, a przede wszystkim nie wszędzie stosowano jedynie tylko gwoli „prawdzie". Nie wszędzie działają też one destrukcyjnie. Filozof-subiektywista nie w każdym kraju jest człowiekiem niepraktycznym, który wskutek swych dociekań metafizycznych stracił grunt pod nogami i nie umie odróżnić jawy od snu. W Niemczech umiano bardzo rezultatywnie łączyć „miłość prawdy" z praktycznym imperializmem i realnym szowinizmem. Nowe Niemcy, rodzące się na początku 19-go wieku, nie mogłyby nawiązać do swego klasycyzmu czy humanizmu, wobec którego znakomita większość narodu była obojętna czy wroga. Nie mogąc iść śladami Lessinga i Goethego, nie chcąc też nawiązywać do tradycyjnych źródeł cywilizacji łacińskiej, usiłowano „przeskoczyć" intelektualnie przeszłość zapomocą wynalazku absolutnej spontaniczności jednostki, która, zanurzony się w głębinach swej świadomości, może jakoby sama oglądać prawdy bez pomocy tradycji. Stąd podwójne zadanie romantyzmu filozoficznego: umożliwiał on Niemcom utworzenie własnej plemiennej kultury, oraz rozkłada cywilizację niemiecką, subiektywizując, relatywizując czy psychologizując ich wartości tradycyjne. Dziś myśl niemiecka

zalewa Francję i inne kraje kontynentu. Współczesny Europejczyk, szukając wyjścia z kryzysu, znajduje je w egzystencjalizmie, najnowszej doktrynie niemieckiej, przewyższającej znacznie swą perfidią systemy idelistyczne 19-go stulecia. To bowiem już nie problematyczne dla wielu „czyste ja" jest kamieniem węgielnym filozofii, ale konkretne życie realnego, zwykłego człowieka. Symbioza esprit francuskiego z idealizmem niemieckim była trudna — Francuzi cenili to, co jasne i jasno przedstawione. Ale egzystencjalizm, padając na glebę duchową Francji, wywołał tam oddźwięk natychmiastowy. Mówi bowiem o rzeczach konkretnych, zawiera przy tym olbrzymie możliwości literackie. Analiza życia ludzkiego daje też każdemu prawo do wypowiedzenia — po z *фіндізіалм іаод 'эзіалм ёзід аімојозолі' 'эіс* kryciami naukowymi. Mistyk, dziecko, pijak i schizofrenik, wszyscy stają się równouprawnionymi badaczami prawdy. Ten sam subiektywizm filozoficzny, który z tamtej strony Renu służył celom polityki praktycznej, tu we Francji znajduje swych wyznawców, manifestujących często swą całkowitą bezinteresowność polityczną. Niektórzy widzą i znajdują w nim możliwości wyżycia się literackiego i kariery. Niektórych pociąga bo sublimuje „umetafizyczna" ich konkretne braki woli czy inteligencji. Innych kusi dla motywów bardziej złożonych, do których wchodzi też dyskretnie i motywy polityczne. Wszystkim daje miłe złudzenie wynalezienia tym razem niewątpliwie autentycznego kamienia filozoficznego i panaceum na wszelkie dolegliwości...

Wychodząc od „konkretnego życia" (egzystencja poprzedza essencję) egzystencjalizm przekreśla za jednym zamachem obiektywny świat wartości w sposób nierównanie bardziej przekonujący niż robili to idealści niemieccy 19-go wieku. Cóż istnieje osteczniej bardziej realnie jak życie ludzkie? Czyż to nie człowiek żyjący jest ciągłym ratyfikatorem i korektorem, obrońcą i oskarżycielem onót i grzechów przeszłości? Cóż bardziej bezpośredniego jak życie człowieka? Czy więc, dążąc do prawdy, nie powinniśmy od niego zaczynać naszych badań?

Pytania te są pozornie nieodparte i trudno odpowiedzieć na nie negatywnie — stąd siła propagandowa nowej doktryny i jej niebezpieczeństwo. Jeżeli zaś zgodzimy się raz pójść drogą, wytyczoną przez egzystencjalistów, zabrnijemy niewątpliwie na bezdroża rozpaczy indywidualnej i społecznej. Jeżeli egzystencja poprzedza essencję, to nie ma wartości obiektywnych, nie ma cywilizacji jako dobra bezwzględnej. Dla człowieka „skazanego na wolność" każda cywilizacja, każda struktura społeczna, każdy ustrój polityczny jest równie dobry czy równie zły. Rozpacz jego jest metafizyczna i nieuleczalna. Egzystencjalizm stanowi najgwałtowniejszą akcję przeciwko optymistycznej filozofii 18-go wieku ale zwraca się wogóle przeciw wszelkiej filozofii racjonalistycznej, zawsze dbałej o aspekt budujący swej doktryny. Egzystencjalizm przekreśla cywilizację, nie chce postępu, ogłasza désintéressement wobec zła politycznego. Jest nihilizmem w pełnym znaczeniu tego słowa.

Cała rzecz w tym, że wartość dowodowa doktryny egzystencjalnej jest w istocie bardzo problematyczna. „Konkretne życie", na jakim budują egzystencjaliści, jest naprawdę tworem jeszcze bardziej sztucznym niż „bon sauvage" optymistów 18-go wieku czy jaźń transcendentalna idealistów niemieckich. Trudność zdemaskowania tej sztuczności polega na tym, że człowiek egzystencjalny, stały ilustrator i interpretator „filozofii nicości", jest dobrze nam znanym nihilistą i despera-

tem dzisiejszych czasów. Znamy jego mechanizm emocjonalny i intelektualny z naszego doświadczenia. Rozumiemy go, przekonujemy nas, ale dla egzystencjalizmu ten człowiek nie z gleby historycznej, nie ze współczesności czerpie swe poglądy, problemy i motywy postępowania; bo Sartre odhistorycznia go i sublimuje, wskazując na metafizyczne źródło jego egzystencji. Stąd złudzenie obcowania z wiecznymi reprezentantami rodzaju ludzkiego tam, gdzie w rzeczywistości mamy do czynienia z postaciami historycznymi, konkretnymi aktualnej współczesności. Złudzenie, a jednak jakże powszechne! Iluż czytelników Kaffki czy Dostojewskiego nie ulega błędowi widzenia genialnych odkryć psychologicznych ludzkości tam, gdzie okrycia te odnoszą się wyłącznie do „Kaffehauspflanze" Europy Centralnej po pierwszej wojnie światowej czy do człowieka rosyjskiego ancien régime'u. Nieporozumienie, bo człowiek nie istnieje poza historią i niema sensu o nim mówić tak, jakby urodził się z dębu czy skały. Dzisiejszy człowiek wraz ze swymi ułomnościami jest też tylko człowiekiem współczesnym, gdyby nawet najszczerzej wierzył w metafizyczną wagę swych cierpień. Przyszedł na świat z bagażem tradycyjnych wartości. Stojąc wobec skały (klasyczny przykład Sartre'a) nie ma bynajmniej nieograniczonych możliwości wyboru swego do niej stosunku. Jest turystą, bo jego cywilizacja wypielegnowała wartości turystyki. Jest esteta, bo jego cywilizacja wymyśliła „kontemplację bezinteresowną". Czymże jest bez swej obiektywnej przeszłości, czymże jest poza kompleksem wartości, wyznaczających jego życie, poza essencją? Kryzys cywilizacji osłabił jego orientację w zjawiskach, osłabił jego władzę poznawczą — stąd jego miotanie się bez końca, brak równowagi i spokoju w wyborze. Nie widzi drogowskazów etycznych czy intelektualnych, bo zatracił poczucie jednorodnej kultury, a wartości, z którymi przyszedł na świat, pozabawione więzi, żyją w nim jak dzikie kwiaty, bez sensu i umiaru, jak cnoty platońskie, które oderwane od cnoty najwyższej — mądrości — tracą swój blask — tak i wartości, zamiast orientować go, walczą między sobą, odsłaniając przed człowiekiem pozorny dramat wolności wyboru.

„Egzystencja poprzedza essencję", to nie odkrycie metafizyki, ale bardzo zresztą problematyczny fenomen psychiczny współczesnego człowieka. Nie wierzy w nikogo i w nic, nie widzi dla siebie znaków, które mogłyby go zorientować. Wolność, na którą niby jest skazany, to poprostu Kartezjańska wolność obojętności, wolność najniższego stopnia (infimus gradus libertatis), polegająca na ciągłej neutralności wobec dóbr,

między którymi ma wybierać; wolność dzikiego, którego wzywamy do decyzji, czy *chce* wysłuchać opery Mozarta czy zwiędzić muzeum sztuki etruskiej. Wolność pijaka, który przekłada butelkę wódki nad dobrą książkę. Nie wie, co może mu dać lektura, więc wybiera alkohol; gdyby wiedział, wybrałby niewątpliwie inaczej. „Gdybym bowiem wiedział zawsze jasno co jest prawdziwe i co jest dobre, nie miałbym nigdy wątpliwości, jaki wydać sąd i jakiego dokonać wyboru. Tak więc, chociaż całkowicie wolny nie mógłbym nigdy być obojętny" (*Meditatio IV*).

Ale Sartre nie uznaje prawdziwej, wyższej wolności Kartezjańskiej, bo ta zakłada istnienie obiektywnego świata wartości, świata wiecznych prawd. W romantycznym ubóstwieniu człowieka wyabsolutnia on „wolność obojętności" i sublimując ją czyni z niej metafizyczny motor człowieka.

Barbarzyńskie stosunki naszych czasów pozwoliły Sartre'owi na nazwanie swej filozofii humanizmem — dlatego, że odrzucając Kartezjańską „wolność wyższego rzędu" i obdarzając człowieka wolnością metafizyczną i absolutną, zrywa z niego wszelkie więzy i pokazuje mu świat nieskończonych możliwości. Otoż takie wywyższenie indywiduum nie ma nic wspólnego z humanistycznym poglądem na świat. Humanizm ubóstwia człowieka, ale ubóstwia go jako człowieka konkretnego a więc historycznego. Ten konkretny człowiek, orientując się wedle nieomylnych sygnałów cywilizacji łacińskiej, pozostaje wolnym, ale wolność jego nie ma nic wspólnego z metafizyczną swobodą egzystencjalizmu. Jego wolność to poprostu brak ucisku z jakiegokolwiek strony tam, gdzie w grę wchodzi realizowanie wyższego i szczęśliwszego typu człowieczeństwa. To jest wolny człowiek humanistyczny: „jak czarującą istotą jest człowiek, kiedy jest naprawdę człowiekiem" (Menander).

Człowiek jako mikrokosmos, rzutujący nieustannie w przyszłość, bo pchany jakąś tajemniczą siłą wolności metafizycznej, jest dla humanizmu obcy, niezrozumiały i wstrętny, jak człowiek romantyczny ze swoją wiarą w absolutną spontaniczność swej natury. Jeżeli liczy się z nim, jeżeli go kontempluje, to nie po to, żeby ze swego oglądu czerpać siły potrzebne do nowego Renaissance, ale aby zdemaskować go, wskazując mu właściwe miejsce w historii: romantykowi niemieckiemu miejsce mózgowego szermierza nacjonalizmu; egzystencjaliście francuskiemu miejsce zmęczonego nihilisty, znużonego klasyczną tradycją swego narodu i szukającego podniecia, jakie mu zapewniają niepokój, rozpacz i zwątpienie.

RAJ UTRACONY

Ludwikowi poświęcam.

Umarł Pierre Bonnard.

W dniu, gdy nadeszła wiadomość o śmierci malarza, dzienniki paryskie umieściły datę jego urodzenia i kilka zdawkowych frazesów że był „malarzem światła”, że robił ilustracje do Verlaine'a, Mirbeau, Gide'a. W dniu jego pogrzebu znalazłem zaledwie parę mikroskopijnych notatek. To wszystko. Były rzeczy tego dnia ważniejsze: przede wszystkim problem „ravitaillement”, sprawa mięsa, które nie dochodzi do Paryża w dostatecznych ilościach, a także wymiana telegramów i pism między Stalinem i Bevinem. I tyle innych spraw bieżących.

„Czy Francuzi dzisiejsi nie rozumieją, kogo stracili?” — myślałem. Bo Bonnard w istocie jest „nieaktualny”. Bonnard to przeszłość, to naprawdę i dla Francuzów „raj utracony”.

Ale po głupich i zdawkowych pierwszych notatkach dzienników, już w tygodnikach posypały się artykuły i wypowiedzi o nim. Georges Braque w krótkim wywiadzie rzucił o nim jedno zdanie, które zbiega się z tym, co chciałem poruszyć w związku z Bonnardem: „Sa joie de vivre était le signe de son époque. Ce n'est peut-être pas celui de la nôtre”. (Jego radość życia była znakiem jego epoki, nie jest może znakiem naszej”).

Nie wiem, czy był malarz współczesny we Francji, do którego bardzo liczni malarze polscy mieli stosunek tak żywy. Nie tylko powiedziałbym zachwyty, ale jakiejś serdecznej czułości. Wiele powodów złożyło się na to, że właśnie malarstwo Bonnarda miało w Polsce tylu fanatyków. Przez długoletnią przyjaźń, która łączyła go z Pankiewiczem, napewno najbardziej w Polsce pedagogiem malarstwa, dotarł on do Polski szybciej może i bezpośrednio niż do innych krajów. Dzięki Pankiewiczowi parę pokoleń malarzy polskich „odkrywało” Bonnarda, a nie jeden z nas dzięki Bonnardowi od tegoż Pankiewicza w malarstwie swoim odszedł. Ich przyjaźń oraz rozbieżne drogi rozwoju ich malarstwa rzucają światło na szereg istotnych zagadnień sztuki francuskiego mistrza.

W wywiadzie do „Nouvelles Littéraires” (23.VII. 1933) Bonnard opowiadał, że impresjonizm nie był dla niego wcale pierwszą rewelacją nowoczesnego malarstwa, był nią natomiast w roku 1888 Gauguin. Dzisiaj dziecko każde wie, że rozwój malarstwa w XIX wieku szedł od impresjonizmu po przez Cézanne'a, Seurat'a, Van Gogh'a i Gauguin'a, i że właśnie po przez stylizację, „plaską” deformację Gauguin'a przeszedł do kubizmu. (Fauwizm był ruchem bardziej z Van Gogh'a wyrastającym).

Impresjonizm, malarska forma naturalizmu, wyprzedzał Gauguin'owską arabeskę, Gauguin'owską reakcję przeciwko naturalizmowi i jego „ligne abstraite”, która się genealogicznie wiąże nie z impresjonizmem, nie z Delacroix, ale z Degas'em i Ingres'em.

Historia sztuki traktowana „szkolnie” wprowadza w błąd, jeżeli zapominamy, że fale działania i wpływów kierunków artystycznych idą nieraz nadzwyczaj szybko jedno za drugim, wjeżdżają na siebie, płaczą

się, a w czasie są nieomal zupełnie jednoczesne, gdy w naszym wyobrażeniu wydają się nam przedzielone dziesiątkami lat. Historycy ustalając kolejność nieraz sztucznie schematyzują dla większej jasności.

Młody Bonnard w Académie Julian w 1888 r., który miał wśród swoich kolegów Russelle'a, Vuillard'a i Maurice Denis, nie znał wcale impresjonizmu i tą pierwszą rewelacją sztuki nowoczesnej było dla niego małe płócińko czy nawet deseczka (przywiózł ją do pracowni Maurice Denis), na którym gwałtownymi kolorami było namalowane przestyliżowane drzewo.

To było pierwsze odkrycie nowoczesności przez Bonnard'a. Dopiero potem uczeń Académie Julian staje wobec impresjonizmu. Według własnych jego słów impresjonizm jest dla niego wyzwoleniem. Dlaczego na tę kolejność chce zwrócić uwagę? Bo u Bonnarda już w całym pierwszym okresie jego twórczości w sposób najbardziej widoczny krzyżują się dwa wpływy, ale „ligne abstraite” Gauguin'a, drzeworyt japoński, czucie arabeski, poprzedzają w czasie odkrycie kolorystycznej problematyki impresjonizmu. Najbardziej uwidacznia się to w jego afiszach, ilustracjach sprzed 1900 roku. Wzwanie się w naturę poprzez okrycie impresjonizmu wtapia malarstwo Bonnarda w świat widzenia impresjonistycznego, a więc bardziej naturalistycznego, bardziej analitycznie czujnego wobec natury. Ale ten impresjonizm ma już za sobą wrażliwe i świadome czucie kompozycyjne. Gauguin'owi zawdzięcza Bonnard, że obrazy jego tak rzadko bywają zupełnie czystym impresjonizmem.

W roku 1908 Bonnard poznaje Pankiewicza. Malarze się zaprzyjaźniają, w 1909 roku wynajmują na spółkę willę w St. Tropez, obok Signac'a, i tam całe lato obok siebie malują. Od tego czasu aż do wojny 1914 spędzają razem lub w pobliżu siebie nie jedno wspólne lato nad morzem Śródziemnym, albo w Normandii. Przy całym szacunku i miłości dla Pankiewicza, uznaniu jego ogromnej roli w malarstwie polskim, nie chciałbym być dwuznaczny. Pod względem klasy malarskiej nie można stawiać na równi tych dwóch nazwisk. Zresztą wogóle nie bardzo wiem, kogo można stawiać na równi z Bonnardem ze współczesnych mu malarzy, poza jednym Matissem i może przeciw Picassem. Nie mniej ci dwaj malarze spotkali się na przecięciu dróg i niewątpliwie mieli w pewnym okresie wzajemny wpływ na siebie. Przypominam sobie u Bernheim'a studium zatoki południowej Bonnard'a sprzed 1914 roku, do tego stopnia pankiewiczowskie, że przyjąłem ten obraz za obraz Pankiewicza. Pamiętamy wszyscy „Pinie nad Morzem” Pankiewicza, w których znowu odnajdywaliśmy ślady bezpośrednich wpływów Bonnard'a.

Dla Pankiewicza pierwszym wstrząsem malarskim (tak jak Gauguin dla Bonnarda) był Aleksander Gierymski. I to Gierymski „Solca”, „Żyda z pomarańczami”, Gierymski przedimpresjonistyczny. Dało mu to na zawsze pasję do „qualité” malarskiej, wyrzuciło go z akademizmu Gersona ku Vermeer'owi, ku Wenecjanom, mistrzom Gierymskiego. Już impresjonizm dla Pankie-

wicza jest fazą przejściową jego twórczości, która następuje po inkubacji Gierymskiego, tak jak u Bonnard'a po inkubacji Gauguin'a. Pankiewicz z ostatnich dwudziestu lat jego życia, coraz bardziej powraca do tych pierwszych swoich przeżyć do realizmu Gierymskiego, a dalej do coraz bardziej wyłącznego kultu klasyków, który w rezultacie daje swoisty neoklasycyzm niektórych jego płócien.

W latach 1907-1918 Pankiewicz przebywa swój okres burzy i naporu. Czego nie widzimy wówczas w jego obrazach: prawie Matisse'owskie „martwe” w brutalnych dźwięcznych kolorach, pejzaże hiszpańskie i kubizowane ulice Madrytu, gdzie znać, że patrzył na De-launay'a, a nawet z nim w jednej pracowni (w Madrycie?) pracował, pointe sèche o linii przestyliżowanej (chyba najslabsze grafiki Pankiewicza), a wreszcie kwiaty tak bonnardowskie, jak te które umieściłem w kolorowej reprodukcji na wstępie mojej książki o Pankiewiczu.

Koło 1918 roku Pankiewicz po powrocie z Hiszpanii do Francji spotyka Bonnard'a i jak mi sam opowiadał zaraża go zestawieniami bardziej „czystymi”, oderwanymi, barwnych plam i barwnej znowu arabeski.

Bonnard zaś wrywa go wówczas z pewnego schematyzmu linii, mawianego mu przez kubizm. Obaj „przerabiają” po swojemu lata 1905-1914, lata wstrząsów i rewolucji artystycznych, które potem „działają” przez długi czas (fauwizm, kubizm, futurizm).

Dopiero po 1918 roku Pankiewicz powoli zaczyna wracać do malarstwa bardziej spokojnego. Mistrzem mu najbliższym ze współczesnych staje się Renoir. Nawet położenie farby „porcelanowe” Renoir'a przypomina. Ale i wtedy jeszcze maluje bardzo bonnardowski intérieur Laurysiewiczów.*).

Pankiewicz w miarę lat coraz konsekwentniej oddala się od sztuki tzw. nowoczesnej z powrotem ku wielkim realistom XIX wieku, Courbet'owi, Gierymskiemu, a bardziej jeszcze ku mistrzom Renesansu. Lubi wówczas powtarzać, że rację miał Vasari, gdy jako najwyższą pochwałę o obrazie mówił „come vivo”. Pankiewicz coraz bardziej klasycyzuje, zarzuca XIX wiekowi, że rozbił jedność malarstwa, „rozkładając” elementy malarskie, wywróciwszy ich kolejność klasyczną (rysunek, walor, kolor) i wskutek tego przekreślając rysunek w klasycznym rzeźbiarskim, a nie malarskim tego słowa znaczeniu, likwidując walor naturalistyczny, światłości i kolor lokalny przez coraz bardziej dowolną transpozycję barw.

To w związku z „Colosseum” Corot'a (Louvre) mówił z zachwytem o „Vermeer'owskim dążeniu do ab-solutnego obiektywizmu” i o „syntetycznej plamie kolorowej, wyrażającej jednocześnie światło i przedmiot”. Pankiewicz idzie od 1918, 1922 roku drogą diametralnie przeciwną linii rozwojowej Bonnard'a.

W pracowni paryskiej Pankiewicza wisiał do jego śmierci małej akt kobiecej Bonnard'a, szkic zaledwie. Kolor ciała w tonach cytrynowych i żółci neapolitańskiej z cieniami delikatnie szarymi i z kilkoma zielonymi plamami w głębi. Tych kilka plam, nie mających nic wspólnego z wiernością kolorowi lokalnemu, dawały widzowi to właśnie, co było esencją płócien Bonnard'a — nieoczekiwaną, odkrywczą i zawsze jedyną harmonię barwną. Tak samo rysunek tego aktu, dla

*) Zginął prawdopodobnie w Warszawie z jedną jako ja-kość i bogactwo kolekcją Pankiewicza w posiadaniu Laurysiewiczów.

laika dziecinny i niedołyżny, był szczytem wyrafinowanej i radosnej czułości.

W Bonnard'zie, w przeciwieństwie do Pankiewicza, rozstała się w miarę lat wątek abstrakcyjny. Wyrasta on nie obok, nie przeciw impresjonizmowi (jak kubizm), ale z pnia wieloletniej pracy według założeń impresjonistycznych, palety bliskiej impresjonizmowi, tylko nieskończenie wzbogaconej (kubizm, odrzucając impresjonizm, paletę brutalnie zubożył), z barwnego dywizjonizmu i stosunku do koloru lokalnego coraz bardziej wolnego. Zaczyna rosnać w płótnach Bonnard'a bogactwo zestawień „czystych”, coraz bardziej dalekich transpozycji: świat czystej gry barwnej, barwnej arabeski.

Rozwój ten nie idzie wcale u Bonnard'a szybko. Nie ma w tym śladu nawrócenia czy wypierania się czegośkolwiek. Jest genialne asymilowanie coraz to nowych pierwiastków i ciągle wzbogacanie swojej wizji.

Sięgam tu do własnych wspomnień. Chciałbym obrysować to, na którym sam widziałem powolny wzrost sławy Bonnard'a.

W 1924 roku przyjechałem do Paryża w grupie KAP—istów. Kubizm jest już wówczas na tyle modny w „postępowych kawiarniach”*) a jego opinie na tyle obowiązujące, że powiedziałem o człowieku, o młodym malarzu, że jest impresjonistą, graniczyło ze zniewagą, że gdy o Van Gogh'u Picasso w rozmowie miał się wyrazić „c'est un voyou sentimental”,**) natychmiast pilny krytyk niemiecki cytując to jak pismo święte w tomiku poświęconym nowoczesnemu malarstwu z serii tanich wydań idących na cały świat.

W 1924 czy 1925 roku jeden z najbardziej wówczas głośnych krytyków paryskich (czy nie Valdemar Georges?) pisze w związku z wystawą u Bernheima, Picassa, Léger'a i Bonnard'a: „na wspaniałym Rolls-Royce'ie i Bugatti idą na czele wyścigu sztuki Picasso i Léger, darmo stara się z nimi nadążyć p. Bonnard na staromodnym tracyklu”.

Gdyby w owe czasie był na miejscu Bonnard'a człowiek i malarz nie tej miary, mniej bystro wsłuchany we własną muzykę wewnętrzną, nie tak czujnie wpatrzony w to co widział i przeżywał, mniej autentyczny i bezinteresowny poeta, starałby się napewno „podciągnąć się” choć trochę do tego, co wówczas było modne, nowoczesne, „rewolucyjne”. Ale Bonnard, gdy go pytano o jego stosunek do sztuki nowoczesnej, odpowiadał skromnie, a może prędzej filuternie, ukrywając się przed reflektorami wywiadów i reklam: „je ne suis qu'un pauvre impressioniste!” (jestem tylko mizernym impresjonistą).

Ale w rozmowie z Pankiewiczem (nie jestem w stanie ustalić daty tej rozmowy, o której mi Profesor mówił w 1935 r. — przypuszczam, że były to już lata późniejsze) Bonnard rzuca nagle zdanie które wywołuje kategoryczny protest Pankiewicza: „C'est la peinture abstraite qui sauvera la peinture” („to malarstwo abstrakcyjne uratuje malarstwo”).

*) Mówię tu o kawiarnianych opiniach bez żadnej ironii. Dôme, czy Rotonda, czy Deux Magots, analogicznie z salo-nami XVIII wieku tworzyły opinię, odkrywały „geniuszów” szerzyły snobizmy i «obowiązujące» slogany wśród wieloty-sięczonej fali malarzy, dla których Francja była ojczyzną Cézanne'a, ojczyzną Poussin'a jak również Van Gogh'a i Pi-cassa. Kawiarnie te były jednocześnie terenem spotkań ludzi ze wszystkich stron świata, przybyłych tu w imię malarstwa, stwarzały ferment.

**) «To sentymentalny łobuz».

W płótnach Bonnard'a uderzają coraz bardziej wyszukane zestawienia barwne. Trzeci wymiar, coraz nieoczekiwany transponowany na kolor wyłącznie, wymaga wielkiego zżycia z płótnem, by być wyczuwalnym dla widza, materia przedmiotów nieraz się dematerializuje i ginie zupełnie w tej transpozycji.

Pierwsze wrażenie obrazów Bonnard'a to zachwyt zestawień barwnych, dopiero potem przychodzi zastanowienie: ta płaszczyzna niebieska czy to suknia kobiety? A może góra? Ta forma za obrusem białym w czerwone kratki — to ręka kobiety, czy może kot? Dopiero po dłuższym zżyciu się z płótnem wszystko w obrazie staje się jasne, czujne i mądre w kolorze i formie.

Kolor lokalny w ostatniej epoce Bonnard'a jest przesuwany, zmieniany, przenoszony na coraz to nowe zależne od tonacji całości, nieraz przeciwne sobie tony.

„Donnez-moi de la boue, j'en ferai un corps de Venus” — („dajcie mi błota zrobić z tego ciała Venus”) — miał powiedzieć Delacroix. Jakich brązów ciemnych, jakich tonów cytrynowych, fioletów i różów używa Bonnard dla swoich Venus w łazienkach!

Działanie barwne jest coraz bardziej dla Bonnard'a czymś równie konsekwentnym i niechybnym jak matematyka. *Świadomie* odwraca walory, *świadomie* gubi wszelkie poczucie materii, by odkryć jeszcze i jeszcze nowe kombinacje barwne. Chyba żaden malarz na świecie nie stworzył tej gamy fioletów, od fioletów prawie szafirowych do fioletów prawie rudych i czerwonych. Ale wbrew całej „abstrakcyjności” logiki gamy barwnej te kombinacje były zawsze zrosnięte z rozkoszą doznawania otaczającej go natury. Nigdy od tego doznania nie oderwane. Dlatego też obrazy jego nie dawały nigdy wrażenia zimnej, mózgowej tylko kombinacji (tak częściej u kubistów), a zawsze pełną emocję. Jak na człowieka genialnie wrażliwego, *wszystko* u Bonnard'a działa, oddalając go zupełnie od przyjętych klasycznych założeń kompozycyjnych. Błyskawiczne ruchy postaci urywki twarzy i ciała czy pejzażów, które nam daje rzucone spojrzenie z szybko jadącego auta czy pociągu, nieoczekiwane kompozycje, które się nagle układają z uciętych fragmentów twarzy na ekranie filmu: wszystko to służy kompozycji Bonnard'a tak, jak kiedyś odkrycie fotografii migawkowej służyło kompozycjom koni i wyścigów Degas'a.

Szedłem raz z Pankiewiczem na Boétie. U jednego z marchand'ów wisiło wielkie płótno Bonnard'a. Jednym z elementów kompozycyjnych była przecięta przez pół twarz i tułów, na tle otwartej framugi drzwi. Pankiewicz odwrócił się z niesmakiem gdy mu w zachwycie to płótno pokazałem, uważał prawie za zły dowcip to masakrowanie kształtów, to budowanie obrazu, gdzie strzęp człowieka stawał się kolorową arabeską w całości. Również znieść nie mógł zatracania materialności przedmiotów. Ale u Bonnard'a to było właśnie jego wizaż i jego najbardziej własną niespodzianką, która się w wielu wypadkach zresztą wiązała z poszukiwaniami Degas'a.

Bardzo jest charakterystyczne, jak Bonnard malował (broń Boże, nikomu bym tak malować nie radził). Z opowiadań wiem, że nigdy nie mył swojej palety, tak że robiła się ciężka i bardzo gruba od zaschniętych farb. Te wysychające, wypadkowo pomieszane, nieraz zmieniające kolor, właśnie pod wpływem wysychania, farby na palecie dawały mu coraz nowe pomysły kombinacji. Odkrywał jakąś nową mieszaninę, z największą ostrożnością nożem przenosił na płótno, i od tej nowej plamy nieraz prowadził nową, wywracającą uprzednią

chromatykę barw. Nie znosił czystych pędzli, których również nigdy nie mył, a kiedy kupował pędzle, tak go to drażniło, że moczył je w oleju, a potem tarzał w piasku. Opowiadano mi, że nie było zabawniejszego jak Bonnard przed każdą swoją wystawą. Nigdy nie uważał swych obrazów za skończone, przed samym vernissage'm przybiegał na wystawę i miał pełne kieszenie tubek z farbami. Wyciągał coraz to nowe tubki, wyciskał sobie trochę farby na palec i już palcem kładł ją na płótno. Płótna u niego w pracowni, nad którymi pracował, nie były nawet naciągnięte na blejtramy, ale nałożone na jednym wale. Wyciągał coraz to nowe z rozpoczętych wielu i przybijał pineskami do ściany rozbudowując je i wzbogacając.

Raz chciało go aresztować w Galerii Luksemburskiej. Dozorca zauważył z najwyższym zgorznięciem jakiegoś pana, chyba wariata, który wyciągał tajemniczo coraz inne tubki z kieszeni, podbiegał i odskakiwał do jednego z obrazów, coraz to coś palcem na nim smarując. To był sam Bonnard, który po dwudziestu latach robił korektę swego wiszącego w Galerii obrazu. Opowiadano mi również jak powstawały te serie płócien, kobiet w łazience. Żona Bonnard'a nigdy nie mogła mieć pewności, czy nie wleci do niej nagle i nie zrobi szkicu błyskawicznego na podstawie którego potem powstawały te najpiękniejsze płótna, nad którymi pracował latami.

Jeden z krytyków opowiadał, jak będąc u niego i patrząc na jeden z aktów Bonnard'a zasłonił ręką część obrazu.

„Ach, pan pewno zasłania to jedno biodro — powiada Bonnard — ja już dwa lata szukam właściwej barwy dla tego biodra!”

Nam, uczniom Pankiewicza przybyłym do Paryża, Bonnard dawał poczucie tego samego wyzwolenia, co kiedyś temuż Bonnardowi dał impresjonizm, wyzwolenia bezgranicznych możliwości twórczych dla malarza, ale możliwości płynących z poszukiwań barwnych i z bardzo czujnego zarazem obserwowania i przeżywania natury, i tutaj właśnie bliższy nam był Bonnard niż klasycyzująca faza malarstwa Pankiewicza, niż wzrastający pesymizm naszego Profesora, graniczący prawie z pesymizmem Chenavard'a. *) Ten ostatni widział w malarstwie ówczesnym tylko rozkład i cofanie się, pomimo wielkich talentów, które w XIX wieku, tak jak Pankiewicz w XX, szczerze uznawał.

Bonnard był dla nas obok Cezanne'a również punktem wyjścia przeciwko epigonom kubizmu, którzy już wówczas zasypywali wystawy schematycznymi mandolinami i wiecznie tymi samymi schematycznymi kształtami i zestawieniami paru barw ich zubożonej palety. „Des poux sur ma tête” — wszy na mojej głowie — mówił o nich ze złością Picasso. Właśnie świat Bonnard'a otwierał nam drogi, które wydawały się nam wielostronniejsze, bo wierny tradycji cezanne'owskiej którą byliśmy znaczeni wszyscy. Bonnard nie zubażał a wzbogacał formy i kolor i tworzył *trudną syntezę spadku impresjonistycznego z malarstwem abstrakcyjnym*.

Dzisiaj malarze nie wiedzą nawet jak w latach 1924-1928 było „źle widziane” w Paryżu studiowanie natury. Modern — młodzieńcy i panienki z Krakowa i Chicago po trzech miesiącach studiów w Akademii Loth'a znały już receptę półabstrakcyjnych „martwych” i już wystawiały swe płótna w Salonie Jesiennym!

*) Chenevard, Paul-Joseph, uczeń Ingres'a i przyjaciel Delacroix, ale także Corneliusa i Overbeck'a. (1808-1895).

Człowiek który wnikał w naturę, a nie robił schematów abstrakcyjnych, był uważany za reakcjonistę. Niedarmo krytyk Klingsor pisał: „W 1900 roku malowali wszyscy naturę, a w 1928 nikt natury nie maluje”.

Bonnard jak Anteusz *wracał zawsze do natury* i z niej czerpał bogactwo swych form i swej palety.

Zimą 1925 na 1926 byłem świadkiem krótkiej sceny, która świadczyła, jak lekceważące określenie krytyka „Bonnard'a na trycyklu” było wówczas nieodierwane, jak Picasso jeszcze wtedy *gasił* Bonnard'a.

Pierwszy raz spotkałem Bonnard'a przed balem KAP-istów, któryśmy zorganizowali w największej sali na lewym brzegu Sekwany. Pojechałem do niego sprzedać mu bilety. Stał przed oknem starszy pan w białym fartuchu i w drucianych binoklach i coś dłużał przy palecie. Moje pierwsze i prawie jedyne wrażenie, to była jego naturalność, młodzieńcza odruchowość, skromna, przyjazna uprzejmość. Nie tylko zaraz kupił bilety, ale przyszedł na nasz bal. Wiedział, że jesteśmy uczniami Pankiewicza i pewnie dla niego to zrobił. Ten cały bal zmontowaliśmy żeby zarobić pieniądze na pobyt w Paryżu naszej grupy. Żadnego dochodu nie przyniósł. (Pamiętam gwizdawkę za ostatnie 500 franków, które Jarema — dzisiejszy spiritus movens ART-CLUBU w Rzymie w ostatniej chwili nabył żeby ożywić bal, i płaczącą Hanke Rudzką — Cybisową, dziś profesora Akademii Krakowskiej, rachującą widelce i noże już o 12-ej dnia następnego, gdy nasze „bankructwo” nie ulegało wątpliwości). Wszystkie ściany były wymalowane przez Waliszewskiego, Jarema, Cybisa i innych. Potworowski wybudował statki, jakieś anioły z worków z piaskiem, któreśmy porozwieszali na suficie. Na ten bal zważyło się naprawdę pół Paryża. Malarze z Picassem, dobroczynne hrabiny z naszą Ambasadą na czele, i modelki prawie że w strojach Ewy.

Pamiętam Bonnard'a w dosyć wymiętym starym smokingu. Oglądał w jeszcze pół-pustych salach starymi nasze dekoracje i z dumą wspominam jak mówił: „Mais c'est très bien, c'est mieux que partout” (ależ to bardzo dobrze, to lepiej niż wszędzie). To zdanie było znakiem odruchowego zainteresowania, sympatii także dla młodych, bez śladu naburmuszenia i zarozumiałości. Wtedy właśnie miał on wystawę u Berheim'a. Zadziwiała śmiały, bogatymi zestawieniami barwnymi wielkich martwych natur, przypominam sobie jak przez mgłę pomarańcze i fioleły tej wystawy.

Na naszym balu właśnie, Picasso spotkał Bonnard'a i publicznie składał mu powinszowania: „to co pan zrobił, jest lepsze od wszystkiego, co pan zrobił dotychczas”. W tym powinszowaniu był wspaniałomyślny gest ówczesnego niekoronowanego króla malarstwa wobec malarza „na trycyklu”. I tak ten komplement został przez otaczających obu malarzy przyjaciół zrozumiany. Widzę jeszcze dzisiaj twarz Bonnard'a całą w zmarszczkach radosnego, prawie dziecinnego uśmiechu. Ten komplement był mu widocznie bardzo przyjemny. Stojąca obok przyjaciółka obu tych malarzy, Misia Godębska — Sert, powiedziała w chwilę potem: „jaki galgan ten Picasso, on nigdy nie powie komplementu żadnemu malarzowi, któryby nie był dwuznaczny”.

Może jedną z najbardziej charakterystycznych cech Bonnard'a była skromność, połączona z dziecinną świeżością reakcji.

Dopiero koło lat 1925-1930 rośnie w oczach wszystkich jego sława z roku na rok i w tym wzroście rozgłosu naokoło malarstwa Bonnard'a nie ma śladu kawałów, spryciarstwa, chwytów, których jest pełno na-

około famy otaczającej Picassa, a nawet Matisse'a. Jest coraz szersze promieniowanie skromnego, cichego życia człowieka oddanego malarstwu, tej nieustannej wewnętrznej radości życia, ośnienia naturą. Daje on nam cały świat niespodzianek kolorystycznych, gry tonów, rubinowych, perlowych, fioletów ametystowych, ostrych zieleni, czerni, cytrynowej żółci, szafirów i brązów.

Czy to statki w porcie Toulońskim, czy kobieta w łazience, kaloryfer przy oknie, stół zawalony papierami, albo kot siedzący obok stołu pokrytego serwetą, banany i jabłka czy kwiaty w pokoju, w którym siedzą lub tylko co wyszli domownicy — każdy z tych obrazów pozostawia we wspomnieniu gamę kolorystyczną, która pomimo bogactwa i wyrafinowania zostaje w pamięci przez lata.

„Il ne voyait dans l'art que problemes d'une certaine mathematique plus subtile que l'autre, que nul n'a su rendre explicite et dont fort peu de gens peuvent soupconner l'existence”. To zdanie Valery'ego o Degasie jeżeli wyrzucimy słowo „que” (tylko) może być przetrzone na Bonnard'a, ale była u niego ta „matematyka” głęboko *zczepiona* nie tylko z miłością życia ale z *ilustrowaniem* prawie codziennych przeżyć domowych skromnego życia, które opiewa artysta wśród powodzeń i niepowodzeń, a nawet wśród nieszcześć osobistych. (O ileż „martwe” Cezanne'a, jego pejzaże są abstrakcyjniejsze, mniej *ewokują*).

Żona Bonnard'a była przez długie lata ciężko chora. Miała przez lata ataki wariacji czy manii prześladowczej, nie dopuszczała prawie nikogo do siebie, zmuszała Bonnard'a do zerwania z wieloma przyjaciółmi, których nie chciała widzieć. Bonnard sam ją pielęgnował, nie odstępował w najgorszych okresach, nie dopuszczał by ją lekarze zabrali do kliniki, czy domu dla umysłowo chorych, a po jej śmierci nie pozwalał nigdy nikomu wchodzić do pokoju w którym umarła. W „Carrefour” ukazał się artykuł jednego z jego najstarszych przyjaciół, Thadée Natanson'a. Natanson opowiada o nim tak, jak tylko można mówić o gorąco kochanym przyjacielu. Wspomina i błogosławi jeszcze ostatnie lato, które z nim spędził na południu nad morzem i całą radość tych słonecznych dni, gdy patrzyli razem, siedząc w cieniu małej kawiarenki, na morze, na oświetlone ciała kąpiących się. Píše o niezmiernej wstydlivosti uczuć tego człowieka, który nienawdził, by mówiono o tym, co mu jest najdroższe. I to powodowało, że gdy widział obraz Vuillard'a, po jego śmierci, to się szybko odwracał, nie mógł znieść widoku, nie był w stanie mówić o malarstwie człowieka, który był jego kolegą i przyjacielem od zawsze. Tak samo po śmierci K.X. Rouselle'a, też jednego z najbliższych z tej świetnej plejady malarskiej, z której Bonnard został ostatni przy życiu, nie pozwolił, by mu nawet opowiedziano, w jakich warunkach umarł.

Śmierć samego Bonnard'a (miał 79 lat) była tak samo prosta jak jego życie. Umierał na starcze suchoty. W ostatnich dniach wiedział już że umiera, odmawiał jedzenia, odwracał się do ściany i mówił: „Laissez-moi, je ne serai bien que sous les choux”.

Jeżeli po Pankiewicz KAP-iści byli w latach trzydziestych głównymi propagatorami malarstwa Bonnard'a w Polsce, nie świadczy to wcale by łatwo asymilowali jego malarstwo na początku. W pierwszej chwili po przyjeździe do Paryża Bonnard i dla nas był gaszony po pierwsze przez Louvre, a także przez Picassa, Douanier'a, Utrilla i innych. Jeden z pierwszych zachwycał

się Bonnard'em Waliszewski. (Jan Cybis, entuzjastyczny i mądry wyznawca Bonnard'a w Polsce, był wobec niego przez dłuższy czas więcej niż oporny). Cały szereg płócien, pejzażów i martwych Waliszewskiego wiąże się blisko z Bonnard'em. Niemniej i Waliszewski nie miał wcale do niego stosunku równego. Chciałbym w związku z tym powtórzyć moją ostatnią rozmowę z Waliszewskim, na parę dni przed jego śmiercią.

Było to w Krakowie w roku 1936, w małej pracowni Waliszewskiego, z widokiem na Błonia. Nie widzieliśmy się dawno. Waliszewski nie wyjeżdżał tego lata z Krakowa, malował pejzaż z okna z różowymi chmurami i szaro-zieloną przestrzenią trawy. Miał już obie nogi od paru lat amputowane. Jakże brakło ruchu i ludzi, temu człowiekowi, który tylko przez oczy umiał wnikać w świat, znajdować pożywki dla swej sztuki.

Owego dnia, przy butelce białego wina (przyniosłem mu ją by przypomnieć nasze lata francuskie) mówił namiętnie, rzucając się na swym wózku, mówił tylko o malarstwie. Skarżył się na samotność, na to że nie ogląda prac kolegów. Cieszył się jak dziecko, bo w najbliższym numerze „Arkad” miał się dzięki Wandzie Filipowicz ukazać jego obraz w kolorowej po raz pierwszy reprodukcji. Zaręczał mi, że wszystko co dotychczas malował „nie liczy się”, że teraz zaczyna nowy rozdział. Może właśnie przez reakcję do Bonnard'a którego tak podziwiał, marzył mu się znów walorformy. Na stalugach stał zaczęty w ciemnych tonach portret dziewczynki, którego nigdy nie dokończył.

I nagle „rzucił się” na Bonnard'a. „Zastanów się nad Bonnardem — mówił mi wybuchowo — jest cudny, ale jego wpływ w Polsce jest szkodliwy, bo jest za wyrafinowany, za subtelny dla naszych malarzy, naśladują go, robią z niego „smaczki”, to nie dla nas”.

Nieraz w latach późniejszych myślałem o tym wybuchu antybonnardowskim Waliszewskiego, który nabrał specjalnej dla mnie wymowy dla tego właśnie, że to była ostatnia jego ze mną rozmowa. Jestem pewny dzisiaj, że nie miał racji, że jego słowa były wyrazem normalnego falowania wrażliwości artysty, który to odrzuca to przyciąga najpotrzebniejsze mu w danej chwili wartości.

Do 1939 roku Bonnard dał malarstwu polskiemu bardzo wiele. Wzbogacił, uświadomił nam cały świat problemów, pokazał nam ile można odkryć, patrząc bacznie na naturę i jakie bezgraniczne możliwości inwencji daje kolor. Jeżeli niejeden polski artysta się w tej problematyce gubił, reagował na Bonnard'a fałszywie czy powierzchownie, był to konieczny „produkt uboczny” tego wpływu. Jeżeli zaś zacytowałem tę rozmowę, jedną z niezliczonych rozmów o Bonnard'zie to dlatego, że ilustruje ona na przykładzie Waliszewskiego jakim punktem nentralgicznym malarstwa w Polsce był wówczas stosunek do Bonnard'a.

Zaledwie miesiąc temu widziałem wystawę UNESCO w Palais Chaillot w Paryżu. Jedną z sal była poświęcona nowoczesnemu malarstwu polskiemu. Bonnard jeszcze żył wówczas. Uderzyło mnie w tym pierwszym powojennym pokazie malarstwa polskiego za granicą jak bardzo wpływ Bonnard'a zaciążył na tej sali. Poza Kantorem, który wystawił ciekawe płótno postaci na brutalnym cytrynowym tle i wyraźnie nawiązywał do Picassa, prawie cała salka to był postimpresjonizm. Zielona plama wieży kościelnej w oknie pracowni krakowskiej na dźwięcznym płótnie Rudzkiej — Cybis-

wej może nie byłaby do pomyslenia, gdyby Rudzka nie chłonęła przez wiele lat nie tylko impresjonistów ale i Bonnard'a. „Martwa” Cybisa, chyba najwybitniejszego dziś malarza w Polsce (niebardzo szczęśliwie dobrana), miała również nie tylko Cezanne'owskie ale i Bonnardowskie w samej metodzie pracy pokrewieństwa. Prawie, od każdego płótna tej wystawy można było przeprowadzić do Bonnard'a odleglejszą czy bliższą ścieżkę filiacji.

Dlaczego patrząc na tę salę nie odczuwałem radości? Choć konstantowałem że poziom tych płócien w całości jest wyższy od poziomu płócien dwadzieścia lat temu przez Polskę przesyłanych za granicę, choć widziałem w tym rezultat naszych sprzed 1939 r. „krwawych bojów” o malarstwo, dorobek malarzy zgrupowanych dawniej koło „Głosu Płastyków”.

Odczuwałem *przepaść* między tym malarstwem natury, radości i czystych spekulacji barwnych, a naszą dzisiejszą rzeczywistością. Wszystko to dla mnie było przypomnieniem „raju utraconego” świata, który był światem naszych nadziei i naszej rzeczywistości malarzkiej przed katastrofą. Dzisiaj po tym wszystkim, cośmy przeżyli, wydało mi się to jakby zatykaniem uszu, zamykaniem oczu na rzeczywistość, jakimś „moja chata z kraju”.

Wiecznym tematem Bonnard'a była miłość i radość życia. W żyłach Bonnard'a płynęła krew człowieka, który należał do francuskiego XIX wieku, który wbrew wszystkim ciosom i nieszczęściom mógł kochać sztukę i żyć w świecie sztuki, mógł żyć otoczony całym światem drobnych radości, które stwarza życie względnie normalne bez żywiołowych katastrof. Myśmy w Polsce niepodległej walczyli o niepodległe malarstwo, nie wierzyliśmy w nadchodzące klęski, mordowanie, wywożenie milionów, totalizm — dalekie problemy prawie nie przenikały w nasz świat malarski. Wszyscy *zapłaciliśmy* za nasze oderwanie nagłym przebudzeniem. Nikogo z nas nie ominęły ciosy, nadzy wyszliśmy ze spalonego świata. Dziś najbardziej oderwani czy najbardziej oportunistyczni malarze nie mogą ukryć przed sobą, że żyją w kraju własnym okupowanym, lub że ich rozmiotło po krajach obcych.

Patrząc na obrazy wystawy UNESCO przypomniał mi się ustęp z dziennika Brzozowskiego.

„Nie wiem jak jest w malarstwie, muzyce, innych gałęziach twórczości — wiem, jak jest w literaturze — tych wszystkich formach, które tworzą w słowie. Tu zależność od epoki, związek z nią, są przerażająco subtelne, wnikają do najwęższych rozgałęzień, w sieci całkiem niedostrzegalnych żyłek i tkanek... Spróbujcie napisać komedię à la Ben Jonson, dramat à la Massinger, à la Racine, o ile jesteście głębokim i szczerym człowiekiem, nie zdołacie stworzyć nawet zadawalającego pozoru! Łatwą rzeczą byłoby życie, gdybyśmy mogli być tak Vogelfrei”.

Zamieńmy słowo „literatura” na słowo „malarstwo” zamieńmy „słowo” na „kolor”, ustęp ten tyczyć się będzie również dobrze malarstwa. Dotykam tu tematu najbardziej zawilego z zawilich, bo właśnie tych związków „przerażająco subtelnych” malarstwa ze swą epoką. Chcę być dobrze zrozumianym. Nawet przez myśl mi nie przechodzi „sztuka kierowana”, która zniszczyła całe malarstwo w Niemczech za czasów hitlerizmu i całe malarstwo w Rosji bolszewickiej. Sztuka nie może być kierowana, bo przestaje być sztuką, nie może być popędzana, nie tylko batem hitlerowskim, czy nabajką sowiecką, ale nawet zbyt apodyktycznym pouczeniem

krytyków. Jest to sprawa głębokiego instynktu samych artystów, ich *całkowitej wewnętrznej wolności*.

Czy kiedy się zmienia całkowicie rzeczywistość, czy nie oddziałują one wcale na widzenie? Czyż naprawdę malarz nie posiada tych związków z epoką „przerażająco subtelnych”? Czy jeżeli wówczas wizja człowieka nie przeżywa żadnych wstrząsów, jest dowodem, że właśnie ta wizja jest silniejsza ponad śmierć, czy może najprościej, że jest to już nie wizja, a powtarzanie czegoś, co już odeszło.

Może rzeczywistość ratunkiem człowieczeństwa jest wierność pewnej wizji wbrew rzeczywistości, żeby człowiek poraniony i skatowany miał ojczyznę, do którejby mógł wrócić, ojczyznę „czystych” radości nauki i sztuki. Jeżeli tak, to uczniowie Bonnard'a powinni jak on żyć w świecie swojej sztuki i wszystko przerabiać, każde przeżycie i każdy cios, tak, żeby odbiorcy tej sztuki mogli mieć tylko czysty miód radości. Ale może nie każdy jest w stanie być tak *wiernym* czy tak *obojętnym*. Może i wśród malarzy znajdzie się artysta, który i w swej sztuce wyjdzie poza ten „raj”, może znajdzie się i malarz, w którym ludzkość dzisiejsza znajdzie nie tylko pociechy, które są

„...dla prawd, czym w oknach story,
na których wstrzymują się promienie
wyświecając płótno malowane
z malachitowemi krajobrazy,
ze źródłami ametystowemi,
pasterkami owianemi w gazy,
z ziemią tą, co nie dotknęła ziemi!
One śnią, że szyba to posadzka!
One nucą, stąpaj bez poręczy
w objęcia fantazji, co się wdzięczy,
...cacka... cacka...!”

Czy Norwid był naprawdę „błędny i chory”, że napisał ten genialny wiersz pełen gorzkiej ironii, z którego wyjąłem te strofy i strofę następującą (która w wierszu poprzedza wyżej zacytowane):

„Myślałem ja, że wieszczów było tyle,
ile jest bliźn dotkliwych, a które
przez form czary, przez stosowną chwilę,
opatrują się i leczą w porę.
O, ja byłem błędny i sam chory”.

Piszę o tym pełen wątpliwości. Może i ja jestem „błędny i sam chory”. Przez lata w Polsce niepodległej walczyliśmy o prawo artystów, by żyli tylko dla sztuki, wychodząc z założenia, że nie można tworzyć wielkiej sztuki, robiąc z niej jak to chciał Matejko, służebnicę „rzeczy ważniejszych”. Ale co robić, kiedy tamte rzeczy, rzeczy ważniejsze w rozumieniu Matejki,

przesłaniają cały świat, dławiają do tego stopnia, że genialna martwa natura Bonnard'a dochodzi do nas jak wyraz „raju utraconego”, świata który, *minął*.

Kiedy wracałem z Rosji i Bliskiego Wschodu i pierwszy raz przyjechałem do Londynu, proszono mnie, bym wygłosił odczyt wśród kolegów malarzy z Polski, że-bym opowiedział o losach tych, co zostali w Rosji lub na Bliskim Wschodzie i o tym czy i w jakich warunkach moglibyśmy pracować. Wszystkiego, co opowiadałem o kolegach wywiezionych na Syberię czy do Kazachstanu, o naszych wystawach w Bagdadzie, w Jeruzolimie czy Kairze, słuchano z zainteresowaniem i przyjaźnią, ale kiedy zacząłem — głośno myśląc — mówić o strasznej przepaści, która dzieli naszą sztukę z dzisiejszą rzeczywistością Polaka, że wobec tej rzeczywistości znaleźli się już poeci, którzy dali wyraz temu, cośmy przeżyli, my malarze zaś nie znaleźliśmy dotychczas żadnej drogi, poprzez którą moglibyśmy również w swój świat sztuki *wchłonąć* te przeżycia, dać wyraz plastyczny — może najbardziej przetransponowany, ale przecież wyraz — przeżyciom naszym. Zauważyłem wówczas ironiczne uśmiechy i krytyczne spojrzenia. Kilka panienek wytownie uczesanych, malujących „martwe” na stypendia Ministerstwa Oświaty w Londynie, patrzyło na mnie z chłodnym zgorznięciem, jak na zdrającą sztuki „czyste”.

Jest niedobrze, kiedy sztuka osacza się w zbyt ciasnym kole, kiedy całe dziedziny życia odrzuca ze wzgardą, jak do niej nienależące.

Bonnard wyraził jak nikt świat przeżyć i olśnień *szczęśliwych*. Na tej drodze dalej niż ktokolwiek poszedł w odkryciach „matematyki barwnej”, tkwił korzeniami w szczęściu dla Francuzów drugiej połowie XIX wieku. Co mają robić dzisiaj malarze, którzy chcą być wierni pamięci Bonnard'a? Malować to co on i malować *jak* on?

W jednej ze swych kronik cytuje Proust pochwałę krytyka o jakimś współczesnym pisarzu: „On pisze również dobrze jak Voltaire”.

„Nie, na to, żeby pisać równie dobrze jak Voltaire, odpowiada Proust, trzeba by zacząć od tego, by pisać *inaczej*”.

Te uwagi w związku ze śmiercią największego malarza doby obecnej są jedynie postawieniem wobec malarzy malujących problem, którego artysta reagujący na ludzką rzeczywistość nie powinien zbyt łatwo i z lekceważeniem odrzucać.

Między światem Bonnard'a, który wzbogacił widzenie nasze i zaraził nas mądrą miłością życia i sztuki, między tym Bonnard'em a rzeczywistością dzisiejszą jest przepaść, której tylko strus może nie widzieć. Ta przepaść niejednego z polskich malarzy *rozdarła*.

P R Z Y J A Z D

Co mówisz? Że przegrałem? Ach, wiem o tym, wiem. Nigdy nie walczy się z myślą o zwycięstwie. Nie, nie. Daremna walka ileż jest piękniejsza. Wiem, że mnie w końcu rzucisz na kolana; Lecz nie dbam o to: waleczę! waleczę! waleczę!

Rostand: „Cyrano de Bergerac”.

1.

— Już czas — pomyślał młody człowiek i podawszy całe ciało do przodu ruchem tak niezgrabnym, że wyglądał bardziej na utratę równowagi niż na przemyślany akt — skoczył.

Odległość pokładu od ciemnej powierzchni wody wynosiła około szesnastu stóp. Obliczył więc, powodowany ciekawością i zamilowaniem do szczegółów, że skok zajmie mu półtora sekundy — ale trwał jakgdyby krócej. Jedyną rzeczą, o jakiej mógł pomyśleć przytomnie, kiedy z kolanami przyciśniętymi do brzucha leciał w dół było zdanie „już czas”, powtórzone dwukrotnie. Dopiero wówczas twarda powierzchnia wody uderzyła go najpierw w stopy, a potem — znacznie boleśniej — pomiędzy rozkraczone uda. O twarz zaczęło zawiniątko z nieprzemakalnym ubraniem, które przywiązał sobie sznurkiem dookoła szyi: usłyszał szum ciemnej wody kłębiącej się ponad uszami, łykał trochę gorzkiej piany, zmieszanej z krwią z wargi, rozciętej przez tłumoczek, wydało mu się, że tonie coraz głębiej i głębiej, wspomniawszy światło w

Arthur Koestler urodził się w Budapeszcie, a do szkół uczęszczał w Wiedniu. Jako młody, niepełnoletni jeszcze chłopiec pracował w Palestynie jako farmer i pomocnik architekta arabskiego, i wydawał w Kairze mały tygodnik — efemerydę. W wieku lat 21 został korespondentem niemieckiego koncernu prasowego Ullsteina w Paryżu i na Środkowym Wschodzie. Z ramienia tegoż koncernu brał udział w ekspedycji podległowej «Grafu Zeppelina» i był redaktorem naukowym kilku pism Ullsteina w Berlinie.

W r. 1931 Koestler wstąpił do Partii Komunistycznej, przemierzył wzdłuż i wszerz Azję Środkową i spędził rok w ZSSR.

W r. 1933 osiedlił się we Francji i napisał tam pierwszą swoją powieść. Uzyskała ona nagrodę na konkursie literackim w Szwajcarii, ale nie została nigdy ogłoszona, a jej rękopis zaginął w okresie klęski Francji. W roku 1936 pojechał do Hiszpanii jako korespondent «News Chronicle». Aresztowany przez faszystów i skazany na śmierć pod zarzutem szpiegostwa, spędził trzy miesiące w więzieniach Malagi i Sevilli.

okienku, które mijał spadając z pokładu i wypłynął wreszcie na powierzchnię, w odległości około trzech metrów od czarnego, nieruchomego kadłuba okrętu.

Niedaleko w przodzie łańcuch kotwicy wynurzał się z wody i wznosił się, naprężony i prawie pionowy, ku okrągłemu otworowi w ścianie okrętu, wysoko ponad jego głową. Podpłynął paroma ostrożnymi ruchami, uchwycił się linki i słuchał. Na okręcie panował spokój. Wybrzeże w zasięgu około ćwierci mili trwało również w ciszy, oświetlone rzędem latarni elektrycznych. Latarnie, naprzemian z palmami wytyczały prostą drogę o gładkiej, połyskującej nawierzchni, która biegła równoległe do plaży. Palmy były wysokie i wyglądały ze swoimi cienkimi, z lekka wygiętymi gałęziami, jak ogromne, piórzaste miotły, wetknięte w ziemię w równych od siebie odległościach. Po jednej stronie ulicy stał samochód o zaciemnionych światłach; od czasu do czasu mijały go łagodnie i bezgłośnie inne wozy o jaśniejących światłach czołowych. Jedynym przejawem miasta, położonego o parę mil dalej, był storczyk łuny, iskrzący się na niebie.

Trzymając się łańcucha, młody człowiek przesunął wolną ręką zawiniątko na plecy i rozejrzał się za wygodnym schronieniem na wybrzeżu. W małej zatoczce, w odległości paruset metrów, dostrzegł ciemne sylwetki kabin kąpielowych. Wypuścił łańcuch i powolnymi zamachami zaczął płynąć w kierunku brzegu kraju neutralnego. Działo się to o godzinie trzeciej nad ranem, w bezksiężycową noc, wiosną 1941 roku.

Brytyjskiemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych udało się wymienić go za więźnia Rządu Walencji.

Na 18 miesięcy przed zawarciem rosyjsko-niemieckiego paktu o nieagresji Koestler wystąpił z Partii Komunistycznej i rok 1938 zastał go znowu w Paryżu jako redaktora antyhitlerowskiego i antysowieckiego tygodnika. Po wybuchu wojny w r. 1939 został aresztowany i osadzony w słynnym obozie koncentracyjnym Le Vernet, z którego uwolniono go w r. 1940, znowu wskutek interwencji brytyjskich przyjaciół. Po skomplikowanej ucieczce dotarł w tymże roku do Anglii i został aresztowany w Pentonville za nielegalne przekroczenie granicy. W sześć tygodni po zwolnieniu wstąpił do Armii Brytyjskiej jako szeregowiec. Ma teraz lat 41 i mieszka w Północnej Walii.

Najgłośniejszą książką Koestlera jest «Darkness at Noon» — powieść o procesach moskiewskich. Fragment powyższy pochodzi z «Arrival and Departure» (1943). «Kru:jata bez Krzyża» (taki jest polski tytuł tej powieści) ukaże się niebawem w całości nakładem Instytutu Literackiego w Rzymie (przyp. tłumacza).

2.

W odległości trzydziestu metrów od brzegu nogi jego dotknęły dna. Stał więc; woda sięgała mu akurat do szyi. Obejrzał się i zobaczył nieruchomy okręt na tle gwiazd. Błotniste dno podniosło się nagle. Poruszał się ostrożnie pochylony, unikając najmniejszego plusku; po chwili musiał się już czolgać na rękach i kolanach. Potem zatrzymał się, nasłuchując.

Zatoka była cicha i bezлюдna. Kabin kąpielowe stały rzędem jak schrony betonowe i wyglądały dziwnie martwo. W pobliżu wody dzieci pobudowały skomplikowane zamki z piasku; fala podmyła je widać, bo przypominały teraz zamokłe kretowiska. W jednym z nich pozostała jeszcze mała flaga, wetknięta ukośnie, o drzewcach nie wiele grubszych od wykałaczki. Jednym dźwiękiem były tu westchnienia fal morskich, gdy wymiótszy przestrzeń pomiędzy suchym piaskiem i morzem odpływały z powrotem.

Ruszył więc w kierunku brzegu i choć w pobliżu nie było nikogo, kto by go mógł zobaczyć, wbiegł instynktownie skulony do najbliższej kabiny.

Była to zwykła, kwadratowa budka zbita z surowych desek, bez dachu, a czwartą ścianę tworzyła zasłona z jasnego perkaliku w czerwone i niebieskie paski. W ścianie naprzeciwko zasłony tkwiła deseczka, służąca jako ławka; z prawej strony półka z hakami, a po lewej lustro z wytłoczoną złotymi literami reklamą pasty do zębów. Piasek przesypywał się przez szczeliny w obudowaniu i czuć było zapach suchego drzewa i psujących się muszli. Młody człowiek zasunął zasłonę, zdjął zawiniątko z szyi i położył je na półce. Potem ściągnął mokrą koszulę, spodnie, kalesony i skarpetki i rozwiesił wszystko na gwoździach. Wydobył wreszcie z tobołka chusteczkę i wytarł się możliwie dokładnie. Noc była ciepła, a powietrze w kabine duszne od parowania włóknistych desek, które wyziewały teraz spiekotę całego dnia. Wyciągnął z tobołka zegarek i przyłożył go do ucha; tykał miarowo. Wyciągnął tabliczkę czekolady i suchara i schrupał je wolno, stojąc nago w wąskiej kabine i nadstawiając ciągle uszu na każdy podejrzany szmer z zewnątrz. Ale noc była cicha, bez najmniejszego nawet podmuchu wiatru. Namacał więc w zawiniątku zapalniczkę i nieco drżącą ręką zapalił papierosa.

Zaciągnawszy się głęboko dwa, trzy razy znowu wrócił do dzieła. Złożył marynarkę w kształt poduszki, ustawił równo obcasami obok siebie buty na podłodze, a pozostałe mienie: — portfel, scyzoryk i ołówek — rozmieścił na półce. Dopiero wtedy wypróbował ławkę; była zupełnie dobra, jeśli kładąc się na plecach podciągał wysoko kolana, jak w za krótkiej wannie. Obciągnął więc nieprzemakalne ubranie na całym ciele i dopełnił wieczornego rytuału dotykając palcem wskazują-

cym trzech odparzeń: na prawej pięcie, na udzie, i w załomie kolana — a wszystko to, żeby się uchronić od Złego Snu; potem skończył papierosa. Za każdym zaciągnięciem się ogieniek rozżarzał się na sekundę, a w lustrze pojawiała się jego zadymione odbicie z głębokimi cieniami w zapadlinach oczu.

Wyrzucił papierosa. Gwiazdy migotały nad nim jaśniej i żywiej niż kiedykolwiek. Leżał spokojnie na plecach i czuł jak rozluźniają mu się stopniowo mięśnie i ścięgna. Uszy nie łowiły już dźwięku zbliżających się kroków; myśl ukolysała się hipnotycznym rytmem nadchodzącej i odpływającej fali, tego powolnego bicia serca przestrzeni; zamknął oczy i poraz pierwszy od czasów dzieciństwa zapłakał. Poczul ciepłą wilgoć, ciekącą żłobkami wzdłuż nosa o złamanym siodełku i wsączającą się pomiędzy wargami i pniami wybitych zębów do jego storturowanych ust.

3.

Słońce nie weszło jeszcze nad daszkiem kabiny, gdy powietrze zaparowało ciepłem. Obudziły go dreszcze, a na całe ciało, obciążone impregnowanym ubraniem, wystąpił pot. Zły Sen nie wrócił, ale tuż przed obudzeniem przysniło mu się, że siedzi ciągle w ciemnym i dusznym ukryciu pod pokładem „Speran ty”, pomiędzy zwirami smolistych lin, spiętrzonymi skrzyniami ryżu i kawy i pakami suszonych rodzynek. Podpokładzie pachniało wszystkimi przyprawami sklepu kolonialnego, a jego wysokość była równie przytłaczająca jak ogrom katedry w chwili, gdy zakrystian gasi światła i zapiera wrota; przez piętnaście niczym nie różniących się nocy i dni kulił się na tych skrzyniach, wdychał ich zapach, wymiotował i wsłuchiwał się to w stukot maszyny, to w trzeszczenie i postękiwanie ładunku okrętowego; próbował także obliczyć położenie okrętu i czekał na chwilę, gdy staną maszyny, kotwica pójdzie w dół, a jego los zadecyduje się w ciągu paru krótkich chwil. A teraz było już po wszystkim. Skrawek nieba nad kabiną miał kolor tak płomienistego błękitu jakiego nie widział nigdy w życiu; i tym razem nie był to już sen.

Zeskoczył z ławki i zapominając o ostrożności, szarpnął zasłonę. Plaża jaśniała w słońcu, a rząd kabin z pasiastymi zasłonami wyglądał jaśkrawo i wesoło. Była godzina ósma i jak dotychczas nie było w nich jeszcze nikogo.

Zbiegł w dół plaży i pobroczził, rozbryzgując płytką wodę. Gdyby go zobaczyli jacyś ludzie, pomyśleliby tylko że jest wczesnym kąpielowiczem, jedyną bowiem rzeczą jaką się wyróżniał był brak kostiumu kąpielowego. Popłynął równoległe do brzegu, unikając kierunku, w którym „Speranza” zarzuciła kotwicę w oczekiwaniu na przypływ zabierający do portu — jedynego czarnego i wrogiego punkciku na całym tym promienistym tle.

Przewrócił się na wznak i zaplótłszy ręce pod szyją, dał się unosić morzu. Prąd obrócił go szybko nogami w kierunku słońca, tak że musiał przymknąć oczy; ale ostry blask rozjarzył jego powieki do przezroczystej różowości. Poczul, że nowa fala wzruszenia zbiera w nim jak ostatniej nocy. Wybucho jak łkanie w pobliżu przepony, rośnie, rośnie i podpływa aż do krtani; ale tym razem powstrzymał ją. Przekreślił się na brzuch koziołkując w wodzie i popłynął z powrotem.

Kiedy biegł po mokrym piasku, obok dziecinnych kretowisk dostrzegł w płytkiej kałuży, pozostawionej przez odpływ, miniaturową flagę, którą zauważył jeszcze wczoraj na jednym z walących się zamków. Podniósł ją i zorientował się od razu co to za flaga. Rozejrzał się pośpiesznie dokoła i umieściwszy cienkie drzewce pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym — tak jakby chodziło o jakiś rzadki i kruchy okaz chrząszcza — wbiegł do kabiny.

Ubranie na gwoździach było suche. Ubierając się spoglądał na flagę, którą wetknął za ramę lustra nad ogłoszeniem pasty do zębów. Tam skąd przyszedł, posiadanie takiej flagi oznaczało zdradę stanu i śmierć; tu dzieci zatykały ją na szczytach swych zamków. Mogłyby oczywiście uczynić tak z każdą inną flagą, ale było niemniej rzeczą fantastyczną mieć teraz właśnie tę flagę przed oczyma.

Bawiło go ubieranie się znowu jak kiedyś przed lustrem. Wydobył kołnierzyk z wewnętrznej kieszeni kurtki, i zawiązał starannie krawat. Ogółem biorąc nie wyglądał podejrzanie. Buty miał porządne, spodnie wprawdzie zmięte, ale dla tego gatunku cienkiej flaneli był to drobniak bez znaczenia — a na dnie „Speranzy” leżał przecież w kalesonach, ażeby ich nie powalać. Kurtka była znoszona, koszula wytarta pod pachami i raczej wyblakła, ale czysty kołnierzyk nadrabiał wszystko. Inna rzecz z twarzą; twarz była bardzo podejrzana i policjant, któryby ją zobaczył raz jeden tylko, znalazłby już jej rysopis na pamięć:

Kształt: długi, owalny.

Włosy: rude, twarde.

Czoło: wysokie, piegowate.

Oczy: duże, brązowe.

Nos: złamany mostek, poza tym normalny.

Usta: wyrazista górna warga zazwyczaj uniesiona, odsłonięte dziąsło i wystające zęby, dwóch brak na przodzie.

Wiek: dwadzieścia dwa lata.

Teraz był gotów do wyjścia. Wpakował wszystkie drobniaki do kieszeni zapalił papierosa i po chwili wahania, wetknął flagę do butonierki. Wyglądała zupełnie naturalnie. Jeżeli dzieciom pozwalano powiewać nią na szczytach zamków, to nie groziło to widać niczym. Był przecież w Neutralii, w kraju bez zaciemnienia.

Szeroka, bita droga do miasta prowadziła pomiędzy monotonnymi rzęдами palm i latarni. Pierwszym tubylcem, którego spojrzenie uchwycił, był stary czyściciel ulic, zasuszony zażytkiem z wieku panowania koni, skrętnie zmiatający łajno do swojego wiadra. Kiedy podszedł bliżej, poczuł nagłe ukłucie lęku, ale było już za późno, aby ukryć flagę. Gdy się prawie zrównali zamiatacz podniósł głowę, dostrzegł flagę, uśmiechnął się i dotknął czapki. Młody człowiek odwzajemnił ten uśmiech, odsłaniając w zakłopotaniu zęby. Stary przypuszczał najwidoczniej, że jest on upoważniony do noszenia tej flagi.

Ruch uliczny zagaścił się teraz; pojawiły się zaprzężone w muły wózki, którymi wieśniacy wjeżdżali do miasta owoce i egzotycznie wyglądające jarzyny; strumieniem popłynęły auta pomalowane jaskrawo na różowo, żółto i kremowo. Na zakręcie zobaczył nagle policjanta. Policjant w białym mundurze i w białym hełmie, z czarnymi wąsikami i w czarnych butach stał pod parasolem na drewnianym podwyższeniu i regulował ruch uliczny gestami mistrza baletowego; po środku ulicy kłęczał mały chłopiec i pucował zapalczywie jego buty. Młody człowiek minął go, uspokojony.

Dotarł do przedmieścia i szedł dalej krętymi, wąskimi uliczkami, pomiędzy straganami, obwieszonymi pomarańczami, bananami i winogronami. Schnąca bielizna zwisała z żelaznych poręczy balkonów i okien jak chorągwie w chińskim mieście. Upał, owoce i rozwieszona bielizna damska połączyły się, aby wywołać w nim proste i dawno oczekiwane uczucie tęsknoty. Odkrył w swoim kroku elastyczność, jakiej nie pamiętał od długiego już czasu. Odparzenia na nodze, choć wyleczone, wpłynęły w pewien sposób na jego chód; od lat chodził po ulicach ze swoimi bliźniami, jak z ukrytymi stygmatami. Teraz, mijając sklep krawiecki z lustrami w oknie odkrył utracony obraz siebie samego: chudy student sunie naprzód strusimi susami wyrośniętego i niezgrabnego korpusu, rzuca od czasu do czasu spojrzenia na przechodzące kobiety i opuszcza w popłochu oczy, gdy któraś przychwyci wreszcie jego wzrok. Parę kroków dalej znalazł kantor wymiany. Oszklone drzwi były otwarte. Przeszedł na drugą stronę ulicy i odczekał kilka minut, przyglądając się jakiemuś klientowi, który wymieniał właśnie zagraniczny banknot; widział, że nie zażądano od niego żadnych papierów ani paszportu. Uspokojony wszedł do kantoru i położył całą zawartość portfela na ladzie. Urzędnik o czarnych połyskujących włosach odliczył mu pewną ilość miejscowych, malowniczych banknotów. Były na nich galopujące konie i antycznie udrapowane dziewczęta o surowym wejrzeniu. Obliczył, że ta kwota wystarczy mu na dwa tygodnie; a w przeciągu dwóch tygodni przecież załatwi wszystkie swoje sprawy w Neutralii i

będzie już daleko stąd, za morzem, w porządnym mundurze i w zawadliwie przekrzywionej furazerce. Po skończonej tranzakcji urzędnik zaproponował mu bilety na loterię z jeszcze większą ilością koni i dziwnie ubranych dziewcząt. Wybrał niebieski z numerem kończącym się na siódmkę i pogonił na poszukiwanie śniadania. Dopiero potem miał zamiar iść do konsulatu.

Zbliżał się już do centrum miasta. Ulice zamieniły się w aleje, po obu stronach ciągnęły się rzędem znacznie okazalsze palmy, a białe, sześciennie bloki zabudowań odbijały rażące i ostre światło słońca. Sklepy nabrały cech prowincjonalnego zbytku i zawierały przede wszystkim jedwabne koszule męskie i słomkowe kapelusze. Cudaczne tramwaje, trąbiące jak samochody, z brzękiem sunęły na szynach odgiętych przez żar słońca, a zwinne pomalowane na kolor lodów taksówki przeskakiwały we wszystkich kierunkach przez szyny, więznąc w nich czasem oponami jak wózki na torze wyścigowym w Luna-Parku. Dobrnął do szerokiego, otwartego placu z fontanną po środku. Plac otoczony był kawiarniami, a na chodnikach tłoczyły się stoliki i fotele trzcinowe, chronione od słońca jasnymi daszkami z płótna żaglowego. Większość stolików zajmowali mężczyźni, śniadolicy mieszkańcy Neutralii w muszkach i z wywatowanymi ramionami, i popijali małymi łykami kawę z miniaturowych filiżaneczek; czasem zapalali papierosy woskowymi zapalkami, podobnymi do fajerwerków, albo wygrzewali się tylko na słońcu w rozkosznym odrętwieniu, jak wielkie jaszczurki przyczepione do skały. Część stolików obsiadły mieszane grupy mężczyzn i kobiet, najwidoczniej cudzoziemców, którzy zatrzymali się tu, uciekając z krajów ogarniętych wojną. Rozmawiali przyciszonymi głosami, a przez ich twarze przebiegało niekiedy nerwowe drganie, gdy skupiwszy głowy nad stolikami, tkwili tak niby kruki w czas burzy.

Młody człowiek ominął dwie kawiarnie i usiadł dopiero na tarasie trzeciej, gdzie stoliki miały niebieskie, błyszczące blaty a fotele wygodne obicia ze skóry. Gdy tylko usiadł jeden z małych oberwańców, od których roilo się między stolikami jak od karaluchów, zaczął czyścić jego buty. Spróbował cofnąć nogę, ale chłopiec uchwycił drugą i spokojnie wrócił do swego zajęcia; młody człowiek musiał wreszcie ustąpić kiedy, z głupim raczej uczuciem, zaczął tłumaczyć kelnerowi, że chce kawy z kremem, dwa jajka na miękko, szynkę, masło, miód i owoce. Kelner, starszy ugrzeczniony człowiek, który zwracał się doń po francusku, przejął się tak wagą zamówienia, że zapisał wszystko w małym notesie. Kiedy odszedł, młody człowiek cisnął czyścibutowi jakąś monetę, ale była ona widać zbyt wysoka, bo chłopiec złożył mu trzy uroczyście ukłony i uskoczył w bok, chichocząc.

Młody człowiek obrzucił potajemnym spojrze-

niem sąsiedni stolik, odległy zaledwie o parę kroków i zajęty przez cudzoziemców — szczupłego mężczyznę w średnim wieku, starszą kobietę o zmęczonym wyglądzie i młodą kobietę, lub też raczej dziewczynę o przenikliwym wzroku. Obserwowali jego ceregiele z kelnerem i pucybutem i starsza pani, prawdopodobnie Francuzka, rzuciła mu przyjazny uśmiech.

— Uciekł pan pewnie stamtąd? — Słowem „stamtąd” określało się najwidoczniej każdy kraj podbity przez wroga; obejmowało ono cały kontynent.

Przytaknął, odczuwając coś w rodzaju wdzięczności dla francuskiej guwernantki, którą rodzice utrzymywali dlań w dzieciństwie. Spojrzał na młodą panią czy raczej pannę, i doszedł do wniosku, że jest panną. Ssała oranżadę przez słomkę, wzrok utkwiał gdzieś ponad jego głową.

— Mieszka pani tu już od dawna? — odwzajemnił pytanie, zwracając się raczej do dziewczyny, która siedziała naprzeciwko niego. Podniosła oczy na chwilę, ale odpowiedziała starsza pani; z odpowiedzi wynikało, że obie, i ona i dziewczyna, której na imię było Odette, czekają od trzech miesięcy na wizy amerykańskie. Młody człowiek doszedł do wniosku, że ten szybki sposób zawierania znajomości nie jest w Neutralii czymś niezwykłym i że uciekinierzy żyją tu powiązani wspólnym losem — podróżników z jednego szlaku pustynnego, zbitych w gromadę wokół źródła w oazie.

— Był pan już w swoim konsulacie? — zapytał szczupły mężczyzna. Wyglądał na wyczerpanego i chorego, a w jego żółtych, wylupianych oczach zabłysła zazdrość, gdy spojrzał na flagę w butonierce młodego człowieka.

Młody człowiek poczuł się jak oszust.

— Jeszcze nie — powiedział. — Pójdę po śniadaniu.

Niech pan się nie śpieszy — powiedział chory człowiek. — Oni też się tam nie śpieszą.

— Krażą wieści, że potrzeba im lekarzy do waszej armii — wyjaśniła Francuzka — i dr Huxter zaofiarował swoje usługi, ale w waszym konsulacie ciągle mu odpowiadają, że jeszcze nie przyszła zgoda.

Nadejście kelnera, uroczyście niosącego tacę, uratowało młodego człowieka od odpowiedzi. Kiedy kelner ustawił na stole kawę i dzbanuski z mlekiem, jajka, szynkę, masło, miód i duży klosz z owocami, zapomniał prawie o głodzie w nagłym przypływie zakłopotania. Pozostali ludzie na tarasie siedzieli tylko nad małymi filiżankami czarnej kawy, albo nad szklankami z mrożonymi napojami; od wielu stolików popłynęły ku niemu ciekawe spojrzenia. Francuzka wróciła dyskretnie do rozmowy z dr Huxterem.

Młody człowiek zacisnął mocno zęby, pomyślał „czas na mnie”, nalał uważnymi ruchami kawy i mleka do filiżanki, wrzucił dwie kostki cukru, zamieszał i pociągnął pierwszy łyk. Gorący, słodki

napój spłynął jak objawienie po jego podniebieniu. Przez chwilę śledził rozchożdzenie się radosnego uczucia szczęścia po całym ciecie. „To dopiero rozkosz” — pomyślał — „a byłaby ona zupełna, gdybym mógł wyłopać wszystko sam, nie podpatrywany przez nikogo”. Włożył jedno jajko do kieliszka, szerokim końcem do góry i otworzył je ostrożnym cięciem noża. Potem wydrążył łyżeczką białko z odciętej łupiny, ułamał kawałek bułki, otarł nim żółtko ciekące z jajka posolił i połknął. Wreszcie posmarował masłem pół bułki, wygarnął łyżeczką trochę jajka, ugryzł bułkę, zapił kawą i dopiero wtedy, z wyraźnym wysiłkiem woli, podniósł oczy z nad talerza.

Nie omyliło go przeczucie: Odette przyglądała mu się cały czas. Przyłapaną na tym niespodzianie, nie odwróciła oczu, ale odpowiedziała uśmiechem przyzwolenia i jakgdyby współwiny. Polegało to na wysunięciu dolnej wargi do przodu, w lekko drwiącym grymasie. Jej wargi podobne były do warg nadaśanego chłopca, okrągłe suche, z drobnymi pęknięciami i nieuszminkowane. Oczy miała jasno szare, ale o przezroczyściej wprost światłości.

— Wygląda pan na zadowolonego z siebie — powiedziała. Głos jej był ochrypły i przypominał miękką materię o trochę szorstkiej powierzchni. Zaprzeczył i zaśmiał się. Ale gdy po chwili podniósł znowu oczy dostrzegł jej przenikliwe spojrzenie, wlepione nieprzytomnie w klosz z owocami. Przesunął trochę klosz, więc spojrzała znowu na niego.

— Ma pani ochotę na pomarańczę? — zapytał, a serce zabiło mu gwałtownie.

— Myślałam, że ma pan zamiar zjeść wszystko, nawet filiżanki i talerze — powiedziała.

— Mogę ocalić jedną dla pani — powiedział, wyjąwszy pomarańczę z klosza. Złożyła ręce na wysokości twarzy i rozchyliła je jak do gry w piłkę, a on szybkim ruchem cisnął jej pomarańczę przez dwa stoły. Schwyciła ją, odawszy wargi w ten sam ironiczny sposób. Starsza pani przerwała pogawędkę i odwróciła głowę. — Jesteś w świetnym humorze — zauważyła sucho.

Zjadł szynkę i rozsmarował trochę miodu na bułce z masłem, umyślnie czy też niechętnie pozwalając mu skapywać przez brzegi. Spoglądał teraz prawie bez przerwy na dziewczynę. Ramiona miała również chłopięce i wąskie; nosiła obcisły sweterek, który uwydatniał świetnie dwa pogórki jej piersi. Pomyślał, że nie nosi pewnie staniczka i wyobrazenie jej piersi, młodych, białych i jędrnych skojarzyło mu się ze smakiem jedzonego miodu. Obierała pomarańczę i jej spojrzenie stało się znowu nieobecne.

Skończył w milczeniu jedzenie. Poczł nagle nieprzepatą chęć pójścia do celu całej tej podróży, do Konsulatu, który na dnie „Speranzy” i wcześniej jeszcze urósł w jego myślach do rozmiarów jedynej obietnicy zbawienia. W ciągu najbliż-

szej godziny los jego się rozstrzygnie. Przywołał kelnera i zapłacił rachunek. Wynióst zdumiewająco mało. Na pewno starczy mu pieniędzy na dwa tygodnie; a potem już go tu nie będzie.

Odsuwając fotel spojrzał raz jeszcze na dziewczynę; ale nie zwracała na niego uwagi. — Wszystkiego dobrego — powiedziała Francuzka. — Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy — odpowiedział, zwracając się na pół do niej, a na pół do Odette. — Naturalnie — powiedziała starsza pani — w tym mieście spotykamy się wszyscy co najmniej raz dziennie. W którym hotelu pan mieszka?

— Mieszkam u przyjaciół — odpowiedział młody człowiek.

— U przyjaciół? Chciałbym poznać trochę tutejszych ludzi. Są mili i uprzejmi, ale żyją w innym świecie.

— Czy może mi pani powiedzieć gdzie jest Konsulat? — zapytał.

— Wasz Konsulat? Każdy to panu powie. Proszę iść wzdłuż Alei minąć Urząd Pocztowy, i skrócić w drugą ulicę na prawo; wąska, stroma uliczka, która prowadzi w dół i pachnie rybami. Zobaczy pan zresztą flagę.

Młody człowiek podziękował i torując sobie niezgrabnie drogę pomiędzy stolikami ruszył pośpiesznie przed siebie jakgdyby chciał teraz nadrobić stracony czas. Francuzka, Doktor i dziewczyna przyglądali mu się jeszcze przez chwilę; wysoki chłopiec, z rękami w kieszeniach, szedł naprzód wielkimi krokami, a jego rude włosy połyskiwały ostro w białym świetle placu.

5.

Pani Tellier, owa Francuzka, miała słusność mówiąc, że w tym mieście, gdzie wszyscy uciekinierzy chodzą do tych samych kawiarni, komitetów i konsulatów, lub na te same spacerki, ludzie nie mogą się nie spotykać. Nawet przechodząc przez plac i główną aleję młody człowiek został zauważony (choć sam nie dostrzegł ich w pośpiechu) przez kilka osób, które nie znając się zresztą wzajemnie, znalazły się kiedyś na drodze jego życia i wiedziały — lub w każdym razie sądziły że wiedzą — o nim wszystko.

Jedną z tych osób był mężczyzna w wieku lat około trzydziestu, niski i nieproporcjonalnie rozrośnięty w barach, który stał w ogonku przed Główną Poczta. Obok niego stała chuda, niechlujnie uczesana dziewczyna w okularach, o bezmyślnym wyrazie twarzy. Ogonek poruszał się w kierunku okienka w hali, gdzie wydawano listy post-restante.

— Zauważyłaś go? — zapytał niski mężczyzna.

— Zauważyłam kogo? — powiedziała kobieta.

— Piotra Sławka.

— Jest tutaj? — zapytała z ożywieniem kobieta.

— Przeszedł przed chwilą — powiedział niski mężczyzna. Mówił przez zaciśnięte wargi, spokojnym, bezbarwnym głosem, jaki w ludziach wyrabia tylko długie doświadczenie.

— Cieszę się, że nas nie dostrzegł — powiedziała kobieta. Ogonek poruszył się i musieli postąpić krok do przodu.

— Wiesz, nigdy go osobiście nie spotkałam — ciągnęła dalej. — Kiedy wstąpiłam do Partii, stał na czele bojówki uniwersyteckiej i został właśnie aresztowany. Był niesłychanie popularny.

Niski mężczyzna wzruszył ramionami. — Był odważny, ale nie umiał się nigdy dostosować do zmian w taktyce Ruchu. Dlatego właśnie musiał wystąpić z Partii.

Posunęli się znowu o krok dalej i kobieta powiedziała bojaźliwie:

— Nie łatwo jest zrozumieć, dlaczego po tylu nawoływaniach do krucjaty pozostaliśmy neutralni, a nawet zawarliśmy z nimi pakt.

Wargi niskiego mężczyzny drgnęły. — Czego nam potrzeba, to ludzi z zimnym, naukowym podejściem do rzeczy. Na wojnie można wspierać najpierw jedną, a potem drugą stronę — tak jak w grze na giełdzie.

— Przypominam sobie... — zaczęła kobieta.

— Bywają ludzie, którzy przypominają sobie pewne rzeczy w niewłaściwym momencie i w niewłaściwym kontekście — przerwał jej niski mężczyzna.

Posuwali się milcząc w ogonku. Kobieta trzymała w dłoni chusteczkę, zmiętą w kulkę. Była wilgotna, więc zaczęła przebierać nią nerwowo pomiędzy palcami; po chwili powiedziała:

— Wiedzieliśmy dokładnie o wszystkim, co oni z nim robili. Złamali mu nos, wybili zęby i gasili palące się cygara na ciebie — a jednak nie wysypał. Był bohaterem naszego pokolenia.

Doszli teraz do hali.

— Jeśli czego potrzeba rewolucji, to nie bohaterów, ale żelaznych urzędników państwowych — powiedział niski mężczyzna; głos jego przypominał zamykanie aktów i odkładanie ich do szafy, pomiędzy inne, przejrzone już akty.

Drugą osobą, która rozpoznała Piotra Sławka, była wysoka, dobrze zbudowana kobieta; siedziała z młodym blondynem w kawiarni po przeciwległej stronie placu. Miała na sobie suknię uszytą z białej wełny, która podkreślała jeszcze świetnie zachowaną młodzienczość jej figury: bujne, ale długie i kształtne uda, i obfity biust o masywnych, i jędrnych piersiach. Nie nosiła kapelusza; gładkie, zaczesane na tył głowy włosy odsłaniały tylko uszy, obwieszone parą ciężkich kolezyków. Jej twarz miała w sobie odrobinę lubieżności doświadczony kobiety w połączeniu z dziewczęcymi zupełnie rysami.

Była lekarką i nazywała się Sonia Bolgar. Śledziła z rozbawionym uśmiechem szybkie wyjście Piotra z kawiarni i odprowadziła go wzrokiem poprzez cały plac, aż zniknął za narożnikiem Urzędu Pocztowego.

— Któż to był? — zapytał młody blondyn, który powiódł oczyma w ślad za jej spojrzeniem. Siedział rozparty, z wyciągniętymi przed siebie nogami, ręce trzymał w kieszeniach i kołysał się na tylnych nogach fotelu.

— Neurotyczny przypadek — powiedziała kobieta w bieli. — Jego matka była moją przyjaciółką. Byłam pewna, że oni go zastrzelili.

— Co za „oni”?

— Wasi ludzie. Przywykliśmy wszyscy mówić o was jako o „nich”.

— Skąd on pochodzi?

— Z moich stron, to znaczy skądś pomiędzy Dunajem i Bałkanami.

— Czemu wobec tego nosi tę flagę w butonierce?

Dr Bolgar wyglądała na ubawioną. — Nosi flagę? To zupełnie w stylu małego Piotra.

Młody blondyn zamówił coś do picia. Był wysoki, dobrze ubrany, szczupły i miał smagłą twarz sportmena. Jego ruchy były szybkie i ostre; od czasu do czasu zanurzał długie i giętkie palce w czuprynie.

— Czy nie obawia się pani kompromitacji, siedząc ze mną w kawiarni, dr Bolgar? — zapytał. — Ostatecznie i ja jestem jednym z „nich”.

Zajrzała mu drwiąco w oczy. — Jestem zawsze uprzejma w stosunku do moich pacjentów, Bernardzie, i lubię gorszyć moich przyjaciół.

— Może opowie mi pani jeszcze coś o swoim małym rodaku?

— Niewiele jest do opowiedzenia. To typowy przypadek z podręcznika terapii. Kiedy miał pięć lat wydarzył się w rodzinie wypadek z jego wina; potraktowano go z wielką wyrozumiałością, ale chłopiec dostał szoku i odtąd wszystko co robi wywodzi się — choć sam oczywiście o tym nie wie — z tego faktu. Na Uniwersytecie wstąpił do rewolucyjnej organizacji studenckiej; był bity przez policję i wtrącany raz czy dwa razy do więzienia, ostatnio, kiedy nasz kraj został właśnie zajęty przez was. Chodziły słuchy, że go rozstrzelano — a teraz powraca oto z flagą w butonierce i świerzbi go aż widać chętką wpakowania się w nowy bigos.

Bernard zapalił papierosa.

— Szkoda — powiedział. — Wygląda na miłego chłopca. Powinien być z nami.

— Nie będzie nigdy — odparła kobieta w bieli. — Będzie zawsze po stronie pokonanych.

— Cóż za anachronizm — powiedział Bernard.

Kobieta wzruszyła ramionami. — Poza tym napisał jako student jeden czy dwa zupełnie niezłe wiersze — powiedziała. — Były drukowane w jakimś radykalnym piśmie.

— To uzupełnia obraz — dorzucił młody blondyn.

6.

Około południa Piotr przechadzał się znowu w Alei. Rozmowa w Konsulacie była skończona.

Wchodząc do bućynku, ozdobionego flagą i jakimś herbowym emblematem nad bramą, doświadczył sennego jakgdyby wrażenia, że wszystko to już się kiedyś działo. Wbiegł z tym mglistym uczuciem na schody, wytarł buty o słomankę i zadzwonił. Drzwi otworzył mu odzwierny z piersią pełną starych odznaczeń wojennych i skierował go do poczekalni, w której siedziały już dwie czy trzy osoby. Wypełnił formularz i po chwili gdy wywołano jego nazwisko wszedł do następnego pokoju, poprzeczelnego niskimi przepierzeniami z drzewa. Zbliżył się do jednego z nich i zobaczył bladą kobietę, która zdawała się cierpieć na ból głowy i przemówiła doń bebarwnym głosem. Powiedziała mu o ograniczeniach w podróżowaniu, o konieczności wyrobienia sobie paszportu, jakichs papierów z miejscowej policji, referencji z kraju przeznaczenia i zaświadczenia o źródłach utrzymania. Kiedy Piotr, sądząc, że to nieporozumienie, próbował jej wytłumaczyć, że nie jest turystą, ale chce wstąpić do wojska, powtórzyła z wyrazem uprzejmej cierpliwości, że musi sobie wyrobić paszport i czekać na rozwój wypadków; a gdy Piotr z rosnącym podnieceniem usiłował raz jeszcze wyjaśnić o co mu chodzi, jej bezrzesne oczy rzuciły mu spojrzenie w którym pojawił się nagle błysk utrapienia i dodała tylko, że nie ma czasu, ponieważ jej kraj prowadzi wojnę.

Piotr zamilkł na chwilę, po czym rozgorączkowany wybuchnął, że dokładnie z tego samego powodu przyszedł właśnie tutaj. Robił teraz wrażenie człowieka wyprowadzonego z równowagi, prawie krzyczał i wszystkie urzędniczki w całym pokoju uniosły głowy znad maszyn do pisania, przyglądając mu się bezmyślnie. Blada kobieta przygryzła wargi, wstała i bez słowa znikła za drzwiami. Piotr nie wiedział co się teraz stanie i nie dbał zresztą o to zbyt; ale po kilku minutach kobieta wróciła i nie patrząc nań, szarym głosem zaprosiła go do następnego pokoju, gdzie jakiś Mr. Wilson miał go przyjąć.

Mr. Wilson siedział za biurkiem, przed którym stał głęboki fotel skórzany dla gości. Był uprzejmy i robił wrażenie człowieka zmęczonego. — Proszę, niech pan usiądzie, Mr. Slavek — powiedział i nieoczekiwanie dla Piotra podał mu rękę o trzech cienkich, kościstych palcach, i czwartym, wysuszonym przez podagrę. Piotr zaczął mówić, że nie może przedłożyć paszportu i innych dokumentów, ale Mr. Wilson przerwał mu grzecznie:

— Wiem — powiedział z uśmiechem zmęczenia, i zatrzepotał w powietrzu krogulczą dłonią — te dziewczęta nie potrafią się pogodzić z myślą że prowadzimy wojnę.

Piotr milczał. Skórzany fotel był głęboki i wygodny. Wszystko zdawało się iść ku lepszemu.

— O ile wiem — powiedział Mr. Wilson — przyjechał pan wczoraj jako pasażer na gapę na pokładzie „Speranzy”, i przespał pan noc na plaży?

— Tak jest — odparł Piotr.

— I nie ma pan żadnych dokumentów?

— No — powiedział Piotr, szczerząc zęby w uprzejmym uśmiechu — mam zaświadczenie zwolnienia z kryminału.

Wyjął z kieszeni zmieszony dokument. Były na nim odciski palców, fotografia i jakieś niebieskie i czerwone pieczęcie. Mr. Wilson ujął go w dwa najsprawniejsze palce obu rąk, uniósł pod światło, porównał nagłym spojrzeniem z ukosa fotografię z oryginałem, i obracał papier na wszystkie strony, odczytując obce napisy na okrągłych pieczęciach.

— Mnie to wystarczy — powiedział wreszcie uśmiechając się lekko — ale czy wystarczy władzom mojego kraju, które rozpatrywać będą pańską prośbę, to już inna sprawa.

Zwrócił dokument i zaczął przechadzać się po pokoju, nie spuszczać oczu z Piotra. Piotr śledził go z głębi wygodnego fotelu. Po chwili Mr. Wilson usiadł z powrotem.

— Jak długo siedział pan w więzieniu? — zapytał.

— Razem około trzech lat.

— A ma pan dwadzieścia dwa lata?

— Tak.

— Czy nie chciałby pan, dla urozmaicenia prostu, tak jak inni młodzi ludzie, zająć jakoś przyjemnie swój czas? Czemu nie spróbuje pan dostać się do jakiegoś neutralnego kraju — do Ameryki na przykład?

— Pięknie — powiedział Piotr — ale mówiono mi, że wy prowadzicie wojnę.

Nastała nowa chwila milczenia. Po czym Mr. Wilson, zmęczony jakgdyby tą rozmową, powiedział oficjalnym tonem:

— Musimy zwrócić się do władz w kraju. Gdyby to zależało ode mnie mógłby pan jechać nawet i jutro, ale tak jak sprawy stoją w tej chwili... — zaczął grzebać w papierach.

— Jak długo potrwa, zanim otrzyma pan odpowiedź? — zapytał Piotr.

— Oh — powiedział Mr. Wilson — to zależy. Jeżeli nie dostaniemy decyzji w ciągu miesiąca powiedzmy, to proszę przyjść do mnie i poprobujemy monitować.

— Rozumiem — powiedział Piotr. Poczul nagłą chęć wyprostowania się, ale fotel był zbyt głęboki, więc zatonął znowu w jego miękkich czeluściach.

— Wszystko z powodu pańskiej narodowości — wyjaśnił Mr. Wilson. — Gdyby pan pochodził z kraju sprzymierzonego, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej.

— Dlaczego inaczej? — powiedział Piotr. — Mój rząd nie zasięgał u mnie opinii, gdy ustalał swoją politykę. Zresztą byłibyśmy i tak okupowani.

Ale wiedział już, że to jest daremne, i poczul nagle ogromne znużenie.

Mr. Wilson wzruszył bezradnie ramionami. — No dobrze, zrobię dla pana wszystko — obiecał, wstając zza biurka. — Dziś jeszcze pošlę raport. Niech pan przychodzi od czasu do czasu i dopytuje się w biurze informacji o swojej sprawie. A jeśli nie przyjdzie nic w ciągu miesiąca, proszę mnie znowu odwiedzić.

Wyciągnął trzy palce i Piotr wygramolił się z fotelu. Kiedy dotarł do drzwi, usłyszał dziwny dźwięk, coś pośredniego pomiędzy kaszlem i krztuszeniem się; odwrócił się i doszedł go głos Mr. Wilsona, grzebiącego się dalej w papierach:

— Ale wie pan, Mr. Slavek, na pana miejscu zastanowiłbym się raz jeszcze, czy nie wartoby ostatecznie wyrwać do tej Ameryki.

— Dziękuję panu — powiedział Piotr i wyszedł. Kiedy przechodził przez dużą salę, urzędniczki stuknęły na maszynach i ani jedna nie podniosła już głowy.

7.

Znalazłszy się znowu na rozjaśnionej ulicy, Piotr musiał przymrużyć aż oczy od nagłego zderzenia z ostrym blaskiem, bijącym od ścian i chodnika. Sięgnął do górnej kieszonki po papierosa i dotknął po drodze flagi w butonierce. Wyciągnął ją odruchowo, włożył do kieszeni i zaczął się wspinać po stronnej, wąskiej uliczce w kierunku głównej alei.

Było już południe i poczul nagle chęć wyciągnięcia się w ciemnym, chłodnym pokoju, przymknięcia oczu i spokojnego przemyślenia wszystkiego na nowo. Było to oczywiście niemożliwe. Nie mógł iść do hotelu, nie zarejestrowawszy się w policji, a nie mógł się zarejestrować w policji, skoro przyjechał tu nielegalnie. Dopiero teraz, wlokąc się w cieniu zakurzonych palm, zaczynał pojmować pełny sens tego wszystkiego, co mu powiedział Mr. Wilson.

Nagle przystanął. Z jednej z wystaw sklepowych wyzierał ku niemu zmienawidzony znak, przyklejony do górnej części szyby wystawowej. Na szkarłatnym tle widniało grube, czarne koło, a w nim krzyż z pająkowato zagiętymi ramionami. Tak, to ten. Już dawno go nie widział. Zaraz, jak dawno? Trzy tygodnie. A promieniował przecież ciągle tą samą irracjonalną zgrozą i urokiem.

Piotr stał bez ruchu przed wystawą. Należała ona do sklepu tytoniowego, w którym sprzedawano także gazety, bilety na loterię i materiały piśmienne, i który dla ubocznych widać dochodów odstąpił im okno wystawowe na propagandę. Od dołu ku górze ciągnęła się głęboka na trzy stopy, ma-

pa plastyczna kontynentu. Nad nią widniał napis: NOWA EUROPA — SZCZĘŚLIWA RODZINA NARODÓW. Płaskorzeźba wykonana była bardzo starannie i wyglądała zachęcająco. Długie, proste i lśniące autostrady wybiegały z północno-wschodniego węzła na wszystkie strony świata; maleńkie pociągi elektryczne z zapalonymi światełkami wyruszały się z tuneli a srebrzyste samoloty pasażerskie i lekkie stateczki zwiślały na gumowych linkach z nieba, lub spoczywały na ciemno-niebieskim szkliwie jezior. Ludność każdego kraju, jej produkcję, zbiory, bydło, węgiel, rudę, minerały, przemysł włókienniczy i drzewny, winnice i maszynictwo wyobrażały odpowiednie, miniaturowe figurki i znaki; prawa każdego kraju do kolonii, surowców i rynków zbytu oparte były na obfitym materiale statystycznym. A ponad tym całym nęcącym krajobrazem specjalnie skomponowany fotomontaż wyjaśniał, jakie było zło minionych, nieszczęśliwych dni: bezrobotny z wykrzywioną głodem i nienawiścią twarzą rozbijał szybę; kobiety i dzieci dusiły się pomiędzy żelaznymi barierami cel ochronnych; narody rolnicze wplątały się niepotrzebnie w współzawodnictwo przemysłowe, podczas gdy naród najbardziej uprzemysłowiony pozbawiony został naturalnych rynków zbytu; Wielki Kapitał i Rewolucja Światowa sprzymierzone z Przekłętą Rasą, która poruszała tylko sznurki za sceną, popychały narody przeciwko sobie i z szatańskim grymasem na twarzy ciągnęły ze wszystkiego zyski...

Ale nareszcie, jak to wykazywała następna tablica, ofiary przebudziły się, aby ujrzeć całą prawdę. Po raz pierwszy w historii narody europejskie zjednoczyły się pod surowym, ale sprawiedliwym przywództwem silniejszego. Osiemdziesiąt lat temu ta rasa panów żyła w stanie zupełnego upokorzenia, rozbrojona, bezsilna, skorumpowana; dzisiaj głupcy, którzy próbowali jej się oprzeć złamani zostali jak zapalka od ciosu żelaznej pięści. Statystyki, fotografie, maleńkie modele metalowe-wszystko to wykazywało niezwykłość jej wspaniałej armii na lądzie, morzu, pod wodą i w powietrzu. A nad całą wystawą, nad flagą która powiewając z obu stron, przydawała mu jakgdyby skrzydeł, górował portret Nadczołowieka, twórcy owych czarodziejskich dzieł i cudów; geniusz nowej Europy i dobroczyńca świata — o stalowych oczach, ujmująco uśmiechnięty, z czarnym poetycznym loczkiem, spadającym na blade czoło trzymał dziecko w ramionach...

Tłum stojący dokoła Piotra przyglądał się wystawie w milczeniu i z ironicznymi uśmieškami, które zamierały jednak stopniowo na wszystkich twarzach. Utorował sobie drogę wśród ludzi i podjął na nowo przzerwany spacer, powłócząc nogami pod szpalerem zakurzonych palm. Nareszcie znalazł jakiś cel: trzeba zobaczyć czy druga strona ma też swoją wystawę propagandową w miesiącu. Przypomnił sobie, że na szerokiej ulicy, któ-

ra przechodził dziś rano, pomiędzy jedwabnymi koszulami i słomkowymi kapelusami, zauważył za szybą wystawową ich flagę i portret ich króla. Jeżeli były tam jeszcze jakieś eksponaty, to nie przyciągnęły one w każdym razie jego uwagi; ale teraz postanowił odnaleźć wszystko.

Bez większych trudności znalazł ulicę, a na niej sklep, flagę i króla. Przed wystawą przystanęły oprócz niego zaledwie dwie osoby, przyglądając się oknu z wyrazem senności w oczach. Był to także sklep tytoniowy, ale tamten robił najwyraźniej lepszy interes. A może tutaj właściciel dostawał wyższe dzierżawne, albo wypożyczył wystawę bezinteresownie.

Na treść wystawy składały się głównie fotografie, powtykane w nacięcia na starym tekturowym tle, zupełnie jak portrety w albumie rodzinnym. Przedstawiały one starszawe już kobiety w fabryce, wyrzucające coś nieokreślonego z czarującym uśmiechem; królową - matkę, przyglądającą się ambulansowi; szereg okrętów wojennych, wyciętych jakgdyby z pism dla młodzieży; bratową króla, przyglądającą się kantynie polowej z herbatą i kanapkami; pilota w momencie dekoracji; rozkołysane w ramionach dziewczęta, defilujące przed jakimś dostojnikiem; wizytę członka rodziny królewskiej w dywizjonie lotniczym za morzem; członka gabinetu, wychodzącego z samolotu z bukietem kwiatów, wzniesionym do góry cylindrem i dwoma rozstawionymi palcami; żołnierza zatapiającego bagnet w worku z piaskiem i dziewczyne w spodniach, dojącą krowę. Pod fotografiami umieszczono cztery linijki z zeszlowiecznego poematu patriotycznego, wykaligrafowane gotykiem pismem i obramowane barwami narodowymi.

Podezas gdy Piotr przyglądał się oknu, zagadał do niego jakiś człowiek. Miał małe, podkręcone wąsiki i trzymał w ręku laskę. Był podniecony, mówił szybko i wyrzucał ciągle ręce gestem skargi, wskazując laską obrazki, to znowu bijąc się nią po głowie w przystępie jakiejś rozpacz. Piotr, który nie rozumiał słów, ale domyślał się sensu, uśmiechał się grzecznie i usprawiedliwiająco, tak jakby to on był odpowiedzialny za wystawę w oknie. Na koniec człowiek wzruszył ramionami tak, że dotknęły prawie uszu, westchnął, stuknął się dwoma palcami w czoło i odszedł, potrząsając ciągle głową.

Piotr podjął swoją wędrówkę ku głównej alei i ku jej palmom. Piekły go nogi: poprzez dziury w skarpetkach ocierały się coraz dotkliwiej o twardą skórę butów, i czuł że potworzyły się już na nich pęcherze. Bolesny, rozgrzeszający uśmiech nie schodził mu ciągle z ust: wyglądało to tak jakby zapomniał o nim przez zwykłe roztargnienie. Wlókł się zwirowaną ścieżką pośrodku alei. Przepoccona koszula przylepiła mu się do pleców, a pod pachami marynarki pojawiły się ciemne plamy. Nie było jeszcze pierwszej i miał przed sobą osiem do dziewięciu godzin czasu do zabicia, zanim będzie mógł wreszcie wrócić na plażę i ułożyć się na ławeczce

w cuchnącej kabinie. Próbował myśleć o jakimś planie akcji, ale nie był w stanie skoncentrować swych myśli; niebo robiło wrażenie kotła, a słońce uchylonego wieka, poprzez które płomienie prażyły coraz bardziej rozpalonym techniem.

Po drugiej stronie alei dostrzegł restaurację. W oknach wisiały muslinowe firanki i wyglądało na to, że w środku będzie ciemno i chłodno. Zamierzał właśnie przejść przez jezdnę, gdy nagle zderzył się nieomal z niskim mężczyzną z koleжки przed Pocztą.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. W kraju, od chwili wybuchu wojny spotykali się tylko na ulicy i udawali, że się nie znają. Ale teraz byli już obaj zwolnieni z obowiązku ostrożności. Młoda kobieta zrobiła krok w tył i wstrzymawszy oddech spoglądała na Piotra szeroko rozwartymi oczyma.

— A więc — powiedział Piotr z wymuszonym uśmiechem — spotykamy się znowu towarzyszu Tomasz.

— Widziałem was dziś rano — odpowiedział niski mężczyzna. Odzyskał teraz zimną krew i stał przed Piotrem mocno i pewnie na krótkich nogach, które wyrastały z chodnika jak dwa kominy. Nastąpiła chwila ciszy. Piotr poczuł nagle gorący, braterski przypływ wspomnień z okresu wspólnej walki w przeszłości. — Chodźmy coś zjeść razem — zaproponował nieśmiało.

— Spieszmy się do Konsulatu — powiedział towarzysz Tomasz.

— Do jakiego Konsulatu? — zapytał Piotr.

— Do Amerykańskiego — powiedział towarzysz Tomasz. Widać było, że zachował swój dawny talent tłumienia wszelkich braterskich uczuć.

— To wasza żona? — zapytał Piotr, spoglądając na kobietę, która stała na krawędzi trotuaru i miętosila chusteczkę w rękach. Uczyniła niezdecydowany ruch, jakgdyby się chciała przywitać, ale powstrzymała się zaraz, szarpiąc dalej nerwowo chusteczkę.

— Tak — powiedział towarzysz Tomasz.

Nastąpiła znowu chwila milczenia.

— Dziś rano mieliście flagę w butonierce — zauważył towarzysz Tomasz, a w kącikach jego ust pojawił się lekki uśmieszek.

Piotr zarumienił się. — Przypiąłem ją sobie na plażę — powiedział. — To wcale przyjemna chorągiewka, ot taka jak wszystkie inne flagi...

— Byliście zawsze romantykiem — powiedział towarzysz Tomasz. — No, ale musimy już iść.

Piotr śledził ich jeszcze przez chwilę. Kanciaste i wyprostowane plecy towarzysza Tomasza odciły się wyraźnie ponad dokładnymi ruchami jego krótkich nóg, a kobieta mówiąc coś gorączkowo zabiegała mu ciągle drogę i starała się dotrzymać mu kroku.

Piotr przeciął ulicę i wszedł do restauracji. W środku grała orkiestra, a na tle złożonych luster i palm w wielkich donicach stał cały zastęp kelnerów w białych kamizelkach. Zawahał się przez

chwilę; wyglądało na to, że będzie tu drogo. Ale było już teraz zapóźno; a zresztą mniejsza o to. Kelner zaprowadził go do małego stolika z wazonem kwiatów i białymi serwetkami, które sterczały z talerzy jak nastroszone kapelusiki pierrotów.

Był zdecydowany najeść się i nie myśleć co będzie potem. Ale muzyka i wino, — którego karafkę kelner przyniósł mu bez pytania — sprawiły, że poczuł się jeszcze samotniej niż przedtem; i im więcej pił, tym samotniej się czuł.

Jakiż to los! kazał mu zawsze wpadać pomiędzy dwa stolki? Flaga, którą sobie przypiął, przyniosła mu niewiele korzyści, a towarzysz Tomasz za to przestał być jego sojusznikiem. Naturalnie Ruch nie bez istotnych powodów zmienił nagle front, a jeśli jutro wytworzy się nowa sytuacja będzie miał równie istotne powody, aby go znowu zmienić; ale kryjąca się poza Ruchem idea, ta jedyna wielka wizja epoki, została oto zabita, zaduszona w pętlicy owych istotnych powodów; i nie ma jej czym zastąpić.

Orkiestra grała jakąś miejscową, łagodną melodię i kelner przyniósł mu wraz z mięsem jeszcze trochę wina. Wino było młode i kwaśne, nie takie jak to, które rosło w kamienistych winnicach jego kraju; usuwało ze smutku osobistą zadę i dodawało mu barwy i głębi. Może zresztą ta historia z wpadaniem pomiędzy dwa stolki nie była zupełnie bezsensowna. Czyja to wina, że wszystkie one mają połamane siedzenia i oparcia, jak stare fotele z licytacji? Siadasz pełen zaufania, i nagle trach, lecisz w dół, twoje ciało, twoja dusza i twoje złudzenia.

Wspomniał dni, spędzone na ciemnym dnie „Speranzy”. Przecież to zaledwie wczoraj skoczył z jej pokładu; ale gdy patrzył na nie teraz, jakież mu się wydawały szczęśliwe, jak głęboko wierzył, że wystarczy tylko przestąpić błogosławiony próg Konsulatu z cudacznym herbem, aby wszystko ułożyło się jak należy. Jakże często marzył o tej scenie, gdy leżał przycupnięty w ciemnościach na smolistych linach i żuł suchary i figi. Przyszedł

bić się za nich, zaopiekują się więc nim na pewno. Nie ma pan papierów, Mr. Slavek? To głupstwo. Mieszka pan w kabinie na plaży? Zaraz się panem zajmujemy. Zaprowadźcie tego młodzieńca do kwatery, zarezerwowanych dla cudzoziemskich ochotników. Przyszedł z daleka, skądś na Bałkanach, aby do nas dołączyć. Rozkaz. Tędy, towarzyszu. Zajmujemy się wami za chwilę. Przyjemnie jest spotykać takich jak wy morusów i widzieć jak potężne staje się nasze braterstwo, gdy wybuchnie we wszystkich krajach i wśród wszystkich narodów...

Kelner podsunął mu rachunek na małym talerzyku. Wynosił około połowy posiadanych przez niego pieniędzy. Gdyby mu chociaż pozwolili posiedzieć jeszcze trochę w tym chłodnym, przyjemnym pokoju, a może nawet położyć głowę na stole i usnąć. Ale muzyka już umilkła, wszystkie stoliki opustoszały, a kelner przybrał srogą minę, zwiastując zamknięcie lokalu.

W powietrzu był ciekły żar. W pustej i odróżającej teraz alei tylko palmy strzegły świętej godziny siesty poobiedniej. Przeciskać się przez bulgocące gardziele ulic o tej porze dnia, znaczyło bez mała gwałcić sekretne tabu miasta. Ciężka mu głowa i szyja zdawała się być za cienka aby ją udźwignąć. Była godzina trzecia; dopiero za sześć godzin będzie mógł wślizgnąć się do kabiny.

Po dziesięciu minutach spaceru, na marynarce jego pojawiły się znowu plamy pod pachami. Obliznął, że jeśli będzie oszczędny, to starczy mu jeszcze pieniędzy na tydzień lub dziesięć dni. Głowa kołysała mu się na szyi jak masywny globus na drażku. Na prawej nodze, w pobliżu blizny po oparzeniu otworzył się jeden z pęcherzy, więc zaczął kuleć, nie zauważywszy nawet tego.

Jeżeli nie będzie dla pana żadnych wiadomości w ciągu miesiąca, powiedział Mr. Wilson, to proszę do mnie przyjść i pogadamy znowu.

Z upoważnienia autora przetłumaczył z angielskiego

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

W I N N E C Z A S Y

I.

Dzieje Marii, zanim doszła do trzydziestego ósmego roku życia, były wypadkową warunków, w jakich się wychowała, kształciła, pracowała zarobkowo i wyszła za mąż. Pochodziła ze środowiska inteligentnego, którego szablonowość ujawnia się jednak w licznych wariantach. Maria, mimo bierności usposobienia, miała więc świadomość wolnego wyboru i niezależnej decyzji w sprawach swojego życia. W momentach nasilenia aktywności, bierny opór jakby nabierał cech walki. Późniejsze wypadki skłaniały jednak Marię do wniosku, że do właściwej walki nie była przygotowana ani duchowo ani fizycznie. Obwiniła o to przede wszystkim rodziców.

Ojciec Marii, Kamil Rudański, rozpoczynając swoją karierę urzędniczą w lwowskim Namiestnictwie, zachował już na zawsze poczucie wyższości wobec młodych poczynań biurokratycznych Polski Odrodzonej. Jego skłonność do ulepszeń, o ile nie urażała ambicji, nużyła szefów. Zaczem Rudański rekompensował swoje niepowodzenia, umieszczając rozprawki w pismach prawniczych i artykuły w dziennikach, aby przemycać w nich gorycz i krytykę. Ani pisarstwo, ani uregulowane pobory urzędnicze nie potrafiły jednak zaspokoić jego uczuć pełnych pogardy i czarnowidztwa.

Natomiast matka Marii, pani Aniela, dezorganizowała swoje życie niezgasłymi pretensjami artystycznymi. Były wielorakie i urzeczywistniały się w powrotnych fazach: śpiew, fortepian, malarstwo, rzeźba, poezja. W okresie nieletniości dzieci — Karola i Marii — pani Rudańska wypróbowała na nich niemal wszystkie systemy wychowawcze, głoszone tak obficie w „stuleciu dziecka”.

Z czasem niezadowolenie i rozczarowanie stało się ostatecznym osiągnięciem obojga Rudańskich. Przekonali się wreszcie, że ich namiętne pragnienia nie spełnią się już nigdy. Doznali też zawodu na dzieciach, których przeciętność nie dawała nawet zastępczego zadośćuczynienia. Podejrzewali zresztą, że Maria i o dwa lata starszy od niej Karol skrycie niecierpliwia się do własnego życia. To też kolejne odejście z domu syna i córki odbyło się burzliwie. Pani Aniela mówiła, że — „dramatycznie”.

Karol, ukończywszy studia prawnicze, ożenił się z baletniczką, śliczną Cesią Murkówną, która

od razu przeobraziła się w wzorową żonę i rodziła okazowe dzieci. Ale starzy Rudańscy nigdy nie mogli zapomnieć tamtej sceny i tamtych słów syna, kiedy w gniewie i w kłótni, nie otrzymawszy aprobaty rodziców, „zatrzasnął za sobą drzwi”. Uraz pozostał, aby co ranka w sypialni Rudańskich być tematem gorzkich rozmów. Mieszkali już wtedy we własnym domku w Boernerowie pod Warszawą, zdawało się nieco uspokojeni za sprawą sosnowego lasku, grządek kwiatów i głośno szczekającego psa. Budzili się wcześniej, zwłaszcza w ciepłych porach roku i otwierając okno, nasłuchiwali śpiewu ptaków. Ten śpiew i barwa ranka wygładzały ich pomarszczone policzki wewnętrznym uśmiechem. Szybko jednak podpyływała do ich serc złość tak jadowita, że tylko urywane słowa mogły ją wyrazić. Były to już niemal szyfry, którymi porozumiewali się od lat. Zdania potoczyste i dla każdego zrozumiałe dotyczyły jedynie najbardziej pospolitej i najbardziej bezinteresownej miłości do wnucząt. Dziadek kochał je dziecinnie, babka nie obarczała ich winą rodziców.

Maria, licząc dwadzieścia dziewięć lat, mieszkała jeszcze ciągle u rodziców i była świadkiem tej bezustannie nurtującej ich złości na syna i synową. Uległszy tak samo urokowi przyrody w Boernerowie, Maria dopiero tu umiała dostrzec, że złość rodziców nie jest niczym innym tylko cierpieniem tych dwojga ludzi starych i upartych. Mimo to, nie była skłonna do wyrozumiałości. Nie kochając brata, toczyła o niego walkę z rodzicami. Weszły już w zwyczaj ironiczne docinki stopniujące się aż do wybuchów, które z zacieklnością określały wzajemne zarzuty. Nawet to, że Maria wreszcie wybrała zawód i że otrzymywała niezłą płacę jako buchalterka w sklepie z artykułami zdobniczymi, nie zapobiegło sceptycyzmowi rodziców: — Zobaczymy, jak długo w tym wytrzymasz! — Zaraz też następowało wyliczanie dotychczasowych nieosiągnięć Marii. Próbowwała przecieć dziennikarstwa, malowała na szkle, nawet śpiewu się uczyła, tak, nawet śpiewu! W piersiach ojca bulgotał śmiech, więc matka, aby zapobiec temu, co i jej śpiewaczom zamiłowaniom w tej chwili zagrażało, dodawała praktycznie: — Maria mogła przecieć pójść na medycynę po maturze! — Maria, broniąc się, obciążała rodziców, po których odziedziczyła przecieć te wszystkie „półtalenty” i urojone ambicje. Ale nareszcie przeciętyła to w sobie. Przeciętność — tyle tylko i nie więcej!

Mimo jednak tych chronicznych sporów i nawet mimo niewygody jeżdżenia z Boernerowa do

Warszawy, Maria trwała przy rodzicach. Dopiero, gdy poznała Adama Łuzińskiego i niespodzianie dla siebie samej tak szybko zgodziła się zostać jego żoną, nastąpiło już nie tylko odejście z domu, ale zupełne zerwanie z rodzicami. Powtórzyła się sprawa Karola, choć z innych pobudek rodzice sprzeciwili się zamążpójściu córki. Adam nie podobał się zwłaszcza ojcu. Był, zdaniem Rudańskiego, za piękny i za młody dla Marii. Ale i to źle usposobiło ojca, że Adam rozpoczął swoją karierę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych nie tak, jak kiedyś Rudański w galicyjskim Namiestnictwie, bo od razu od wysokiego stopnia. Maria nie podejmowała wątku zawiści, usiłując łagodzić sprzeciw argumentami uczuciowymi. Wreszcie i to było powiedziane: że Adamowi nie zależy na bogatym ożenku. Dwoje starych pyszałków miało w tej sprawie inne zdanie: — Czyż nie żeni się z Marią dlatego, żeby odziedziczyć kiedyś domek w Boernerowie? Domek z ogrodem i laskiem, niemal „posiadłość”, której dorobili się dziesięć lat palcami. — Na dobrą sprawę było tych palców aż dwadzieścia, gdy tak rozczapierzali obie pary rąk, zaciętrzewieni i w niezłym nieustępliwi.

W toku tych kłótni pojawiała się coraz inna tematyka. Stary liberał i demokrat Rudański sięgnął nawet do jakichś zatajonych zakamarków swojej istoty, aby wywyżżyć się nad „ród” Łuzińskich. Z tych samych stron przecieć byli Rudańscy i Łuzińscy, z tego samego galicyjskiego zakątka, z Wołynia, jak się to dziś mówi, znad Styru. Wnet jednak porzucił te śmieszne wywody, aby posłużyć się argumentem ostatecznym: Oto Adam, taki jaki jest, porzuci Marię, starą przecieć i nieładną. Ale Maria powiedziała z przekorą: — Adam mnie kocha, mimo, że jestem stara i brzydka. — Mówiąc to, była jednak pełna lęku, bo czym, doprawdy czym może waleczyć o Adama, dziś i kiedyś później, gdy przyjdzie ta zła chwila, którą przepowiada ojciec? Nie miała przecieć zaufania nawet do swojej miłości, w której nie było ani temperamentu, ani wyobraźni. — Adam mnie kocha — powtórzyła, aby i siebie w tym upewnić. Nie chciała widzieć, że ojciec strząsnął palcem lży z oczu. Nie chciała słuchać, kiedy bełkotał te słowa, nigdy dotąd nie powiedziane: — To ja ciebie kocham, ja się o ciebie martwię, że nie dobrze ci będzie z tym człowiekiem...

Było jednak dobrze i Maria czuła się ładna, młoda, elegancka w blasku miłości Adama. Uwielbienie Adama sugerowało znajomych i przyjaciół, więc Maria z podczaniem uwierzyła, że tak jest naprawdę. Nie była bowiem oszołomiona ani powodzeniem ani miłością. Swoje i męża sprawy „wnosiła” trzeźwo i dokładnie, jak pozycje do buchalteryjnej książki. Dla siebie i dla niego notowała te nadwyżki, które może były szczęściem. Jak skąpiec nie wiedziała, co zrobić z tymi nadwyżkami, które już niczego nie przydadzą jej życiu.

Kiedy Maria zaszła w ciążę, typowe dolegli-

wości sprawiły, że stała się skłonna do pewnych korektur, a nawet przewartościowań. Dlatego też nad podziw łatwo pojednała się z rodzicami. Adam natomiast okazał się oporny. Chętnie się: — Bo ja mam charakter, bo ja nigdy nie zapominam wyrządzonej mi krzywdy! — Maria patrzyła na męża, niemal przerażona swoim nagłym rozpoznaniem. Poza urodą, którą zresztą specjała uboga mimika, Adam był przecieć duchowym prymitywem. Był także trochę spryciarzem i mądrą, choć nie w tym stopniu, jak sądził ojciec Marii. Adam po prostu wiedział, co i kiedy trzeba zrobić lub powiedzieć, komu spojrzeć wprost w oczy, do kogo tylko profilem się zwrócić. Niezbyt wysoki i niezbyt rozrosły, mógł dostosować swoją postać do ludzi pomiernego wzrostu, a jego gładkie rysy i koloryt szatyna nie drażniły nawet nieprzychylnych oczu.

Patrząc teraz na Adama, Maria sprawdzała te bezsporne zalety, ale po blisko rocznym pożyciu z nim, jakby dopiero pojęła, że nie mogli się porozumieć w wielu sprawach. Leżały więc odłogiem niedokończone dyskusje, aż z czasem wszystko, co interesowało lub podniecało Marię, przyjęło ubogą formę zgodliwości. Podejmując teraz na nowo drażniące tematy, zrobiła jeszcze jedno odkrycie — że Adam jest popędliwy, łatwo wpaść w gniew, zwłaszcza, kiedy ponosi porażkę w dyskusji. niesprawiedliwa w tym czasie, Maria doszła do przekonania, że Adam stracił nawet te zalety, dla których go kochała.

Ale i Adamowi „spadły łuski z oczu”. Dostrzegł zbrzydnięcie żony i złośliwie mówił jej o tym: — Masz siwe włosy na skroniach, będą cię brali za babkę twojego dziecka. — Innym razem, nie zdoławszy w jakiejś dyskusji przekonać Marii, wpadł w gniew: — Jesteś zarozumiała i masz nieznośne usposobienie! — Mówili sobie cierpkie prawdy przez cały ten czas, kiedy w Marii rozwijało się życie ich dziecka. Po jego przyjsciu na świat, znowu wszystko ułożyło się znośnie, dostosowane raczej do małego Zdzisia, niż do ich duchowej i cielesnej wzajemności.

Lata, które miały, mogłyby znużyć jednostajnością, gdyby nie wydarzenia, które mimo swojej pospolitości, są jednak ciosami. Śmierć rodziców, choroby, kradzieże, straty majątkowe, niepowodzenia służbowe, nieprzyjemne intrzygi — podniszczyły nieco urodę Adama i postarzyły Marię. Była już prawie siwa, kiedy nastąpił nowy cios: przeniesienie Adama na prowincję. Zamianowany starostą w małej mieścinie w Lubelskim, wyjechał z Warszawy, głośno zlorzecząc. Maria z synkiem została, bo tak „sobie życzył” Adam, licząc jeszcze na możliwość odrobienia tej całej „afery”. Liczył oczywiście na Marię, która miała być jego ambasadorem w sferach towarzysko przyjaźnionych z Łuzińskimi, a posiadającymi wpływ. Okazało się jednak wprędce, jak powierzchowne były te wszystkie stosunki. Związki

porwały się łatwo i gładko. Maria pisała do męża: — Nie dostrzegają mnie. Jestem, jak powie- trze, przez które przepływają ich spojrzenia. — Ale Adam upierał się, żeby Maria trwała na po- sterunku. — Zupełne zlikwidowanie stosunków z tymi ludźmi w Warszawie, to zapadnięcie wieka na trumnę. — Tak to właśnie określał, skłonny teraz do upadania na duchu. Maria pisywała jed- nak coraz krótsze relacje o swoich zabiegach i o „stanie sprawy”.

Do tych listów o treści doprawdy nikłej, dopi- sywał się Zdzisł kulfonami, obojętny na dorosłe zmartwienia. Chodził już do szkoły, do powszech- nej, przyjaźnił się z chłopczyskami, bawiąc się z nimi na jeźdni albo na podwórzach. Matka nie stawiała mu w tym przeszkód. Tyle już zdążył za- uważyć, że matka zmieniła się. Trudno jednak by- łoby wymagać od sześciolatniego chłopca, żeby zaj- mował się duchowymi przeobrażeniami matki. Miał dość dużo swoich własnych zagadnień, nie mniej ważnych od tych, które zaprzatają doro- słych. Miał natomiast mniej doświadczeń niż do- rośli i zdobywał je wśród kłesk i zwycięstw. Za to Maria od razu nabyła całą wiedzę o swobodzie.

Ograniczenia materialne spowodowane prowa- dzeniem dwóch domów, nie sprawiły Marii przy- krości. Zanedbana przez dawne towarzystwo, nie potrzebna nawet na „czwartą do bridża”, zdoby- wała dopiero teraz bezinteresownych przyjaciół i doznawała tych uczuć dla ludzi poznawanych przy- godnie, albo odszukanych z tamtych lat, sprzed mieszkanie. Było tak samo, jak mieszkanie Mo- stowa, którą znała jeszcze z kursów buchalteryj- nych. Mąż Zofii był nauczycielem w szkole pow- szechnej, do której chodził Zdzisł. Obcowanie z Mo- stami było niekrępujące, ponieważ Maria nie mia- ła potrzeby wysilać się na „stopę życiową”. Ode- sławszy część mebli mężowi, aby się tam — jak pisał — jakoś po ludzku urządził, wynajęła w po- bliżu Mostów na Wspólnej małe, dwupokojowe mieszkanie. Było atk samo, jak mieszkanie Mo- stów, bez komfortu. Wchodziło się z klatki scho- dowej wprost do kuchni, w której za przepierze- niem była tak zwana łazienka. Maria przeprowa- dziła się ze swojego pięknego „apartamentu” na Polnej, nie porozumiewając się nawet z Adamem. Tak sobie poczynając, jak gdyby Adam wcale nie istniał, myślała złośliwie: — Jak tu przyjedzie i zobaczy to moje mieszkanecko, chyba rozwiedzie się ze mną!

Na razie jednak Adam ciągle odkładał przy- jazd, chcąc uchwycić grunt w nowym miejscu. Gdzieś tam komuś składał wizyty, jeździł na polo- wania, kaptował sobie ludność, niemal już pogo- dzony z losem. Więcej kłopotów niż Adam przy- sparał Marii syn. Któregoś dnia dostrzegła, że Zdzisł zdziczał. Ale Maria nie potrafiła odrobić swoich zaniedbań ani przesadną czułością, ani wy- buchami gniewu. W końcu, wspomniawszy syste- my matki, które na nic się nie przydały, zostawiła

wychowanie syna swojemu biegowi. Postanowiła raczej zająć się sobą, aby dorównać Mostom. Czy- tała więc książki, które chwalili, chodziła z nimi na odczyty, albo na sztuki wystawiane „u Jara- cza”. Józef Most nazywał siebie społecznikiem i nie śpiesząc się, nie nalegając, wprowadzał Marię w swój świat. Nie były to pojęcia zupełnie obce dla Marii. Odzywały się przecież niekiedy w tych niedokończonych dyskusjach z Adamem. Spotyka- ła się też z nimi w domu, choć miały tam tylko go- losłowne znaczenie.

Rozmowy z Mostem zrazu wyznaczały Marii po- zycję przeciwnika. Obciążona światopoglądem A- dama, upierała się teraz przy tym, co przecież kie- dyś zwalczała. Most, posługując się już gotowymi sformułowaniami — w czym podobny był do A- dama — wprowadzał je w jednak w czyn. Pracowa- ła wśród młodzieży i kiedy pewnego dnia zapro- ponował Marii poprowadzenie wycieczki dziew- cząt z „TUR'a”, Maria znalazła się w obrębie je- go pracy. Teraz była już na przeciwnym brzegu i ze śmiechem przypominała sobie Adama, który i dziś, pisząc o jakichś tam wyborach komunalnych, do jednego worka wrzucał socjalistów i komuni- stów.

Praca w TURZE podobała się Marii. Nie za- paliła się jednak do niej, i w tym tylko dokładna. Przede wszystkim zależało jej na Mostach. Chcia- ła, żeby jej ufali, żeby dobrze ocenili jej przydat- ność. Właściwie znowu w jakiś sposób wysilała się, aby w środowisku Mostów zdobyć uznanie. Raz powiedział jej Most: — Pani jest doskona- łym nabytkiem dla nas. — Uwierzyła w te słowa tak samo, jak w komplementy Adama w pierw- szym okresie małżeństwa.

W kilka miesięcy po wyjeździe Adama, otrzy- mała od niego list, który zrobił na niej wrażenie, mimo wszystko. Adam prosił ją o rozwód. Nie- udolnie, z ledwie hamowanym uniesieniem wyzna- wał żonie, że zakochał się i że widzi tylko dwa wyjścia: ożenienie się z ową panną Ewą, lub sa- mobójstwo. Maria pokazała list Mostom. Zasta- nawiali się nad radą, której od nich żądała. Tym razem Mostowie nie byli z sobą zgodni. Most po- wiedział spokojnie: — Niech mu pani da ten roz- wód. — Zofia natomiast nie ukrywała wzburze- nia: — A dziecko? A te lata, które przeżyliście z sobą? Nie, Maria nie powinna się zgodzić! — Mó- wiła tak, jakby to o nią samą szło i Most dozna- wał niemal cierpienia, że Zofia nie jest na wyso- kości zaćnania.

Sprawa małżonków Łuzińskich rozniosła się wśród dawnych znajomych. Miała przecież po- smak sensacji i działała się prawie jeszcze w ich sferze. Okreśnionymi drogami dotarła też ta wiado- mość do brata Marii. Karol, z którym Maria spo- tykała się tylko na cmentarzu w rocznicę śmierci rodziców, narzucił się nagle jako adwokat i opie- kun. Bez wiedzy Marii, pisującej łagodne i ustę- pliwe listy do Adama, Karol przeszkadzał rozwo-

dowi, wysuwając coraz inne trudności. Na ostatku sobie przypisał wyłączną zasługę, że Adam zobowi- ązał się płacić alimenty aż do pełnoletniości sy- na. Przyrzekł też widywać syna co pewien czas, żeby chłopiec wiedział o istnieniu ojca.

Były to układy nie tyle prawne co obojętne i nie tyle moralne co liczące się z opinią. Maria, chociaż urażona na brata, który nieproszony wkroczył w jej osobiste życie, poddała się jednak bez protestu zawartym układom. Właściwie uży- czała Adamowi tego małżeństwa, nie zazdroszcząc mu tych wszystkich prawnych i kościelnych pery- petii. Kiedy jednak Adam po pewnym czasie przy- jechał do Warszawy, żeby zobaczyć Zdzisł, Ma- ria zachowywała się tak nieswojo, że robiła wra- żenie pokrzywdzonej i nieszczęśliwej. Adam, pa- trząc na nią, postarzał i trochę zaniedbaną, do- znawał mieszanych uczuć. W duchu określił to w ten sposób: — Postąpiłem z nią nie pięknie, ale taka, jaka jest teraz, nie nadawałaby się już na żonę dla mnie. — Był właśnie w trakcie ponow- nego powodzenia w służbie. Miał zostać wicewo- jewodą przy „malowanym” wojewodzie. Mógł więc znowu wykazać się inicjatywą i znowu „re- prezentować”. Jego młoda żona, uchodząca za naj- piękniejszą kobietę w powiecie, zaawansowałaby na najpiękniejszą kobietę w województwie. Jakże był dumny ze swojej Ewy, jakże mu jej zazdrościli! Na miłość Adama do Ewy składały się zatem wie- lorakie czynniki, wśród których snobizm na pewno nie był najmniej ważny.

Rozwód, który zdawał się zakończeniem osobi- stego życia Marii, sprawił, że czuła się teraz przejrzyta, jak pogodny, jesienny poranek. Ma- ria wymyśliła dla siebie to porównanie, aby jesz- cze lepiej pojąć swoją wolność. W jesiennym, po- godnym poranku są liliowe barwy nad daleką przestrzenią, a Maria doznawała wrażenia, że tak właśnie wędruje „sobie” samopas, że tak „sobie” oddycha lekkim, chłodnym powietrzem. Ten do- bry nastrój Marii dostrzegła Mostowa: — Zmie- niłaś się, nie wiem, jak to powiedzieć — fruwasz, latasz? Józek już to zauważył, że rozkwitłaś po rozwodzie. Ze mną byłoby inaczej. — Zresztą. Most powiedział to Marii: — Pani kwitnie! — Maria zaprzeczyła: — A moje siwe włosy? — Odpowiedział: — Są przecież i białe kwiaty. — I dodał z poznańska: — Są, nie?

Późną wiosną 1939 roku odbywały się w grupie Mosta zebrania dyskusyjne, na których rozważa- no groźbę wojny z Niemcami: czy wojna nieunik- niona? czy powtórzy się sprawa Czechosłowacji? czy Polska do wojny przygotowana? czy Hitler jeszcze się cofnie? jak zachowa się Zachód? jak Wschód? — Mostowie organizowali te odczyty i sami bardzo pilnie brali udział w zebraniach. Jó- zef Most wieczył, że zapal społeczeństwa wybie- ga poza istotną gotowość państwa, i poza zrozumienie rzeczywistości. Ale Most widział w tej woj- nie sprawę idei i płonął chęcią walki o „zasady”,

o „człowieka”. I Zofia i ci inni, którzy zabierali głos w dyskusjach, podniecali się słowami, które zdawały się wprost wytryskiwać z sere i mózgow.

Kiedyś Maria, słuchając referatu o przygoto- waniach Niemiec do wojny, po raz pierwszy w życiu poczuła ból w sercu. Był to ból fizyczny, ale dołączył się do tego jakiś inny bolesny objaw, nie- znany ludziom realnym. Maria nigdy nie chodziła do wrózek, nie wierzyła też w nic nadprzyrodzone- go. W tej chwili jednak, mając obok siebie spo- kojnie oddychającą i zasłuchaną Zofię, przeżyła coś bezmiernego. Było to przecucie. Maria wsta- ła, jak gdyby zamierzała coś powiedzieć. Zofia pociągnęła ją z powrotem: — Siedź, poczekaj, je- szcze nie skończył. Potem będzie dyskusja. — Ale Maria nie chciała nie powiedzieć, pragnęła tylko wyjść z sali, sądząc, że w ten sposób otrząśnie się z przerażającej świadomości.

Nie pozbyła się jej ani teraz, ani później. Stwierdziła tylko, że ta świadomość jest roz- ciągliwa. Może się kurczyć do stanu niepokoju, albo być właśnie — bezmierna, nieobjęta. Zataja- jąc te swoje stany, nie próbowała walczyć z nimi. Miała raczej wrażenie, że powinna im nadać jakieś bardziej wyraźne kształty. Że mogą stać się „obra- zami”, dostępnymi zmysłom.

W tym czasie Most, zajęty jakimiś innymi pra- cami, zlecił Marii prowadzenie sekcji odczytowej. Nie mogąc zawsze znaleźć prelegentów, Maria nie- kiedy sama wygłaszała odczyty na dowolne tema- ty. Doniesiono jednak Mostowi, że odczyty Marii są defetystyczne, są nawet wizyjne. Słuchacze po- padają nieomal w panikę, kiedy Maria roztacza przed nimi obrazy zbliżającej się wojny. Most, zmartwiony, tłumaczył Marii, że musi dostosować swoje prelekcje do „ogólnych wytycznych”. Woj- na, która nadchodzi, będzie wojną o światopoglą- dy, wojną o formy społeczne. Toczyć ją mają lud- dzie. Nie, nie będzie żadną Apokalipsą. Masy ludzkie, a przede wszystkim masy pracujące mu- szą zatem mieć wolę walki. Maria upierała się jednak przy swoich „obrazach”, które wreszcie wydołyła z siebie nie czym innym, tylko słowami. Mostowi mówiła o tym najprościej: — Trzeba lu- dzi przygotować do tego, co nastąpi. — A wresz- cie, już prawie z rozpaczą: — Trzeba przytłumić megalomanię! To będzie przecież masakra!

Most patrzył w oczy Marii zaszepionym wzro- kiem. Jego piwne, nieco zmęczone oczy zamigota- ły pozłótką, jak zawsze, gdy był czymś mocno przejęty. Miał szczupłą, chłopięcą twarz, mimo swoich czterdziestu lat. Teraz, gdy patrzył w oczy Marii, z trudem bruździł czoło. Maria zmieszała się pod jego upartym spojrzeniem, ale nagle Most uśmiechnął się niemal czule, mówiąc te twarde sło- wa: — Cóż, zawiódłem się na tobie. — Mówili już sobie po imieniu i Zofia podejrzewała, że ich wzaj- emna sympatia przekracza granice koleżeństwa. Zofia stała właśnie we wnącej okna, milcząca i czujna. Jej nieco gruba i stężała twarz, zmiękła,

gdy Józef wyrzekł te słowa: „zawiodłem się na tobie”. — Maria weźmie to sobie do serca i rzuci robotę — myślała, niecierpliwiać się. Maria odezwała się jednak pokornie: — Daj mi inną robotę, jeżeli do tej się nie nadaję. — Zofia z trudem powstrzymała się od krzyku, który chciał tu zabrzmieć po prostaku: — Nie nadajesz się do żadnej naszej roboty, do żadnej! Jesteś paniusia!

II.

Kilka dni wojny spełniło przecucia i wizje Marii, lecz choć za sprawą swoich „obrazów” była psychicznie przygotowana, nie mogła wytrzymać ani nalotów, ani ostrzeliwania miasta. Strach objawiał się jak paroksyzm febry i pozbawiał Marię przytomności. Szóstego dnia wojny pozwoliła się zabrać bratu, który znowu poczuł się do obowiązku zaopiekowania się Marią i Zdzisławem. Karol zdobył, w jakiś sobie tylko wiadomy sposób, ciężarówkę i pewną ilość benzyny. Nie pożegnawszy się z Mostami, których w tym momencie nie było w domu, wyjechała Maria z Warszawy, otwierając szeroko powieki rozpięte i suche. Nie krzyczała tak po wariacku, jak bratowa, gdy jadąc szosą dopadał nalot w biały dzień. Ale bała się do obłędu. Trzymając ciasno przy sobie Zdzisława, szeptała mu do ucha: — Módl się, módl się...

W Lublinie spotkali się niespodzianie z Adamem i wtedy Maria po raz pierwszy zobaczyła jego żonę. Maria musiała bezstronnie przyznać, że Ewa pod każdym względem ją przewyższa. Miała na sobie kostium z popielatego „Leszczkowa”, odpowiedni beret i obuwie, a zachowywała się tak spokojnie, jak gdyby wyjeżdżała w przyjemną podróż. Ewa oświadczyła krótko: — Jedziemy do Zaleszczyk, albo do Kut, stamtąd — dalej. Mamy jeszcze jedno miejsce w aucie, powinien z nami jechać syn Adama. — Karol, dotychczas oficjalny oponent Adama, poparł teraz zamiar: — Z ojcem będzie bezpieczniejszy, tymbardziej, że my nie mamy już benzyny. — I Adam okazał się dżentelmenem. Wystarał się o benzynę dla brata swojej byłej żony. Zdzisław zadowolony z zamiany ciężarówką na limuzynę, pożegnał się z matką po bieżnie, Maria otrzepała jego płaszczyk, wodą kolońską zmyła zakurzoną, krzywiącą się twarzyczkę — i tyle było jej troskliwości o syna w chwili rozstania. Ewa powiedziała kurtuazyjnie: — Może się wkrótce spotkamy.

Strach zdemoralizował Marię. Kiedy mijali dworce, albo wlekli się zapechanymi szosami, wszczyniała gwałtowne klótnie w obronie swojego życia: — Zjedźmy z szosy, zaszyjmy się w lesie! — Widok zawałonych domów, pożarów, rozbitych aut, trupów ludzi i zwierząt — potęgował jej wolę życia. Któregoś dnia, gdy zbyt długo stali na szosie, zepchnięci na bok przez kolumnę wojsko-

wych samochodów — Maria zachowywała się już tak niesfornie, że budziła wesołość w przejeżdżających żołnierzach. Rozczochrana, łamiąc palce z niecierpliwości, dzikim spojrzeniem przepatrywała niebo. Dzień był pogodny, lecz rudy od kurzu. Sosnowy laszek zasnuty tym kurzem, zdawał się palić. Cesia, która, gdy nie było nalotów, spokojnie i systematycznie spełniała swoje służby przy trojgu dzieciach, zasłoniła im usta chusteczkami, żeby nie lyały pyłu. Karol drzemał w kabince szoferskiej, czarny od brudu, nieogolony. Maria, gryząc palce, ciągle wpatrywała się w niebo. Jej przemęczone oczy widziały już tylko czystą, niemal białą toń.

Mimo hałasu i warkotu posuwającej się kolumny, dosłyszała lot bombowców, zanim jeszcze dostrzegła je na niebie. Cesia swoim zwyczajem zaczęła krzyżeć piskliwie. Czyjś rozkaz zatrzymał kolumnę i żołnierze, zeskoczywszy z wozów, w pół skuleni biegli do lasu. Wtedy Maria, nie troszcząc się o nikogo, także zeskoczyła z ciężarówki i bezwiednie naśladując żołnierzy, tak samo skulona, biegła wraz z nimi. Krztusząc się kurzem, nieprzytomna, przypadła twarzą do igliwia, które suche i pulchne, ugięło się pod nią jak materac. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co słyszała: czy piskliwe wycie Cesi, czy huczące wycie trąby powietrznej. Naraz zagłuszył wszystko szum drzew i huk eksplozji. Maria wgrzebała głowę głębiej w mierzwę, żeby nie słyszeć dalszych wybuchów. Bez pojęcia o czasie, który mijał nie dzielony na sekundy i minuty, Maria bojąc się tak straszliwie śmierci, zapragnęła jej tutaj. Ale stawiała warunki: niech będzie nagła i nieświadoma. Cisza, która zaległa, była jednak powrotem do świadomości. Stukot serca wydawał się za głośny, oddech syczał w wyschniętej krtani. Maria wiedziała już o sobie wszystko: była nikiemnym stworem, przywiązanym do życia za wszelką cenę.

Gwizdek, wzywający żołnierzy do powrotu na samochody, zabrzmiał nieśmiało, jak śpiew samotnego ptaszka. Maria nie ruszyła się jednak. Przeczekała aż ustanie tupot biegnących żołnierzy. Dopiero gdy motory poszły w ruch, a wstrząs szosy zadygotał refleksem w mierzwie, uniosła głowę. Wygrzebując się z igliwia, jak z grobu, jeszcze nie wydawała się sobie żywa. Kiedy wreszcie dowlokła się do szosy, w chmurze kłębiącego się pyłu nie było już kolumny samochodów. Nie było także ciężarówką brata.

Wołanie Marii poniósł bezskutecznie las. Stojąc na środku szosy, zapłakała więc krótko i nieumiejętnie. Nie była bowiem rozżalona. Gniew szarpał ją, tylko gniew. Znając już dobrze przemoc strachu, teraz poznała przemoc złości. Krokami, których by jej pozazdrościł piechur, zaczęła iść w kierunku, w jakim pojechały wozy. Nagle postanowiła inaczej: zawróciwszy, zsunęła się po niewysokim nasypie. Była znów w lesie. Miała więc teraz tę bezpieczną osłonę, o którą tak ciągle

się napierała! Oslepiona gniewem, potknęła się o zrąbany pień. Ale rozbiwszy sobie kolana, jakby doznała zadośćuczynienia. Głośno powiedziała: — Dobrze mi tak! — Siedząc potem na fatalnym pniaku, zbierała powoli myśli, które były bezradne i dziecinne, jak w bajce o zabłąkanych w lesie Jasiu i Małgosi. I jak w bajce oczekiwała wybawienia, które miało przyjść własnowolnie.

To, co wydarzyło się Marii, było niewątpliwie katastrofą. Bez rzeczy, prawie bez pieniędzy, poraniona, nie wiedząc gdzie jest, nie potrafiła tak od razu posługiwać się instynktem. W lepiej czy gorzej zorganizowanym życiu nie był jej dotąd ten instynkt potrzebny. Po wielodniowej, ślepej wędrówce, poznała dopiero jego nieomyłość i jego — zawodność. Nie stawała się przez to mądrzejsza, ale niekiedy najadła się do syta w chłopskiej chacie, wykapała w jakimś strumieniu i uprawczy koszule, potrafiła zdrowo wyspać się w łożach. I to jeszcze: zachodząc do obcych ludzi, rozmawiając z nimi, przymilając się, wysilała się na sposoby, które służyły tylko jednemu celowi. Tym uporeczywym celem była — ona sama. W takim ograniczeniu trosk, wymykała się Maria aktem wojny, jak małe, zręczne zwierzątko.

Wyznaczywszy sobie kierunek na Lwów, szła Maria, klucząc, schodząc z traktów. Wybrała Lwów, nie tylko dlatego, że uciekała przed wojną. W tym mieście urodziła się i urosła do podlotka, więc może żyją tam jeszcze ludzie, których kiedyś znała. Ludzie są przecież potrzebni — rozumowała — znajomi, czy obcy. Nauczyła się już słów, które proszą i wzbudzają litość. Szła więc do Lwowa, niecierpliwiać się, gdy zapytywani o droge, nie umieli jej wskazać, albo informowali mylnie. Żaden napotkany wóz nie zdawał się Marii tak naładowany, żeby nie było dla niej miejsca. Jak tramp zuchwała i bezczelna, rozzuchwiała się także wobec nalotów.

Raz zbliżała się do jakiegoś miasteczka właśnie w chwili, gdy nadlatywała eskadra bombowców. Maria, dla skrócenia drogi, przechodziła przez zagnojone pastwisko. Gęsi zagęgały w naiwnym zdumieniu, pasące je dzieci, nauczone, jak się to robi, przypadły płasko do mizernej łączki. Maria oczywiście także, ale już nie twarzą w dół, tylko tak, jakgdyby odpoczywała, z rękami pod głową. Patrzyła prosto w niebo, czekając na bombowce. Przeleciały nisko, ogromne, obłe, rozszereżone, z ogonami dymków, ze zwirowanym pyśkiem śmigieł. To, co teraz Maria odczuwała, nie było jednak spokojem ani obojętnością. Była to prawie do strachu podobna odwaga. To samo rozwieranie się serca, rozpościeranie się w nieprzytomność i napinanie mięśni jakby do walki czy obrony. Podnosząc się potem z ziemi, Maria czuła się nie mniej fizycznie rozbita i duchowo znieweczona.

Dotarła wreszcie do Lwowa w momencie zajmowania go przez wojska sowieckie. Szła ulicami

skołtunionymi od przemarszu wojsk. Bruk dygotał pod ciężarem powoli i niezgrabnie toczących się tanków. Chrząst żelastwa ogłuszał, więc ludzie mieli miny głuchoniemych. Nie okazywali jednak ochoty porozumiewania się nawet gestami. Jakaś grupka rzucała kwiaty żołnierzom. Astry — była przecież jesień. Kilka liliowych płatków spadło Marii na twarz. Ocknęła się, aby znowu zacząć myśleć o sobie. Przez cały czas, kiedy tak stała w tłumie, jęcząc z utrudzenia, dźwigała w sobie tylko to, co się tu odbywało: Bo, czyż nie było tego za wiele na nią jedną? Wyliczała: państwo, ogromny obszar, ludzie, domy, miasta, wsie... Zajęte, zniszczone, zabite, pobite, spalone, zrabowane... Rozejrzała się po najbliższych w tłumie. Czy ludzie byli ciemni, jak puste oczodoły. Jakaś kobieta gorzko płakała. Maria podeszła do niej: — Czy może mnie pani przenocować? — Kobieta kiwnęła głową, nie przestając szlochać.

III.

Już następnego dnia natknęła się Maria w kawiarni Szkockiej na Józefa Mosta. Był tu bez Zofii, która została w Warszawie. Za nie nie chciała wyjechać. — Nie znasz Zofii, nie wiesz, jaka jest naprawdę. Pochodzi z chłopów i nie pozbyła się tej jakiejś twardości, która jest tak podobna do pychy. Nie znasz Zofii — powtórzył, a w głosie jego była uraza i podziw jednocześnie — i na dobrą sprawę, ja także jej nie znam. Ma zbyt duże poczucie własności. Nigdy mi tego nie przebaczy, że odszedłem od niej. Byłaby wołała, żebym zginął z rąk Gestapo. Bo, cóż innego mogło mnie tam spotkać?

Józef był jednak w rozterce, czy słusznie postąpił. Maria nie widziała go jeszcze tak zajętego sobą. Opowiadał jej, gdzie i jak mieszka, ile płaci za mieszkanie, ile go kosztuje jedzenie. Marię ubodło, że nie zapytał o jej sprawę. Powiedział tylko: — Cieszę się, że tu jesteś. — Siedziała więc skromnie nad „pół czarną”, ledwie podnosząc powieki spalone i spuchnięte od słońca, czy wiatru. Nie, Józefa nie obchodziły powieki Marii. Ciągłe mówił o sobie, nie ciekawy niczego innego. Wreszcie powiedział: — Na razie tak tu sobie żyję od tygodnia. Nawiazuję kontakty, rozumiesz? Od jutra, a może jeszcze dziś wieczorem już zacznę, rozumiesz? Wejdiesz do naszej roboty — zdecydował. Mówił teraz cicho, ledwie ruszając czubkami warg. Wydał się Marii zastraszonej i śmieszny.

Wydał jej się tak śmieszny, że już wszystko, co mówił, było nieważne. Smykając wzrokiem po sąsiednich stolikach, wtajemniczał Marię w skrótach: — Ludzi wysyłać za granicę. Zwłaszcza wojskowych. To jedno, a to drugie — tak, to drugie wypływa z dawnej roboty, z programu. Oczywiście, nie przewidziano katastrofy, ale kiedy i

jaki program przewiduje takie rzeczy? Programy nie uwzględniają klęsk i nieszczęść. To należy do czynników rządzących. — Most tak samo w skrócie potępił te czynniki. Ale teraz, kiedy się to już stało, że klęska, nieszczęście, katastrofa — trzeba, żeby inni, trzeba, żeby partia, trzeba, żeby masy. Na razie formowanie się wojska. Francja! — tam, gdzie dalej ta sama wojna.

Jaknajciszej syczał to słowo „trzeba” i Maria powtórzyła je. Józef dosłuchał się jednak jakiegoś fałszu w zgodliwości Marii. Zgromił ją: — Nie wierzysz? Musisz wierzyć! — Maria uśmiechnęła się. Ciągłe wydawał się jej zabawny, więc uśmiechając się, zgodziła się: — Będę z tobą, ale zostaw mi dwa dni na odpoczynek. — Most i teraz nie zapytał, czym jest zmęczona. Wstał, aby stwierdzić, że sam ledwie trzyma się na nogach.

Most mieszkał w zaułku niedaleko Katedry Ormiańskiej. Trzeba było przejść przez malutkie, rozmokłe od deszczów podwórze. Cuchnęły tu nigdy nie uprzątnięte odpadki kuchenne, wśród których gmerały psy. Teraz przychodziły tu także rasowe pieski zostawione przez właścicieli, którzy w związku z wojną opuścili miasto. Mlaskanie, warczenie tych psów rozlegało się nocą i Maria, przychodząc do Mosta, bała się trochę. Cwiczyła się jednak w ostrożnej i czujnej odwadze, potrzebnej na codzień.

Józef posługiwał się Marią. Robił to zresztą i z innymi. Wyznaczał „swoim ludziom” zakres pracy, tak ją rozdzielał, żeby w razie aresztowania kogośkolwiek, nie przerwał się jej tok. Maria miała kontakt z urzędniczką, pracującą w jednym z sowieckich urzędów. Urzędniczka dostarczała wzoru blankietów, ktoś inny zdobywał paszporty, z których wywabiano nazwiska ich dawnych posiadaczy, u kogoś było laboratorium chemiczne, a jakiś pracownik w jakiejś drukarni podrabiał legitymacje bez zarzutu. Jak długi był ten łańcuch, przeciągnięty poprzez przejścia graniczne, nie wiedziała Maria. Jego ogniwa urywały się dla niej tak blisko, że mogła sypiać niemal spokojnie.

Maria zajmowała pokój przy ulicy Sapiehy u kobiety, którą zaczęła w tłumie. Był to pokój syna owej Franiowej. Syn dotąd nie powrócił z wojny i Franiowa opłakiwała go szczerze. Weznesnym rankiem wychodziła z domu, aby opierać „swoich państwa”. Ubyło jej teraz wiele zamkniętych „domów”, zostały tylko dwa, trzy i Żydzi, ale i c jako bogacze pewnie także tu długo nie wytrzymają z „sowieckimi”. Franiowa znosiła różne wiadomości z miasta i Maria powtarzała je Mostowi. Nie przywiązywał do nich wagi, choć Maria uważała je za cenne. Mosta nie obchodziły te „ludzkie nieszczęścia”, te rewizje i rekwizycje, wywłaszczenia, pozbawianie pracy, znikanie towaru ze sklepów. Owszem, tak jest, jak mówi Franiowa, że „przebiegają ludzi, jak groch, ale co robaczywe to akurat zostaje, to dla nich dopiero dobre”. Były to jednak dla Mosta tylko marginesy.

Maria myślała niekiedy, że Józef nosi na oczach okulary, jak koń, aby widzieć tylko tę swoją drogę. Ale niekiedy odczuwała lęk przed tą drogą, po której kroczył. Czy tylko dobrze wie, dokąd ta droga prowadzi? Nie otrzymując odpowiedzi — podziwiała Mosta bodaj tylko dlatego, że milczał.

Franiowa ustosunkowała się do Marii życzliwie. Dogadzało jej, że tak z ulicy zabrała do siebie „tę ludzką biedotę”, aby mogła się wyspać w porządnym łóżku. Porządne łóżko i orzechowe meble były własnością syna Franiowej. Kupił je ze swoich zarobków monterskich. Wszystko przecież osiągnął ot, tak — dziesięcioma palcami. Maria знаła ten ruch rozczapierzonych palców i zaniechawszy słuchania opowiadań Franiowej, wpadła od razu w wspomnienia, jak w grzęzawisko. Dobrze wiedziała, że to niepotrzebne, że to nawet przeszkadza, ale nie mogła się opędić przed kształtem jakiegoś drzewka, które rosło w ogrodzie w Boernerowie. Gałęzie, liście, gładkość młodego pnia — i zaraz ręka ojca pieszcząca ten pień.

Przeobrażając wspomnienia według swoich obecnych odczuwań, Maria robiła sobie wyrzuty, że niedoceniała ojca. Przecież to on właśnie przewidział i klęskę i upadek. Wszystko jedno, w czym widział zarodek zła i nawet wszystko jedno, co tam wypisywał w tych swoich pamiętnikach, kiedy poszedł na emeryturę. Maria, której, po pojednaniu się z nią, odczytywał te wymozolone memoriały, reagowała pobłażliwie na „projekty reform”, a w duchu zaśmiewała się, że ojciec pisze jakieś „De Re Publica emendanda”, i że, jak mówił, „przeoruje polskie życie do dna”. W tym czasie nie obchodziły jej te zagadnienia, a jeżeli nawet coś do niej docierało, przyjmowała raczej zniekształcone wnioski Adama i jego przyjaciół. Nie pamiętała więc treści memoriałów ojca, tylko jego głos rozgorączkowany, jego wadliwe „r”, wypieki na chudych, zapadłych policzkach, błysk okularów i nieco drżące ręce odwracające karty manuskryptu. Wnet też gdzieś obok zjawiała się matka wysoka i tęga, aby przeszkadzać głośnym oddechem i kaszlem palaczki.

Tymczasem, jak na obrazie filmowym, na postać matki nasunął się tak samo wysoki i tęgi masyw postaci Franiowej, a jej głos nabrzmiał grozą zagłuszył głos ojca. Franiowa mówiła o aresztowaniach, o wyciąganiu ludzi z łóżek po nocy. Stojąc przy kuchni w różowawych oparach gotującego się barszczu, Franiowa prawie deklamowała: — Czy ludzie dadzą się tak wiązać, jak barany? A bić ich, a wyganiać tych czortów! — Po czym chytrze gładziła się po piersi wysokiej od paczki z „polskimi” banknotami. — Chować toto, pazurami bronić!

I Maria posiadała coś, co należało ukrywać. Była to nieduża skrzynka, przerobiona z paki, zamknięta na indywidualną kłódkę „Yale”. Stała ta skrzynka pod łóżkiem, wypełniona, jak dynamitem, paszportami i blankietami na legitymacje.

Wracając do domu, Maria najpierw badała, czy kłódka nie naruszona. Ale Franiowa nie kwestionowała nawet ciężaru skrzynki. Wystarczyło jej, że Maria przywiozła ją niby z dworca i że to „cały majątek” warszawskiej uciekinierki.

Którego dnia, gdy Maria o zmierzchu wróciła do domu, Franiowa odbiegłszy od kuchni, na której smażyła jajecznicę z kiełbasą, wypierała Marię prawie z powrotem za próg. Syn przyjechał, syn! Jest w swoim pokoju, bo to jego pokój! Nie już na to nie poradzi, że dla Marii nie ma miejsca. Jeszcze ją dziś przenocuje, ale tylko dziś. Będą spały w jednym łóżku, ot tutaj, w kuchni. Nie jest przecież taka nieludzka, żeby człowieka na noc wypędzać i to jeszcze na deszcz.

Maria, nie wszedłszy już do pokoju, usiadła na kuchennym taborecie. Przemoczone ubranie parowało w rozgrzanej kuchni, lekkie dreszcze przebiegały po plecach, ale raz po raz mówiła zgodliwie: — Trudno, trudno... Słyszała, że w pokoju krząta się ten syn, że coś tam przybija gwoździakami, coś przesuwają, od razu czynny i zadomowiony. — Trudno — powtórzyła. A dla siebie tak samo zgodliwie: — Jest przecież u matki, w swoim pokoju, ma prawo... Nagle odezwało się radio, którego Marii nie wolno było tknąć. Jakies zdania wypowiedane gładkim radiofonicznym głosem kobiecym przeplatały zdania mówione męskim barytonem. Zaskoczyła je muzyeczka, potem wysnął się spod radiowego guzika wysoki sopran, potem chrypiała pustka eteru. Widocznie syn Franiowej szukał jakiejś stacji, albo tylko wypróbował odbiornik, czy długie tygodnie milczenia nie zaskoczyły temu gardłu świata.

Franiowa strzygła uszami, uśmiechając się: — Niech się nacieszy, dopokąd mu nie zabiorą. Tak mówią, że nikomu nie zostawia tych radiów, aby ludzie nie wiedzieli, co się dzieje na świecie. Pewnie i zdejmą, jak zdjęli telefony. — Franiowa wracała powoli do swojej uprzejmej gadatliwości. Ale Maria spostrzegła, że na pięknie wyszorowanej podłodze zbiera się woda ściekająca z ubrania i nieszczęśliwego obuwia. Poprosiła więc o ścierkę i zaczęła ścierać, robiąc to dość niezgrabnie. Franiowa ze złością wyrwała jej ścierkę: — Ach, pani, trzeba umieć obchodzić się nawet ze szmatą! Wykręcić, w czystej wodzie splukać, znowu ściągnąć, ot tak. — I uzupełniła sentencjonalnie: — Dziś trzeba nauczyć się każdej roboty. Takie idą czasy!

Maria nie ważyła się usiąść z powrotem na taborecie, który Franiowa wytarła do sucha innym, cieńszym gałgankiem. — Osoby, mające zbytne zamiłowanie do czystości, są nieużyte — ułożyła sobie Maria w duchu aforyzm, który nie potrafił jednak poprawić jej złego samopoczucia. Czyż nie powinna natychmiast odejść po tym, co tu zaszło? Ale znowu w drugim pokoju zastukał młotek i Maria zatrwożyła się o swoją skrzynkę. Kto wie, jakimi jeszcze narzędziami posługuje się ten monter! W tej chwili właśnie otworzyły się drzwi i

zanim Maria dostrzegła syna Franiowej, jego noga w wojskowym bucie pchnęła do kuchni skrzynkę. — Co to takie ciężkie? — zapytał cały już widoczny w drzwiach. Lecz nie brutalność gestu zdumiała Marię, tylko co innego: syn Franiowej mówił po ukraińsku.

Ujrawszy obcą osobę, kiwnął głową i tak samo po ukraińsku powiedział: — Przepraszam. — A do matki: — Na co mi ta paczka w pokoju! — Franiowa, choć ciężka i zwalista, roztrzępotała się: — To paczka tej pani. To ta pani, co mieszkała u nas. Jeszcze ją dziś przenocuję, a jutro wyprowadzi się i zabierze sobie co jej. — Mieszkała słowa polskie z ukraińskimi, uśmiechy z rozdrażnieniem. Syn, którego imię: Jurko — wymawiała gruchajaco, pozował się wdzięcznie w ramie drzwi. Był dorodny, miał śniadą cerę, jasne oczy i ciemne, krótko ostrzyżone włosy. Sportowa popielata marynarka i niebieska koszula z wyłożonym kołnierzem świadczyły o jego zamiłowaniu do staranności. Franiowa, patrząc na syna, podpatrywała Marię. Chciała widzieć, jakie na niej zrobił wrażenie, bo, czyż ten syn nie był jej dziełem? A to, że tak pięknie i czysto się prezentował? — Przyszedł obdarty — mówiła — jak żebrak przyszedł z tej wojny. Pilnowałam, czyściłam jego ubrania, koszule wyprasowałam, aby wszystko miał w porządku, jak wróci. — Jurko machnął ręką, co znaczyło, że mógł przecież nie wrócić z wojny. Nie chciał okazać wdzięczności matce przy tej obcej osobie. Natomiast uważał, że należy zatroszczyć się o kwaterę dla Marii. Możeby u tych, u tamtych — wymieniał jakieś nazwiska i ulice. Wreszcie natrafił na coś odpowiedniego. Trzeba tylko, żeby matka zaraz z rana poszła do tych państwa z ulicy Potockiego. Została tam tylko matka z synkiem. Jej mąż pewnie tu nie wróci. Był oficerem i albo zginął na wojnie, albo poszedł... Wiadomo, że dużo ich przeszło granicę, kiedy tak się stało, że znaleźli się, jak w kleszczach.

Leżąc w nocy na skraju łóżka Franiowej, Maria nie spała. Najpierw Franiowa długo naszeptowała jej do ucha historię swojego życia. Ten syn jest z pierwszego małżeństwa z Ukraińcem. Po swojemu wychował ojciec syna i tak już zostało, choć odumarł go piętnastoletnim chłopcem. Drugi mąż był Polak i po nim nazywają ją Franiową. Prędko ten Franio rozpił się na stróżstwie i Jurko nie mógł go za to szanować. Można by powiedzieć — z tego poszło, że Jurko tak znienublił Polaków. Jak się Franio upił, to nie tylko ubliżał matce Jurka, ale zaraz o polityce gadał i lżył chłopaka. I niech tylko ten jakieś swoje słowo powiedział, Franio brał się do bicia. Nie, nie było zgody między Jurkiem i ojczymem i Jurek parę razy uciekał z domu do rodziny swojego ojca. Jeszcze go tam lepiej tego ukraiństwa nauczyli. Ale, jak Franio umarł, daj mu tam Boże światłość wieki, to taki co syn to syn — Jurek wró-

cił do matki. Odtąd byli już razem z sobą. I, prawdę mówiąc, bez różnicy jej, że ma syna zapieklego Ukraińca. Można w zgodzie, jak się tylko chce tej zgody. Nawet z Żydami można. Pierze u takich jednych, że lepszych i pocziwszych od nich nie znaleźć.

I z tą pochwałą dla Żydów na ustach, zadrzeła wreszcie Franiowa. Nie przywykła do dzielenia z kimś łóżka, rozlała się całym ciałem po brzegi, zostawiając dla Marii tylko drewniany kant... Toteż, gdy na oknie zaszarzał świt, Maria wstała, ubrała się i przysiadła na swojej skrzynce, tu dopiero zapadła w krótki sen, w którym bez porządku powtórzyły się sceny z niedawnej wędrówki i płatał się Zdzisław. Uczucie miłości dla Zdzisława było we śnie tak głębokie i tkliwe, że Maria, przebudziwszy się nagle, pograżyła się w rozpaczliwej tęsknocie za dzieckiem. Jak to się stało, że dopiero sen wy dobył z niej to uczucie, jakiego w tym stopniu nie zaznawała nigdy na jawie? Musiała mówić o Zdzisławie z Franiową krzającą się koło śniadania. Franiowa dziwiła się, że Maria dotąd nigdy ani słowem nie wspominała o dziecku. Nie kryła się też z oburzeniem, bo jakże może matka zostawić swoje dziecko w cudzych rękach, w dodatku macosze! Tym przecież była ta druga żona dla Zdzisława, czy nie tak? — Męża pani zabrała, a teraz i dziecko tak samo. A pani to także ni z pierza ni z mięsa, że zgodziła się na jedno i drugie. Mąż — niech tam! Ale w każdym stanie, w biedzie i w bogactwie — matka jest jedna i ta sama. A tu teraz te inne czasy, że i stanu już nie odróżnić.

„Inne czasy” były dla Franiowej strapieniem, ale poniekąd dawały jej zadośćuczynienie. Mówiła więc o tym dobrotliwie i pouczająco. Po przespanej nocy, była pełna dobrych chęci i zaraz też poszła na Potockiego rozpytać się o kwaterę dla Marii. Wróciła po paru godzinach rozpromieniona, że wszystko udało się gładko, jak po maśle. Pani Witowska z ulicy Potockiego i tak już szukała lokatora w obawie, żeby któryś z sowietów nie zarekwirował trzeciego pokoju. Pewnie, taki wzięby dla siebie najlepszy. W dwóch — malutkie są te pokoiki, bo dom nowy — może sobie pani Witowska mieszkać spokojnie z synkiem, ale trzy pokoje dla tak małej rodziny to za dużo w te czasy. Już tam przychodziła jakaś ich komisja i metrami mierzyła ściany. Takie teraz prawo, że metrami wyznaczają, a co za dużo, to albo dla nich, albo dla takich, co nie mają gdzie mieszkać. Niby to i sprawiedliwie, ale cóż — umyślnie wsadzają do mieszkania takich, żeby życie zatruwali i donosy robili. „Inne czasy” zaczynały już jakby przeszkadzać Franiowej, bo kto wie, ile tych metrów narachują u niej. Pokój syna wielki, jak stodoła. Mogą i tutaj kogoś dać na lokatora. Z obcymi nie wiadomo, jak będzie. Może być kobieta szlaja brudna, albo mężczyzna frajer.

Jurko wyśmiał jednak strapienia matki: — Już niech się matka nie obawia, nas nie ruszą,

nam nie wymierzą tak akuracie. My „raboczi” — powiedział po rosyjsku. — A zresztą... Nie dokończył tego, co miał na myśli, mrugnawszy w stronę Marii. Był zadowolony, że za jego sprawą Maria znalazła kwaterę i to z komfortem, bo z łazienką. Piękna u pani Witowskiej łazienka, sam ją montował. Prawda — przypomniawszy sobie Maria — był przecież monterem! Uśmiechnęła się do Jurka z wdzięcznością, którą mu była winna. A on, już nie pytając, wziął na ramię skrzynkę, stęknął, że ciężka i znowu porozumiewawczo mrugnął. Po czym zakomenderował: — Idziemy! — Kobiety ucałowały się, Franiowa przepiślowo pociągnęła nosem, ale Maria przekraczała próg w spłoszeniu. Nie była bowiem pewna, czy skrzynka umieszczona na ramieniu Jurka jest bezpieczna.

Z tej niepewności przez całą drogę serce Marii biło zbyt mocno. Każdy spotkany milicjant z opaską na ramieniu, albo żołnierz sowiecki wydawał się jej podejrzany. Toteż przez cały ten czas gotowała się do ucieczki, wyparcia się skrzynki, Jurka, wszystkiego na świecie. Kilka razy minęli ich żołnierze czy też oficerowie sowieccy w czapkach o niebieskim denku. Jurko, podrzucając skrzynkę wyżej na bark, wyszczerzał swoje zdrowe zęby, jakby rozradowany każdym takim spotkaniem. Powiedział do Marii: — O, tych w niebieskich czapkach trzeba się bać. To ich główna policja — Enkawude! — Maria zauważyła niewinnie: — Jak się nie ma nic na sumieniu... Jurko swoim sposobem mrugnął jednym okiem: — Każdy ma tam coś na sumieniu, a u nich nie pytać. Ech, policja — to już wiadomo, jaka jest. I polska policja była dobra sobie...

Maria doznała uczucia, że ktoś nastąpił jej na nagniotek. Miała taki na małym palcu prawej nogi, bolesny, bo świeżo nabyty w pieszej wędrówce. Nie lubiła, gdy mówiono o tym, co było złe w Polsce. Gniewały ją krytyki Mosta, a teraz ten Jurek z przekąsem, a może nawet z zapiekłą złością! Należy raczej milczeć o tych sprawach, skoro to, co się stało i co się dzieje, jest już zupełnie nie do zniesienia! Nie powiedziała jednak tego Jurkowi, aby nie zmać tej zgody, która miała cechy życzliwości. Przecież ostrzegł ją przed „niebieskimi” i doprawdy, bezpiecznie niósł jej skrzynię na silnym ramieniu. Uspokojenie przyszło jednak już u końca drogi. Stanęli przed bramą masywnie zrobioną z jasnego dębu. Kamienica była na kremowo bielona, wzdłuż ulicy rosły klony, a ich bezlistne konary połyskiwały sino od jesiennej wilgoci. Wymyty po wezoraższym deszczu chodnik był czerwonawy. Maria, robiąc te pośpieszne spostrzeżenia, postanowiła: — Tu mogę mieszkać i mieszkać.

IV.

U pani Witowskiej w skąpo umeblowanym, małym, nieco mrocznym pokoiku — tym trzecim i najgorszym — Maria, poza myciem się w łazience

i korzystaniem z kąpieli raz na tydzień, nie odczuwała owego komfortu. Owszem, był komfort rozmowy z doborem właściwych słów, z przyciszaniem głosu dla zaznaczenia żaloby i rezygnacji. Wytworzyła się też sympatia, spowodowana jakimś niezamierzonym podobaniem się wzajemnym. Maria polubiła różową, pełną twarz pani Stanisławy, jej duże, niemal okrągłe oczy o długich, sztywno natuszowanych rzęsach. Nawet platynowy ząb na przodzie nie zdawał się szpeciść powściągliwego uśmiechu Stanisławy, która tak samo upodobała sobie urodę Marii, mimo, że zbiedzenie czyniło z niej prawie starą kobietę. Czarne oczy Marii tkwiły w zmarszczonych powiekach, cera była zgrubiała i szara, nieondulowane włosy rozpadały się w nieporządne pasma. Nie mógł też podnosić urody Marii wygnieciony i przetarty kostium. Stanisława już w pierwszym odruchu dobrego serca obdarowała Marię suknią i płaszczem ze skunksowym kołnierzem. Doprawdy — zapewniała — nie sprawi jej to uszczerbku. Ma przecież pełne szafy sukien, kostiumów, płaszczy. Ma futra, biżuterię... Załowała tylko, że jej obuwie nie może się przydać Marii. Pani Stanisława nosiła numer 35, a Maria — chyba 38, prawda?

Być może, że Stanisława trochę zanadto przechwalała się posiadaniem pełnych szaf i małością swoich stóp. Ale Marię podnosiły na duchu jej szczodre pochwały — że wzrost, że szczupłość godna zazdrości, że oczy „wspaniałe”, że włosy „zachwycające”. Nieoczekiwanie zasypywana komplementami, jakby z powrotem odbiegła w dawny czas, w tamten czas miłości Adama i niezdykontowanej nadwyżki szczęścia. Nie wznowiając jednak wygasłych uczuć, to tylko powtórzyła w sobie: dobre samopoczucie. W płaszczu Stanisławy, choć nieco przykrótkim, nabrała jakby pewności siebie. Raz pozwoliła sobie nawet na pójście do fryzjera. Włosy ułożone w fale, nabrały blasku i Józef mógł je znowu chwalić, porównując do białych kwiatów. Ach i to jeszcze, że za namową Stanisławy Maria różowała się i Józef powiedział: — Cieszę się, że coraz lepiej wyglądasz.

Maria zasługiwała też na inne uznanie Józefa. Kontakty jej z ową urzędniczką z sowieckiego biura i z jeszcze dwiema młodymi kurierkami, były niezawodne. Robota szła teraz sprawnie i choć w trójkowym systemie organizacja nie rozszerzała się dość szybko, wpady i wsypy były utrudnione. Dziewczęta wiedziały tylko o Marii, a Stanisława wiedziała tylko tyle, że Maria udziela im lekcji francuskiego i buchalterii. Danka i Krystyna nie budziły w pani Witowskiej żadnych zastrzeżeń. Przecież z czegoś musiała żyć Maria, aby opłacić czynsz i mieć na obiad w stołówce, albo coś sobie upitrasić w domu. Oddaliwszy służącą, aby nie było „obcego” człowieka w domu, pani Witowska z szczególną uprzejmością stawiała rondelek Marii na dużym ogniu i nawet własnoręcznie przyprawiała skromne potrawy lokatorki.

Józef, który nie szczędził Marii takich słów, jak „świetnie”, „doskonale”, wydzielał jej nie duże sumy na to „życie” właśnie. Maria uśmiechała się w duchu, patrząc na szczuple palce Józefa, które tak ostrożnie brały do rąk banknot. Ręce Józefa nie umiały obchodzić się z pieniędzmi. Miał ich przecież tak mało w życiu! Wręczając Marii banknot, dodawał zawsze: — Chyba ci wystarczy na jakiś czas? — Maria zapewniała, że wystarczy, choć drożyzna rosła, a Maria jako nie pracująca, musiała pokątnie kupować i płacić wysokie ceny. O tych sprawach nie warto jednak było mówić z Józefem, który ręką niewprawną do liczenia pieniędzy, odważał się czasem pogłaskać Marię po głowie i po policzkach. Jego uśmiech przypominał wtedy raczej grymas płaczu.

Maria, mimo, że za każdym razem była zaskoczona tą niezręczną czułością, rozpamiętywała jednak potem gest i żalony uśmiech Józefa. Wracając do domu jakby czymś cieszyła się i smuciła jednocześnie. Pełna śmiechu i niepokoju, nie szła, ale prawie biegła. Wieczór smolił się w nieoświetlonych jeszcze ulicach, wróble oblepiwszy drzewa, świegotały tłumnie, podobne do małych dzwonczków. Megafon, umieszczony nad balkonem jakiejś kamienicy, ryczał o sławie, chwale, o dobrodziejstwach sowieckiego ustroju. Przechodnie przystawali na chwilę, zadzierając głowy w kierunku megafonu, po czym szli dalej, zagarniani mrokiem. Z obcej mowy wytryskiwało raz po raz nazwisko i łamało się w dwie nuty: Sta-lin, Sta-lin! Gdzieś w głębi miasta od czasu do czasu sypały się tępe wystrzały. W sercu Marii pozostawał już tylko niepokój.

Stanisława karciała Marię: — Zawsze wraca pani taka zadyszana, jakby panią ktoś gonił. Nikt z nich nie powinien poznać po nas, że się ich boimy. Ja chodzę powolutku, spacerowym krokiem, jakby nigdy nic. — Maria tłumaczyła się, że nie przyjemnie tak samej po nocy. Strzelają ciągle. — Władek, syn Stanisławy domagał się jednak dokładnego określenia: — Gdzie, w której stronie strzelali? — Ale Maria nie potrafiła mu na to odpowiedzieć. Władek wrzeszczał pogardliwie ramionami. Był to wyrośnięty szesnastolatek o chmurnym usposobieniu. Nie zawsze dla matki uprzejmy, okazywał też i Marii niejakie lekceważenie. Marii raczej dogadzało, że nie był wścibski i nie wchodził do jej pokoju, aby szperać po kątach. Niekiedy zapraszany, siadał na krześle, wyciągając długie nogi na pokój. Patrzył z podełba, poziewując. Nudziła go rozmowa o tym, co Maria z wysiłkiem obmyślała jako odpowiedni temat dla wyrostka. Trochę więcej interesowały go przeżycia Marii, która przeszła przecież pół Polski. Nie potrafiła mu jednak nic ciekawego powiedzieć ani o sprzęcie wojskowym, ani o różnicach między tankiem polskim, niemieckim i sowieckim. To on ją pouczał o tych sprawach z rzeczoznawstwem trudnym do sprawdzenia.

Podezas jednej z tych rzadkich wizyt, wzrok Władka przykleił się do skrzynki zamkniętej na kłódkę „Yale”. Stała pod ścianą, na widoku, nie mogąc się zmieścić pod zbyt niskim łóżkiem. Wreszcie Władek wstał, obejrzał skrzynkę, opukał i zapytał, czy by mu jej nie odsprzedała: — Dam pani za nią porządną fibrową walizkę — powiedział rzeczowym, handlarskim tonem. Potrzebna mu jest właśnie taka skrzynka. Matce nie może powiedzieć, że trzeba mu skrzynki, choć jest w piwnicy odpowiednia paka. Zaraz zaczęłoby się badanie: na co, po co? Zresztą, nie trzymałby tej skrzynki w mieszkaniu u siebie. Ma na nią inne miejsce.

Maria wiedziała już wszystko i była do głębi poruszona tym, co wiedziała. Nie patrząc na Władka, milczała. Kiedy wreszcie się odezwała, głos jej brzmiał opryskliwie: — I mnie jest potrzebna. Walizka nie zastąpi tej skrzynki. — Władek nalegał: — Przecież walizkę łatwiej wynieść w razie czego. — Zatem i on wiedział! Maria spojrzała na chłopca. Jego nachmurzenie było teraz powagą. Widocznie bardzo pragnął tej skrzynki, bo z wielkiego wysiłku woli nawet jego chuda szyja pokryta była czerwonymi plamami. Maria nie odezwała się już jednak ani słowem.

Po tej rozmowie zauważyła, że chłopak jakby ją otoczył opieką. Gdy wracała, stał w oknie (mieszkanie było na parterze), albo czekał w bramie. Nieraz zastawała go na przystanku tramwajowym. Idąc potem obok niej, wielokrotnie oglądał się za siebie. Miał teraz dużo czasu, bo przestał chodzić do gimnazjum. Sam tak postanowił, nie dbając o wyrzuty, których mu nie szczędziła matka. Znikał też czasem na wiele godzin, a zapytywany przez Stanisławę, gdzie był, z kim był, co robił? — odpowiadał burkliwie ni to ni owo. Stanisława zaliła się przed Marią na trudne usposobienie syna, martwiąc się, że bez męża nie potrafi sobie z nim dać rady.

Wiedząc o sobie, Maria i Władek nie potrafili już o niczym rozmawiać. Władek siadywał więc na krześle w pokoju Marii, aby milczeć bez końca. Nawet nie patrzyli na siebie, zachowując się, jak dwoje zagniewanych. Nieraz, wychodząc z domu, zostawiała go Maria siedzącego na krześle w jej pokoju. Była jednak pewna jego zyczliwości i dyskrecji. Mogła mu nawet dawać zlecenia: — Władku, jak tu przyjdzie jedna z panienek, proszę jej powiedzieć, że dopiero jutro o tej samej porze będę z nią mogła odbyć lekcję. — Władek kiwał nieznacznie głową i dalej pograżał się w zadumie. W tym czasie Maria była przekonana, że ten zimny, bo nieopalony, mały pokój, jest najbezpieczniejszym miejscem na świecie.

Spokój Marii pierzchnął jednak w rozmowach z Józefem, który w ostatnich czasach był rozdrażniony. Na przejściach granicznych zdarzały się wypadki zdrady. Kilku przechodzących zastrzelono, wielu aresztowano. Jacyś niepewni ludzie

wplątali się do roboty, jakieś niedobre wiadomości przychodziły także z tamtej strony granicy. Wyszły na jaw osobiste ambicje i samozwańcze grupy działały na własną rękę, albo podszywały się pod nazwę organizacji, w której był Józef i jego ludzie. Maria, cierpiąc wewnętrznie od tych wiadomości, udzielanych jej przez Józefa ułamkowo, usiłowała go jednak uspokajać: — Czy to nie wszystko jedno, kto to robi? Może i my posiadamy tę niesłuszną ambicję wyłączności, a tamci myślą o nas, że my nie mamy prawa do monopolizowania roboty. — Józef zachnął się: — Do nas, tylko do nas przychodzą dyrektywy i pieniądze! Ale oni nawet pieniądze podbierają za sprawą podstawionych kurierów! — Kiedy Józef mówił o pieniądzach, Maria nie mogła pozbyć się wrażenia, że sumy, którymi rozporządzał z ramienia organizacji, spędzały mu sen z powiek. W istocie Most wyglądał źle, miał zaczerwienione powieki, żółte skronie i chude, płaskie policzki. — Nie — zapewniał Marię — czuje się fizycznie zdrow, ale trapi go ta cała sprawa, tak już dziś zagmatwana i podminowana. Może będzie musiał stąd wyjechać i to weale nie za granicę, ale z powrotem do Warszawy. Rzeczy tak stoją... Nie dokończył zdania i Maria pomyślała: — Teraz będzie mówił o Zofii, że to ona wzywa go do powrotu. Teraz zacznie się nad tym rozwodzić, że nikt nie zna Zofii, jej mocnego charakteru, jej silnej woli... Spuściła powieki, nawet pochyliła nisko głowę, aby przynajmniej nie widzieć Józefa mówiącego o Zofii już nie tylko z podziwem, ale z uległością. Poczuli jednak jego niezręczne głaskanie po głowie, po plecach. — Martwisz się, że wyjadę? — zaszeptał przy jej twarzy. — Powiem ci, bo nareszcie trzeba, abym to powiedział — że nie chcę od ciebie odejść — że to jest to najtrudniejsze — że mi ciężko... Wyjąkiwał te zdania wargami na policzku Marii. Obejmując ją, tak samo zająkliwie pytał: — Czy zrozumiałaś? Czy wiesz, co to jest?...

V.

Maria wracała teraz do domu później i przekręcając klucz w zamku, słyszała kroki Stanisławy w przedpokoju. Zawsze tu była, aby powiedzieć z przekąsem: — Z randki? — Albo: — gdzież się to pani Marysia włóczy w taką niepogodę? — Maria miała już w pogotowiu: — że lekcja się przeciągnęła, że zaprosili ją na kolację w domu Krysi czy Danki, że może w ogóle te lekcje będą teraz za kolację. Przechodziły jej te kłamstwa gładko przez usta i Stanisława, choć trochę cierpka, przyjmowała je ze zrozumieniem trudnej sytuacji Marii. Tylko Władek chmurnym spojrzeniem piętnował te wyjaśnienia. Mówił potem: — Mogą zauważyć, że pani tak późno wraca. — Maria musiała więc Władkowi tłumaczyć się inaczej niż Stanisławie. Zresztą — uspokajała go — chodzi

coraz innymi ulicami i ma przecież zawsze z sobą podręcznik języka francuskiego. W duchu przyznawała jednak słusność chłopcu. W zaułku, w którym mieszkał Józef, znali ją już chyba wszyscy mieszkańcy.

Maria zaniechała ostrożności, nie dlatego, że była teraz szczęśliwa. Miłość Mosta ciągle jeszcze wprawiała ją w zakłopotanie, bo jakby jej nie pragnęła, jakby była jej niepotrzebna. To Most domagał się Marii w sposób uroczysty i tkliwy jednocześnie. Celebując swoją miłość, wymykał się troskom, których rozmiarów nie znała Maria. — Jesteś mi potrzebna — mówił — zatraciłbym się w tym wszystkim, gdyby nie ty. — W tym związku czuła się Maria silniejsza od Józefa, więc udzielała mu siebie szczerzej, niż kiedyś Adamowi.

Tego dnia o wczesnym ranku zadzwonił ktoś do drzwi mieszkania pani Witowskiej. Kiedy dzwonek zaalarmował po raz drugi, Maria wstała z łóżka, żeby otworzyć. Do przedpokoju wcisnęła się wiejska kobieta z tobołem na plecach. — Dlaczego dzisiaj tak wcześnie? — zdziwiła się Maria, biorąc kobietę za mleczarkę, która stale przynosiła mleko i nabiał. Kobieta powiedziała wiadome zdanie i Maria zdrętwiała na długą chwilę, nie ważąc się dać wiadomej odpowiedzi. Gdy ją wreszcie wyszeptano, kobieta, wszedłszy do pokoju Marii, w niewielu słowach zawarła całą sprawę: — Józefa tej nocy aresztowano. Jego dwóch najbliższych współpracowników, których Maria знаła jako Góralskiego i Skrytę, również aresztowano, ale wcześniej, bo wczoraj w południe. Kobieta dostała przed godziną polecenie, żeby natychmiast zawiadomić o tym Marię.

Maria zachowała się spokojnie. Rzeczowo wypytała o szczegóły, które jednak nie były znane kobiecie, która nie umiała też nie powiedzieć o tym, czy podczas rewizji znaleziono coś u tamtych dwóch i u Józefa. Wprawdzie Maria na głos stwierdziła, że Józef był ostrożny, nie była jednak tak bardzo pewna tego. Pod poduszką Józefa leżała przecież gruba, uwierająca teka. Maria podtrwiała, że Józef sypia na pieniądzach, ale on przyznał się raz, że to nie tylko pieniądze, że to coś, co może rozstrzygnąć o jego życiu i śmierci. Wspomniawszy to, Maria strzepnęła palcami z rozpaczliwą rezygnacją.

Po odejściu kobiety, Maria usłyszała ruch w pokoju Stanisławy. Usłyszała też głos Władka. Przebudzona natarciwym dzwonkiem, Stanisława błada z przerażenia, patrzyła teraz na Marię, jak na wroga. — Kto to tak wcześnie był u pani? Jeszcze nie ma szóstej, jeszcze prawie ciemno na dworze. Nic takiego nie może dziać się w moim domu! — mówiła gniewnie. Władek w pyjanie, z oczami zapuchniętymi od snu, ofuknął matkę: — Jak się mama tak bardzo boi, to niech sobie jedzie na wieś do ciotki. I tak jest tu dla mamy niebezpiecznie, bo tato oficer. — Zaraz też, nie krę-

pując się obecnością Marii, zaczął się Władek ubierać. Naciągnął pumpy i koszulę z pośpiechem. Usiłował przy tym pocieszyć Marię: — Niech pani nie słucha tego, co mama tu wygaduje. Ja tam zaraz będę u pani w pokoju.

Maria czekała więc u siebie na Władka, bardziej wzburzona scena, jaką jej zrobiła Stanisława, niż czymkolwiek. Władkowi, gdy wszedł, tyle tylko powiedziała: — Skrzynkę trzeba stąd zabrać i to zaraz! — Władek zbagatelizował niepokój Marii. — Wielka rzecz! Zawiozę ją w dobre miejsce. Moznaby zakopać, ale jeszcze nie należy się z tym spieszyć, jeszcze pani nie aresztowali. do drzwi prawdziwa mleczarka, zapachniało w skrzynce. — Zajrzał Marii w oczy i najcichszym, błagalnym szeptem zapytał: — Czy to rewolwery, albo granaty? — Zaprzeczyła głową. Widziała, że był rozczarowany, ale to nie wpłynęło na jego gotowość pomocy Marii. Kiedy wręczała mu płaski, ząbkowany kluczyk od kłódki, ważył go w ręce, sploniony ze wzruszenia. — Za pół godziny można już będzie znaleźć dorożkę. Sam zawiozę na miejsce, a tam — już pod naszą opieką — zapewniał, czyniąc gest, jak do przysięgi.

Z kuchni dochodził brzęk naczyń, zadzwoniła do drzwi prawdziwa mleczarka, zapachniało w całym mieszkaniu gotowane mleko i kawa zbożowa. Władek kilka razy zawołany przez matkę, nie opuszczał jednak pokoju Marii. Siedział ze skrzynką u nóg, jak w poczekalni na dworcu i tak samo czujnie zdawał się drzemać. Nie rozmawiali. Maria stała w oknie, ale to, że nocą spadł duży śnieg, nie wywołało w niej, jak to zawsze bywało, radosnego zdumienia — że śnieg, że zima! W jej reagowaniu na to, co się stało, było tylko uczucie bezradności. Usiłowała wyobrazić sobie Józefa, ale nie miał weale konturów, był jakby cieniem, był może tylko znakiem, noszącym imię własne. Sięgnęła więc do pomocy czytanych kiedyś opisów rewizji, więzienia. Dopowiedziała jeszcze i to: — kajdany, katanga, Sybir... Oczywiście: śnieg, „biały całun” — skojarzyła z tym, co było za oknem. Ale prószący, gęsty śnieg, w który dmuchała wichura, podbierając go z ziemi i z dachów kłębam dymu, nie był weale podobny do „całunu”. Cały przestwór za oknem wydawał się biały, zwirowany, żywy i ponośny. Maria miała pełne oczy tej ruchliwej bieli. Kiedy odwróciła się na pokój i tu powietrze wydawało się tak samo białe i ruchliwe.

Władka nie było już w pokoju i Maria poczuła się jeszcze bardziej bezradna. Zawołała: — Władku! — Stanisława, uchylwszy drzwi, oznajmiła głosem nabrzmiałym urazą i łzami: — Przecież wyszedł z domu. Nawet śniadania nie chciał jeść! — Po czym tonem rozkazującym: — Odda mi pani klucz od zatrasku, bo Władek nasz klucz zgubił. Wychodzę z domu za godzinę, wrócę w obiad, a potem znowu wyjdę na całe popołudnie. — Maria, dając jej klucz, powiedziała łagodnie: — I ja

wyjde z domu. Wróć dopiero na noc. — Chciała jeszcze dodać, jak jej jest przykro, że tak się stało — ale przecież Stanisława nie wiedziała o niczym, ani też nie powinna wiedzieć o tym — że aresztowano Józefa!! — krzyknęło nagle w sercu Marii.

Władek przyjechał dorozką. Nie miał tyle sił, co Jurek Franiowej, żeby zarzucić sobie skrzynkę na plecy wprost z podłogi. Wytaszczyli ją razem, robiąc rumor w mieszkaniu i w sieni domu. Stanisława, już jawnie łamała ręce, wołając na cały głos: — Powiedźcie mi, co jest w tej skrzynce? Co w niej jest takiego? — Cóż było począć z tą kobietą, tak miłą i tak nieprzydatną do spraw Marii i Władka? Władek trochę przedrzeźniał achy i ochy matki, ale Maria podeszła do Stanisławy, objęła ją i pogłaskała po rozpalonej twa-

rzy. Powtarzając powiedzonko Franiowej o „innych czasach”, mówiła serdecznie: — Nie jesteście przygotowani do tego, co się dzieje. Nikt nas nie przygotował do nieszczęścia. — Stanisława rozplakała się — o Władka jej szło, tylko o Władka. Dlaczego wciągnęła go Maria do tej niebezpiecznej roboty? Dlaczego weszła do tego domu, jak „zwiastun nieszczęścia”? — Marię znużyły te oskarżenia i patetyczne lamenty. Powiedziała więc ostro: — Nic nie wiem o robocie Władka, tak jak on nie wie o tym, co ja robię. A dla pani będzie lepiej nie domyślać się niczego. Zresztą postaram się wyprowadzić jak najprędzej. Może już dziś, jak znajduję pokój.

Maria nie znalazła jednak pokoju. Tej nocy, a raczej już nad ranem została aresztowana.

FEDERICO GARCIA LORCA

w przekładach

JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO

Federico García Lorca został uznany przez międzynarodową publiczność czytelników i krytyków jako pisarz, poeta i artysta dopiero po lipcu 1936, t. zn. w chwili kiedy przestał już istnieć jako twórca, zginął bowiem zamordowany w Granadzie przez oddziały gen. Franco, w pierwszych dniach wojny domowej. Dlatego to jego nazwisko znalazło się wśród poetów i pisarzy europejskich bardziej nowoczesnych i nowatorskich niż on: cytowano go jednym tchem z Eugenio Montale i T. S. Eliotem; podczas gdy jego dzieło, chociaż reprezentujące niewątpliwie szczyt najnowszej literatury hiszpańskiej, nie jest prawdziwym odnowieniem poezji i teatru poetyckiego i można je odnieść raczej do czasów Rainera Maria Rilke w Niemczech, Paul Valéry w Francji, jeżeli nie bezpośrednio do samego D'Annunzio w Włoszech.

W okresie tym reprezentantem poezji hiszpańskiej był przedsiębiorczy Ramón del Valle Inclán, pisarz może mniej emfaticzny niż D'Annunzio, lecz jeszcze bardziej od niego przywiązany do szukania efektów zewnętrznych, poszukiwacz malowniczości (pittoresco), przeładowany motywami dekadentckimi. Następujący po nim bezpośrednio Antonio Machado i Juan Ramón Jiménez, przewyciężywszy tematykę dekadentką, zmusili poezję hiszpańską do zawarcia się w kręgu stosunków pomiędzy pamięcią a naturą, nostalgią a naturą. Na dało to poezji hiszpańskiej nadmiernie przywiązanej do efektów dźwiękowych swej mowy, większą wizualność i ruch. Zwłaszcza u Jiménez dostrzega się wypracowany impresjonizm obrazów, nigdy bezpośrednich, a które jednak stwarzają wrażenie bezpośredniości dzięki doskonałej tonacji osiągniętej przez grę dźwięków. Młody Lorca, który w r. 1917 pisał swoje pierwsze wiersze, całym swym olbrzymim talentem naśladował Jiménez.

Dalszy rozwój Lorca aż do r. 1935 (Llanto per Ignacio Sánchez Mejías) prowadził poezję hiszpańską do prawie nieistniejącej w niej przedtem ostrości wyrazu lirycznego. Stosunek pomiędzy pamięcią a naturą i nostalgią a naturą stawał się niewyczerpanym źródłem przeżyć niezwykle wrażliwego poety. Łatwość kojarzenia obrazów przygotowała teren dla najbardziej niezwykłych i ryzykownych powiązań. Możliwość przechodzenia od obrazu do obrazu wzrastała. A zarówno w tych skojarzeniach jak i jak i w przejściach nie było zdania, któreby nie miało na celu wzmożenia przejrzystości wizualnej, nawet tam gdzie było ono tylko wypełnieniem luki w śpiewie. Doszedł więc Lorca do osiągnięcia absolutnej wizualności wiersza, połączonej z uzupełniającym ją wykończeniem dźwiękowym, jak w piosence ludowej. I dlatego nie zabrakło w Madrycie i w Buenos Aires głosów, które z uznaniem samego Lorca dążyły do wytłumaczenia pozornych nielogiczności jego poezji, jako literackiego odpowiednika malarstwa Picassa. W rzeczywistości jednak tkwił on nadal w impresjonizmie. U twórców bardziej nowoczesnych, jak Montale i Elliot, głos poety stawał się « pionowy », wzbijał się od dołu wwyż lub odwrotnie — z niebios do piekła lub z piekła do niebios, bez dodawania naturalistycznego akompaniamentu natury: u Lorca, mimo zawrotnego przyspieszenia skojarzeń, pozostał dominującym głos « poziomy », « ruch naprzód i wstecz » określony zawsze przez czysto zewnętrzną wizualność przedmio-

tów naturalnych i w istocie przez tę zewnętrzną uwarunkowaną. I poruszał się on z pełną świadomością odbieranych doznań, niekiedy zadawalając się łatwymi efektami, poszukiwaniem elegancji i wykwiłności nawet.

Najoczywistszym dowodem zewnętrżności Lorca, pomimo intensywności tak wzniosłej jak w « Llanto per Ignacio » lub tak delikatnej jak w « Dialogo del Amarga » jest jego teatr poetycki, komedie i dramaty, gdy jego poezja przechodzi próbę zastosowań o długim oddechu. Zachowuje się tam Lorca jak Hofmannstahl, albo D'Annunzio (lub, dodajmy, Wyspiański, zwłaszcza Wyspiański z « Kłątwy » i « Sędziów »): postacie, środowisko, motywy wyjmuje on jakby z literatury naturalistycznej i « upiększa » je; « upiększa » arabeskami swego niezwykle osobistego świata wizualności poetyckiej. Nie umniejsza to bynajmniej faktu, że najgłośniejszy z jego dramatów « Bodas de Sangre » (Krwawe Zaślubiny) jest najwyższym osiągnięciem w tym rodzaju. Ale nie należy zapominać, że w całości poezja Lorca jest równie odległa od dramatycznych wyżyn poezji « Mordu w Katedrze » T. S. Elliota, jak « Figlia del Jorio » D'Annunzio.

Federico García Lorca ur. w Fuentevaqueros (Granada) w r. 1899, studiował w Almeria, Granadzie i Madrycie. Pisał wiersze, pieśni, komedie i dramaty (większość z nich ukazała się pośmiertnie), malował (pierwsza jego wystawa w Barcelonie — 1927) oraz był reżyserem i twórcą teatru w rodzaju wędrownego « Reduty » Osterwy. Wiele lat spędził w obu Amerykach. Zginął rozstrzelany przez oddziały gen. Franco w Granadzie, w lipcu 1936, w pierwszych dniach rewolty faszystowskiej.

(Opracowane na podstawie szkicu krytyka i powieściopisarza włoskiego, Elio Vittoriniego).

ZWADA

*W połowie ciemnego jaru
ostre noże z Albacety,
krwią swych wrogów upiększone,
błyskają jak srebrne ryby.
W zjadliwą padając zielen,
ostry blask wyrzywa z mroku
oszałate w gniewie konie
i zarysy jeźdźców wściekłych.
W gęstwie oliwnego drzewa
placzą dwie kobiety stare.
Byki oszałate zwady
na ściany urwiste skaczą.
Czarni Aniołowie noszą
śnieżną wodę i chusteczki.
Anioły o wielkich skrzydłach
ze sztyletów z Albacety.
Juan Antonio de Montilla
spada z urwiska umarły,
ciało ma w błękitnych liljach,
kwiat granatu ma na skroni.*

Teraz krzyż z żywego ognia
wznosi czarna droga śmierci.

Sędzia i żandarmi za nim
przychodzą przez gaj oliwny.
Krew rozlana głucho jęczy
niemą pieśń zdeptanej żmiji.
— Patrzcie, panowie żandarmi:
stało się tutaj, co zawsze.
Oto zmarło czterech Rzymian
i pięciu Kartagińczyków.

Popołudnie oszalałe
z figowców i zgrzanych głosów
mdleje, padając ku udom
zakrwawionym jeźdźców gniewnych.
I żałobni Aniołowie
płynęli z zachodnim wiatrem.
Aniołowie długowłosi
o sercach z miękkiej oliwy.

ANTONIO CAMBORIO

Antonio Torres Heredia,
syn i wnuk starych Camborjów,
wsparty na lasce wędruje
do Sewilji na korridze.
Stąpa wolno i wyniosłe,
śniady jak światło księżyca.
W pierścieniach krucze kędziory
opadają mu na czolo.
W połowie drogi dalekiej
ścina okrągłe cytryny
i ciska wszystkie do wody,
póki nie stanie się złota.

MĘŻATKA NIEWIERNĄ

I sprowadziłem ją ku rzece,
wierząc, że jest jeszcze dziewczyną,
a ona była mężatką.

W noc to było Świętego Jakóba
i prawie że pod przymusem.
Pogasty wszystkie latarnie
i rozpalily się swierszcze.
Idąc ostatnim zaułkiem,
dotknąłem jej piersi śpiących,
aż mi otwartą się znagła,
jako naręcza hjacyntów.
Jej halki wykrochmalone
tak szeleściły mym uszom,
jakby ktoś ostrzem sztyletów
drapał po sztuce jedwabiu.
Odarte z światła księżyca
drzewa wyrastały wyżej
i horyzont głosami psów
szczekał daleko od rzeki.

Gdyśmy przebyli przez ciernie,
przez tarnie i przez sitowia,
wglębienie w wilgotnej ziemi
zrobiłem pod splot jej włosów.
Zerwałem węzeł krawatu.
A ona zdjęta swe suknie.
Ja — pas skórzany z naganem.
A ona — cztery staniki.

W połowie drogi dalekiej
w cieniu rozrostłego wiązu
żandarmerja go schwytała
i ze sobą uprowadza.

Już dzień powoli odchodzi
— popołudnie zwisa mu z ramion —,
czerwoną powłóklszy kapą
po morzu i po strumieniach.
Czekają owoce oliw,
aż przyjdzie noc Koziorożca,
i wiatr przeskakuje konno
przez ciemne góry z ołowiu.
Antonio Torres Heredia,
syn i wnuk starych Camborjów,
stąpa bez laski wśród pięciu
trójganiastych kapeluszy.

— Antonio, kimże ty jesteś?
Gdybyś był istnym Camborio,
pięć byś gorących strumieni
z krwawego wytoczył źródła.
Widać, żeś synem niezym,
ni prawowitym Camborio.
Już nie masz więcej cyganów,
co w pojedynkę szli w góry!
Okryte śniegami i kurzem
stare sztylety drżą z zimna.

W noc o dziewiątej godzinie
przywiedli go do aresztu,
podczas gdy wszyscy żandarmi
lemonjadę piją chłodną.
I o dziewiątej godzinie
zamykają drzwi aresztu,
podczas, gdy niebo się świeci
jak sierść na zadzie żrebaka.

Ani ślimak, ani kwiat nardu
takiej skóry gładkiej nie mają,
ani lustro w świetle księżyca
błyszczący podobnym blaskiem.
Jej uda pierzchały przedemną,
jak ryby nagle chwyczone,
do połowy pełne ognia,
do połowy pełne chłodu.
Tej nocy pędziłem cwałem
po najlepszej z wszystkich dróg
na żrebicy z alabastru
bez wędzidla i bez strzemion.

Żem mężczyzna, przeto nie chce
powtarzać, co mi mówiła.
Znajomość ludzi i świata
uczyniła mnie dyskretnym.
Brudną od piaseczot i piachu
zabrałem znad brzegu rzeki.
Szpady srebrzystych lilij
walczyły przeciw wiatrowi.

Sprawilem się tak, jakom jest.
Żem jest cygan prawowity.
Podarowałem jej potem
skrzynkę do nici i haftów,
ale się nie chciałem rozmiłować,
bo mi rzekła, gdym ku rzece
ją sprowadzał, że jest dziewczyną,
mężatką oddawna będąc.

ROMANS SOMNAMBULICZNY

Zieleń, której pragnę, zieleń.
Wiatr zielony. Zieleń liści.
Barka wpośród morskich fal
i koń stojący na górze.
A ona z cieniem po pas
marzy, wsparta na poręczu,
pleć zielona, włos zielony
i oczy z zimnego srebra.
Zieleń, której pragnę, zieleń.
Pod tym księżycem cygańskim
wszystkie rzeczy na nią patrzą,
a ona widzieć ich nie może.

Zieleń, której pragnę, zieleń.
Ogromne gwiazdy ze szronu
napływają z rybą cienia,
co otwiera drogę jutrzni.
Figowiec czochra na wietrze
suchą łuskę swych gałęzi,
góra — drapieżna łusica —
najeża szczyt trawy.
— Kto nadejdzie? Skąd i kiedy? —
Ona trwa przy swej poręczu,
pleć zielona, włos zielony,
ciągle śniąc o gorzkim morzu.

— Panie kumie! Chcę wymienić
mego konia na twój dom,
moje siodło na twe lustro,
na twą derkę ostry nóż.
Panie kumie, idę, krwawiąc
od przełęczu zwanej Cabra.
— Gdybym ci ja mógł, parobcze,
tobysmy dłonie przybili.
Lecz ja już nie jestem sobą,
ani dom ten moim domem.
— Panie kumie, pragnę skonać;
jak przystało, w własnym łóżu.
Jeśli można, od sztyletu
i wśród cienkich prześcieradeł.
Widzisz ranę, która idzie
od piersi do samej krtani?

— Widzę trzysta ciemnych róż
na białej twojej koszuli.
Pachnie krwią i krew się sączy

obficie spod twego pasa.
Lecz ja już nie jestem sobą,
ani dom ten moim domem.
— Pozwól mi przynajmniej wejść
ku tym wysokim poręczom,
pozwól mi! — pozwól mi wejść
ku tym poręczom zielonym.
Ku poręczom księżycowym,
w których gra i dźwięczy woda.

Już wchodzi dwaj przyjaciele
ku tym wysokim poręczom.
Znacząc ślad swój czarną krwią.
Znacząc ślad za sobą łzami.
Trzęsły się, drżały na dachach
latarnie z blachy cynkowej.
Tysiąc szklanych tamburynów
ranily wstający ranek.

Zieleń, której pragnę, zieleń,
wiatr zielony, zieleń liści.
Dwaj przyjaciele wchodziłi.
Powiewy długiego wiatru
zostawiały w ustach smak
mięty, szafranu i miodu.
— Panie kumie! Gdzie jest, powiedz,
gdzie jest twoja gorzka córka?
— Ileż razy cię czekała!
Ileż razy wyglądała
twarzy jasnej, włosów czarnych
zza tej zielonej poręczu!

Na obliczu ciemnej wody,
drząc, odbija się cyganka.
Pleć zielona, włos zielony
i oczy z zimnego srebra.
Księżycowy skrawek lodu
podtrzymuje ją na wodzie.
Noc się stała tak przytulna,
jak maty placzyk wśród domów.
Żandarmi do ena upici
bili kolbami do bramy.
Zieleń, której pragnę, zieleń.
Wiatr zielony. Zieleń liści.
Barka wpośród morskich fal.
I koń stojący na górze.

NOTATKI O KSIĄŻKACH ANGIELSKICH

Dwie powieści z ostatnich miesięcy wywołały najżywsze dyskusje i wybiły się na czoło bieżącej beletrystyki. Powieści te to Arthura Koestlera „Thieves in the Night” (Macmillan) i Roberta Gravesa „King Jesus” (Cassell). Obie one mają tę wspólną — i dosyć przypadkową — cechę, że terenem ich akcji jest Palestyna. I obu wspólna jest też ta — dużo już istotniejsza — właściwość, że żadna z nich nie reprezentuje czystego typu powieści, że obie one znajdują się na granicy powieści i czegoś innego. Obie też zostały przyjęte „jak na stosunki angielskie burzliwie.”

Książka Koestlera jest rzeczą na granicy publicystyki i powieści. Jest to namiętne wystąpienie w obronie terrorystów żydowskich w Palestynie. Na samym wstępie Koestler podkreśla, że chociaż charaktery powieści są fikcyjne, to jednak wydarzenia w niej opisane są wydarzeniami autentycznymi. Autentyzm ten mają jeszcze uwypuklać przytoczone — zwyczajem amerykańskim — obszerniejsze fragmenty z dokumentów i przemówień politycznych. Dużo się też w książce na tematy polityczne dyskutuje. Sporo z tych dyskusji nie ma uzasadnienia artystycznego, a jest po prostu środkiem, mającym na celu zaagitowanie czytelnika.

Zadaniem książki jest usprawiedliwienie przed publicznością anglosaską (przede wszystkim amerykańską, dla skaptowania której Koestler wplótł nawet w powieść skontrastowaną z Anglikami postać „wzorowego” amerykańskiego dziennikarza) akcji terrorystycznej, wytłumaczenie, że w epoce liczącej się tylko z siłą, Żydzi nie mieli innego wyjścia, podkreślenie, że w szeregach terrorystów znajdują się najlepsze elementy młodzieży żydowskiej. Wydarzenia, które są tematem powieści, dzieją się w latach 1937-1939, w rzeczywistości jednak celem książki jest danie komentarza do wydarzeń politycznych, dziejących się w Palestynie współcześnie, a nie podówczas, i proporcje zjawisk z tamtych lat nagina się tu do obecnych.

Akcja powieści rozgrywa się na tle dziejów tworzącego się nowego kolektywu rolnego, zorganizowanego przez inteligentką młodzież z Europy. Strony opisują — z humorem i sentymentem — bardzo ciekawe warunki życia tego osiedla należą do najlepszych w całej książce. Są one najbardziej przekonujące — tak artystycznie jak i publicystycznie.

Istnieje książka, zaliczana do arcydzieł współczesnej powieści angielskiej, która narzuca się tu jako porównanie. Jest to „A Passage to India” E. M. Forstera. Podobnie jak u Koestlera, tak i u Forstera tematem powieści jest konflikt między rządzącymi Anglikami a rządzoną przez nich ludnością (tu Żydzi, tam Hindusi). Pomijając sprawę stylu — Forster pisze piękną w swej subtelności i urokach poetyckich angielszczyzną, angielszczyzną Koestlera jest bardzo rzeczowa i precyzyjna, ale nic ponadto — Koestler na porównaniu tym nie zawsze wychodzi źle. Jego ujęcie tematu jest bardziej bezpośrednie, bardziej zasadnicze, drapieżniejsze. Ale też porównanie takie uwypukla pewien podstawowy mankament powieści Koestlera. Oto Forstera — może dlatego, że pisał z punktu widzenia ludzi rządzących? — stać było na to, aby widzieć racje obu stron. Stanowisko Koestlera jest stanowiskiem namiętnego pamflety

politycznego. To co czytelnikowi daje, to albo apoteoza, albo karykatura. Bardzo na tym traci prawda artystyczna książki.

Jeżeli prawdą jest, że wydarzenia polityczne, o których książka opowiada, są autentyczne, to autentycznym byłoby także i to polonicum, z jakim spotykamy się pod jej koniec. Dowiadujemy się tam mianowicie, że w r. 1939 przedstawicielom żydowskiego ruchu podziemnego udało się w Warszawie namówić władze polskie do sprzedania im pewnej ilości broni, która została następnie przeszmuglowana do Palestyny. Koestler tłumaczy, iż władze polskie, godząc się na tę transakcję, miały dwa cele na oku: chciały poprzeć emigrację Żydów z Polski do Palestyny i chciały dokuczyć Anglikom. Ten drugi motyw brzmi — dla roku 1939 — zupełnie fantastycznie. Wygląda to tak, jakby i w tym wypadku Koestlerowi perspektywa polityczna roku 1946 przysłoniła rok 1939.

Poeta i powieściopisarz Robert Graves był u nas znany przed wojną dzięki swej powieści o cesarzu Klaudiuszu. Powieść tę ujął Graves w formę pamiętnika Klaudiusza, i to stylizowanego tak, jakby go mógł napisać Rzymianin z pierwszego wieku po Chr. „King Jesus” jest powieścią o Chrystusie, ujętą w formę opowiadania Żyda Agabusa, żyjącego w drugim wieku. Graves daje tu swoją bardzo nieortodoksyjną, wersję dziejów Chrystusa. Według tej wersji Chrystus ma być wnukiem Heroda i synem Antypatra. Po zamordowaniu Antypatra przez Heroda Maria z Jezusem ucieka do Egiptu. Po powrocie Jezus uważał iż misją Jego jako króla żydowskiego (i w ziemskim i mistycznym znaczeniu tego słowa) jest wypełnienie proroctw Starego Testamentu. Zbiera uczniów, wchodzi w konflikt z Faryzeuszami... Potem narracja książki w najogólniejszych zarysach jest zgodna z faktami, podanymi przez Ewangelię, z tym że w powieści Gravesa znajdują one zawsze swe racjonalistyczne wytłumaczenie, analogiczne do tych, jakich przykłady przytoczyłem.

Fakty swojej wersji i ich interpretację stara się Graves jak najsolidniej podbudować w oparciu o apokryficzne ewangelie, kabalistykę żydowską, literaturę talmudystyczną. Żaden z recenzentów angielskich, których omówienia książki czytałem, nie wziął interpretacji Gravesa zbyt na serio, niektórzy nawet byli nią wyraźnie dotknięci w swych uczuciach religijnych, ale wszyscy podkreślali i jego doskonałą orientację w epoce, i wielką erudycję.

Erudycja ta przytłacza książkę. I po przeczytaniu jej właściwie nie wiadomo, czy autorowi szło tu tylko o fikcję powieściową, czy też posłużył się tą fikcją jedynie jako pretekstem dla dania swojej interpretacji wydarzeń historycznych, dla przedstawienia ich tak, jak one — według niego — naprawdę przebiegały, krótko mówiąc, dla stworzenia jakiejś ewangelii według Gravesa. Jakby nie było, powieści nie wyszło to na dobre.

„Late Harvest” Normana Douglasa (Lindsay Drummond) jest właściwie książką marginesową, warto tu jednak o niej wspomnieć po prostu dla tego, aby zwrócić uwagę czytelnika na wybitnego, a u nas bardzo mało znanego pisarza. Norman Douglas, dzisiaj dobiegający już osiemdziesiątki bardzo sobiepański podróżnik, po-

wieściopisarz, erudyta (zainteresowany przede wszystkim w dwóch dziedzinach: ornitologii i starożytności klasycznej), trochę cynik i znakomity, pelen wdzięku stylistą — jest wielkim miłośnikiem krajów śródziemnomorskich, a w szczególności Włoch. Najbardziej znane jego książki to powieść „South Wind” i rzeczy podróżnicze — z Włoch „Old Calabria” i z Północnej Afryki „Fountains in the Sand”.

W tej ostatniej książce, napisanej jeszcze przed tamtą wojną, w r. 1912, spotykamy „polskiego hrabiego”, jakiego nabieracza i obieżyświata nazwiskiem — Ponomareff. Spotkanie to daje Douglasowi asumpt do następujących uwag na temat Polaków:

„Dlaczego hrabia? Ponieważ wszyscy Polacy są hrabiami — wyjąwszy tych, którzy są książętami. Ale dlaczego Polak? Hm, chyba dlatego, że jest coś nieokreślonego i równocześnie międzynarodowego w Polaku, — międzynarodowego, ale ani nie dwuznacznego, ani też nie wulgarnego. Każdy im współczuje, bo kiedyś posiadali wielkie majątki ziemskie, których utratę znoszą z pogodną rezygnacją, tak że nie pozwalają sobie na ten temat na nic więcej, jak tylko na aluzję. Znają oni każdego i każdy, kogo warto znać, jest z nimi jakoś skoliigacyony albo przez małżeństwo, albo w jakiś inny sposób, — jeśli nie w tym stuleciu, to w którymś z przeszłych. Gotowi są rozmawiać na każdy temat uprzejmie, tolerancyjnie i z przyjemną osobistą nutą, która przysłusza nawet banały; pałac przy tym niezliczoną ilość papierosów poprzez fajeczkę, na której bursztynowym tle można oglądać jakiś skomplikowany złoto-rubiniowy herb. Tak, wybór jego był dobry: Polacy to gentlemani. Ale po co ich karykaturować? I nade wszystko po kiego licha wybrać sobie nieodpowiednie kacapskie nazwisko? — Świadczy to o braku inteligencji i może wszystko popsuć, — do tego stopnia prawdziwa jest uwaga, jaką pewien znajomy prawnik podzielił się ze mną: „Trzeba być mądrym człowiekiem, aby umieć posługiwać się kłamstwem. Głupiec lepiej wyjdzie na tym, jeśli zostanie uczciwym”.

Przytoczyłem tu ten przydługi cytat raz dlatego, że jest zabawny, po drugie ponieważ jest wcale typowym przykładem genre'u pisarskiego Douglasa, a po trzecie ponieważ nieźle uprzytamnia, jaki to dawny i głęboko zakorzeniony u Anglików przesąd, że Polacy to naród „landlordów”.

Ale wróćmy do „Late Harvest”. Jest to zbiór krótkich komentarzy Douglasa do jego książek: czasem są to szkice dziejów ich powstania, czasem przypiski, uzupełnienia, niekiedy sprostowania błędów — wszystko to napisane z pełną wdzięku nonszalancją. Uzupełniają niewielką książkę dwa opisy podróżnicze oraz wybór kilku krótkich ale doskonałych recenzji z czasów, kiedy autor był współredaktorem „English Review”.

„The New Statesman and Nation” jest tygodnikiem, który prowadzi podwójne życie. Pod względem politycznym jest to pismo bardzo nieprzyjemne. „New Statesman” jest organem tej lewicowej inteligencji, której Rosja imponowała i która po dziś dzień jest jeszcze w znacznej mierze Rosją zaczadzona. Nie przeszkadza mu to być proniemieckim. Od czasu do czasu znajdujemy w nim artykuły Zilliakusa. Za to jego dział literacki, zwłaszcza obfity dział recenzji, utrzymany jest na bardzo wysokim poziomie, tak wysokim jak w żadnym

innym tygodniku angielskim. Co ciekawsze, dział ten, redagowany przez znakomitego krytyka Raymonda Mortimera, jest na ogół wolny od stronniczości i zakłamania, jakie charakteryzuje strony „Statesmana”, poświęcone polityce. W jednym z konserwatywnych miesięczników — w „New English Review” — można się było nawet spotkać z zabawną skargą na tego rodzaju stan rzeczy jako na swego rodzaju nielojalność w grze politycznej. Nawet człowiek obcy ideologii tygodnika — czytaliśmy tam — kupuje go dla jego znakomitych recenzji i artykułów literackich. No, a skoro już numer ma, to przeczyta jeden i drugi z artykułów politycznych i w ten sposób dostaje się także i pod polityczny wpływ pisma.

Otóż V. S. Pritchett, krytyk i powieściopisarz, jest jednym z asów literackich „Statesmana”. Zebrał on obecnie w tomie „The Living Novel” (Chatto & Windus) trzydzieści dwa artykuły na tematy wybitnych pisarzy: ponad dwadzieścia z nich, poświęconych jest pisarzom angielskim, reszta to Rosjanie, Francuzi i jeden Włoch. Prawie wszyscy omówieni tu pisarze to wielkie nazwiska w historii powieści, ale przy tym wszystkim dobór tych nazwisk jest — umyslnie — dosyć przypadkowy. Pritchett we wstępie zastrzega się, że omówił spośród świeżo odczytanych na nowo tylko tych, którzy przemówili do niego żywiej. Z Rosjan na przykład nie chciało mu się omawiać Tołstoja, za to omówił Dostojewskiego, Turgieniewa, Gonczarowa, Aksakowa, Szczedryna. Z Francuzów nie przemówił do niego Proust, ale przemówili Balzac, Marimée, France.

Może to wyglądać na jakieś pozowanie na ekscentryczność, w gruncie rzeczy jest jednak tylko szczerością wobec własnych reakcji estetycznych, szczerością, która się autorowi bardzo opłaciła, jej bowiem książka zawdzięcza swoją niezwykłą żywocność. Oto człowiek, któremu lektura powieści sprawiła szczególną radość i który umie się tą radością z czytelnikami podzielić — tak wygląda pierwsze, najsilniejsze wrażenie, jakie z przeczytania tej książki odnosimy. Wszystkie szkice napisane są ze świetną werwą pisarską, są bardzo wnikliwe, świeże, oryginalne, ale trochę kapryśne w ujęciu i o bardzo nierównej wartości informacyjnej.

Jednym z omówionych w książce pisarzy angielskich jest Conrad „A Pole in the Far East”. Szkic poświęcony jest przede wszystkim malajskim powieściom Conrada. Zainteresowanie się Conrada Malajami uważa Pritchett za rezultat „odwrócenia naturalnych zainteresowań polskiego wygnańca sprawami narodowości, historii, klęski i bezowocnej walki z własnym krajem na te wschodnie wyspy”.

Skoro jesteśmy już przy Conradzie, warto wspomnieć, że nakładem Denta zaczęło wychodzić nowe wydanie zbiorowe jego książek. Ukazały się dotychczas trzy tomy, w tym „Lord Jim”. — W latach bezpośrednio po śmierci Conrada można było w Anglii obserwować pewien upadek jego znaczenia. Przykładem może być choćby szkic o Conradzie, napisany w r. 1924 przez Virginie Woolf i ogłoszony potem w znanej książce „The Common Reader”. Otóż sprowokowane nowym wydaniem recenzje i odczyty radiowe — podobnie zresztą jak i wcześniejszy nieco esay Pritchetta — świadczą o tym, że akcje Conrada notowane są dziś znowu wysoko i że jest on w tej chwili niemal powszechnie uważany za jednego z wielkich klasyków powieści angielskiej.

WIKTOR WEINTRAUB

PAMIĘTNIKI GAMELINA

Po każdej wojnie pojawiają się publikacje i wspomnienia wybitniejszych aktorów wielkiego konfliktu, jakiego byli czynnymi uczestnikami, i o ile nie twórcami — publikacje z natury rzeczy o wątpliwej wartości historycznej, jeżelibyśmy przykładali do nich chcieli kryteria obiektywnej całkowitej prawdy. Oczywiście, stanowią one cenne źródło dla przyszłego badacza, który będzie jednak musiał wykazać wiele zmysłu krytycznego i wiele ostrożności w budowaniu faktycznego obrazu przebiegu wydarzeń.

Dla przykładu, jak trudne będzie (i jest) wyłowienie czystej prawdy — jeżeli w ogóle jej ustalenie będzie możliwe — wystarczy przejrzyć choćby wydawnictwa, odnoszące się do okresu bezpośrednio poprzedzającego konflikt i katastrofę Francji. Na trzy warto zwrócić szczególną uwagę: pamiętniki L. Noëla, b. ambasadora francuskiego w Warszawie, sprawozdanie z procesu Petain'a i wreszcie pamiętniki Gamelina. Dwa pierwsze z tych wydawnictw wzbudziły duże zainteresowanie i doczekały się różnych omówień — wspomnienia Gamelina mniejsze wywarły wrażenie.

Trzeba przyznać, że nie jest to lektura zachęcająca. Cały pierwszy tom może zainteresować jedynie fachowych wojskowych, omawia bowiem szczegółowo stan armii francuskiej w r. 1940. Znaczenie tych uwag b. Naczelnego Wodza wojsk francuskich dla zwykłego śmiertelnika polega przeważnie na konfrontacji ich z zeznaniami na procesie Petain'a, składanymi przez innych wielkich aktorów tragedii francuskiej, Daladier'a, Weygand'a, gen. George'a. Trudno rzeczywiście o większą niezgodność w ocenie możliwości i przypisywaniu odpowiedzialności za klęskę, niż w tych świadectwach ludzi, z racji swego stanowiska, najbardziej kompetentnych.

Jasną jest rzeczą, że po każdej klęsce szuka się winnych i równie jasnym jest, że rzeczywiście, czy formalnie współodpowiedzialni, dążyć będą do zrzucenia ze siebie tej winy, czy też jej rozłożenia; że wojskowi oskarżać będą polityków, a mężowie stanu generałów. Wszystko to jest zrozumiałe, niemniej jednak odnosi się wrażenie, że we Francji przekroczono w tej sprawie miarę.

Pozostawiwszy omówienie pierwszego tomu wspomnień Gamelin'a bardziej fachowym recenzentom, zajmijmy się drugim ich tomem, noszącym pod-tytuł: „Le prologue du drame (1930-Aout 1939)”. Jakkolwiek bardziej strawna, niż tom pierwszy, wywołuje ta część pamiętników uczucie rozczarowania. Przede wszystkim, b. naczelny wódz wojsk francuskich był człowiekiem słabo informowanym o zagadnieniach, wiążących się bardzo ściśle z zajmowanym przez niego wówczas stanowiskiem szefa sztabu. O pewnych zasadniczych sprawach dowiedział się, jak to bardzo szczerze pisze, dopiero na procesie w Riom. Gdy w marcu 1936, w okresie zajmowania przez wojska niemieckie zdemilitaryzowanej strefy Nadrenii, omawia się kwestię zachowania się armii francuskiej i rozważa się ewentualność wojny, szef sztabu, opracowujący plan działania, nie wie o zobowiązaniu, wyrażonym przez rząd polski, że Polska wypełni swe obowiązki sojusznicze, o ile Francja zdecyduje się na wojnę z Niemcami. Gamelin dowiaduje się o tym kroku Polski później z raportu francuskiego attaché wojskowego w Warszawie. W maju 1939 r., gdy gen. Kasprzycki, przybył do Paryża dla omówienia współpracy wojskowej polsko-

francuskiej w razie wojny, powołuje się na rozmowy, jakie toczą oba rządy celem zawarcia układu politycznego, jako podbudowy umowy wojskowej — Gamelin musi sprawdzić tę wiadomość w ministerstwie spraw zagranicznych i dowiadyuje się — jak naiwnie dodaje w przypisku — że „ces assertions étaient exacts”.

Podobnych ustępów jest więcej i zdają się one świadczyć, że albo roli wojska w ogóle, albo specjalnie znaczenia Gamelin'a, czynniki polityczne we Francji nie ceniły zbyt wysoko.

Nie będzie autora też cenić zbyt wysoko czytelnik, mimo że znajdzie w pamiętnikach cytaty z Joffre'a i Focha, Napoleona i św. Ludwika, Renana i Corneilla już na pierwszych stronach książki, mimo że oprócz nieprawdopodobnie banalnych stwierdzeń („nie ma równości na tym świecie”), natrafi na uwagi zupełnie rozsądne, jak np. podkreślenie błędów rządów demokratycznych, które nie odważają się na to, by żądać od obywateli poświęceń i raczej ukrywają trudności.

W ocenie zdarzeń i osób przebiega wzruszająca aż naiwność. Gdy autor, podając charakterystykę Daladiera, pisze „il fut incontestablement populaire parmi les „petits” — nasuwa się nieodparcie obraz, odmaltowany przez autora zupełnie innego pokroju, Koestlera, który opowiada, jak świeżo zmobilizowani żołnierze francuscy karmiący na ulicy psa, kazali mu biegać za jedzeniem, krzycząc: „Daladier, zarób na swój befszytyk”. Równie śmieszczą jest magistralna powaga Gamelin'a, gdy opisuje „gorące powitanie mieszkańców”, jakie gotowała mu ludność różnych krajów, które zwiedzał w oficjalnych swych podróżach. Charakterystyki postaci są — na ogół biorąc — standartowe, trochę jak w wypracowaniach szkolnych, omawiających osoby powieści czy dramatu. Często kryterium oceny wojskowego, czy polityka stanowi jego stosunek do Joffre'a, który pozostaje dla Gamelin'a „mon chef reveré”.

* * *

Z naszego punktu widzenia najbardziej interesującymi są ustępy poświęcone Polsce. Oprócz ogólnikowych wyrzeków na „nervosité et la susceptibilité maldives”, jaką Polacy wykazywali „au cours de tout son histoire”, obok zwrotów grzecznościowych, że Polska jest „un grand et noble pays”, Polacy „gents charmants” a Polki „ont toujours compté parmi les femmes les plus séduisantes”, oraz zapewnień sympatii — nie odnajdujemy w pamiętnikach sprawiedliwej oceny polskiego stanowiska. Nawet podając fakt, świadczący wyraźnie o słuszności polskiej oceny i przewidywań, Gamelin uchyla się od wyciągnięcia z tego wniosku, czy od podkreślenia swej omyłki, gdy zajmował inne stanowisko.

Oprócz licznie rozrzuconych krótkich wzmianek o Polsce, z czego zasługują na uwagę bardzo niechętnie słowa o stanowisku Polski wobec kryzysu czechosłowackiego, najciekawsze są strony, poświęcone wizycie Gamelina w Polsce i Rydza Śmigłego we Francji, oraz rozmowy z polską misją wojskową gen. Kasprzyckiego w maju 1939 r.

W lecie 1936 r. Gamelin na polecenie premiera Bluma i ministra spraw zagranicznych Yvona Delbosa, udał się do Warszawy, dla omówienia z marszałkiem Rydzem Śmigłym „entre soldats” stosunków polsko-francuskich. Oprócz tego miał on poufnie wyspowiadać polskie stanowisko w sprawie ewentualnej współpracy z Rosją, jeżeli zdecyduje się ona na wystąpienie przeciw Niemcom, oraz w sprawie stosunków z Czechosłowacją.

Jak jednak sam autor przyznaje, nie przywoził on nic konkretnego i naciskał na to, aby określenie wzajemnych zobowiązań na wypadek wojny z Niemcami było jak najbardziej ogólnikowe. Mógł on jedynie doradzić polskiemu marszałkowi budowę umocnień na granicy z Prusami Wschodnimi i na Śląsku. Plan koncentracji Rydza Śmigłego zyskał na ogół uznanie Gamelina, ze słusznym zresztą zastrzeżeniem, aby nie wysuwać zbyt daleko wojsk na zachód, za Poznań.

Na sugestię Gamelina, że Rosja mogłaby przerzucić swe wojska przez Litwę i zaatakować Prusy Wschodnie, Śmigły odpowiedział, że jeżeli bolszewicy wejdą do Litwy czy do Polski, to już się nie wycofają i dodał, że z naszych zaborców Rosjanie byli bardziej jeszcze zniechęceni, niż Niemcy. Dopuszczał tylko myśl lotniczej pomocy ze strony Rosji.

Jeżeli idzie o Czechosłowację, Rydz — jakkolwiek przedstawił Gamelinowi sprawę Cieszyna i ciągłych czeskich intryg w Małopolsce wschodniej — zgodził się na konieczność zgody z Czechami.

Gamelin, wracając z Polski, spotkał się z ambasadorem francuskim Leonem Noël'em, który chwilowo nie był obecny w Warszawie. Noël sugerował mu, aby jako warunek zacieśnienia sojuszu polsko-francuskiego postawiono usunięcie Becka ze stanowiska ministra spraw zagranicznych. Stanowisko Noël'a podzielał minister spraw zagranicznych, Delbos i w okresie pobytu Rydza Śmigłego w Paryżu (30.VIII.6.IX 1936), Gamelin poruszył w rozmowie z nim tę kwestię. Marszałek w odpowiedzi podkreślił kwalifikacje Becka, jako dyplomaty i zwrócił uwagę, że jest on konieczny dla utrzymania dobrych stosunków z Niemcami, z którymi ani Polska, ani Francja nie chce sprowokować wojny. Otoczenie Śmigłego zaznaczało w rozmowach prywatnych, że jakkolwiek marszałek „nie ufa ślepo Beckowi”, to uważa go za potrzebnego — poza tym łączy ich przeszłość, bo obaj należeli do zaufanych Piłsudskiego.

Na podobne stanowisko polskie napotkał minister Delbos w późniejszej rozmowie ze Śmigłym.

W sprawie czeskiej, Gamelin ograniczył się do przekazania listu, jaki napisał do niego Benes, na co Śmigły podkreślił, że poruszane w liście sprawy należą do rządu polskiego. Na zapytanie, czy Czesi mogą być pewni Polski i zaniechać budowy fortyfikacji od strony polskiej, marszałek odpowiedział, że ta ostrożność jest zbyt uczynna, „chyba, że mają pieniądze do wyrzucenia”. Gamelin gorzko dodaje, że wypadki roku 1938 zadały kłam temu twierdzeniu.

Okres Monachium nie nastraja Gamelina zbyt przyjaźnie dla Polski i jej rządu. Odnosi się wrażenie, że autor chce po prostu sugerować, iż stanowisko Polski przesądziło o losie Czechosłowacji — jak gdyby rzeczywiście państwa zachodnie gotowe były do wojny w obronie Czech i jedynie rola Polski im w tym przeszkodziła. U podstaw tego zimnego stosunku leży jednak inna uraza — Polska jest dla niego, jeżeli nie rozumowo, to uczuciowo, przeszkodą w osiągnięciu wymarzonego porozumienia i sojuszu z Rosją sowiecką. Już poprzednio, od początku 1937 r. toczą się rozmowy z przedstawicielami Rosji (17.II.1937 z ambasadorem sowieckim w Paryżu, Potiomkinem,) w których omawia się sprawę sojuszu francusko-rosyjskiego i w związku z tym, zachowanie się Polski i Rumunii. W czasie kryzysu czeskiego mówi się wprost o możliwości ataku sowieckiego na Polskę, jeżeli nie zechce ona przepuścić wojsk sowieckich przez swoje tereny. Gamelin wyraża przy tym stereotypowo żal, że taki los ma spotkać Polskę, ale uważa to za słuszną zapłatę za gest „pour le

moins inélegant” i konkluduje „notre conscience était libérée à cet égard”. Nie chce on sobie przy tym przypomnieć, jakże słusznych, obaw polskich, wyrażonych przez Śmigłego, że Rosja, raz wszedłszy na tereny polskie, nie zechce się z nich wycofać.

To przekonanie Gamelina, że koniecznym jest pozyskanie Rosji, jako sojusznika, przebiegające z całej książki, nie słabnie i później. Dlatego popiera on w październiku 1938 r. stanowisko Noël'a, który uważa, że nie zrywając sojuszu z Polską, nie należy robić niczego, aby go zacieśnić. W tym duchu pisze też do premiera Daladier'a, przedkładając do zastanowienia się sprawę dalszego wysyłania sprzętu wojskowego do Polski.

W tym nastroju, gdy generał Gamelin uważał, że należy „se demander s'il n'y aurait peut-être pas intérêt à ne plus paraître rechercher les bons offices de la Pologne, qui pourrait, par cela même, mesurer les dangers de sa politique actuelle”, otrzymał wiadomość, że przybywa do Paryża polski minister spraw wojskowych, gen. Kasprzycki. Gamelin powiadomiony został o tym na dzień przed przybyciem (13 maja 1939) — znów dość dziwne traktowanie najwyższego wojskowego, z którym przedstawiciel zaprzyjaźnionego państwa miał prowadzić zasadnicze dla obu krajów rozmowy, zwłaszcza, że o celu przybycia Gamelin powiadomiony został dopiero dnia następnego, a więc, gdy Kasprzycki był już w Paryżu.

Jak wspomniano już wyżej, od swego gościa miał się Gamelin dowiedzieć dopiero o rozmowach, jakie toczyły już oba rządy. Przebieg konferencji, w których oprócz Gamelina i Kasprzyckiego, wzięli udział ze strony francuskiej admirał Darlan, szef lotnictwa gen. Vuillemin, generałowie: Georges, Dentz, Jamet i Musse (attaché wojskowy w Warszawie), a ze strony polskiej pułkownicy: Jeklicz, Fyda (attaché wojskowy w Paryżu), Łojko (szef misji zakupu materiałów wojennych we Francji) i ppłk Peryński (attaché lotniczy w Paryżu) — zasługuje na dokładniejsze streszczenie. Gamelin — jak z naciskiem podkreśla — starał się jak najmniej zobowiązywać. Dał więc ogólnikowe zapewnienie, że „Francja uczyni wszystko, co w jej mocy, aby utrzymać na swych granicach maksimum sił niemieckich” i że „dowództwo francuskie działać będzie jak będzie mogło najlepiej i zgodnie ze stanem rzeczy”.

Gen. Kasprzycki stał na stanowisku, że początkowy wysiłek Niemiec skieruje się przeciw Polsce. Gamelin odparł, że jeżeli atak niemiecki pójdzie na Francję, domagać się ona będzie od sojusznika jedynie wiązania maksimum sił, a nie pragnie wysiłku decydującego. „który by mógł okazać się przedwczesny”.

Po omówieniu planu działań morskich, przystąpiono do sprawy lotnictwa. Szef lotnictwa francuskiego, gen. Vuillemin „à ma surprise — pisze Gamelin — et sans que j'aie la possibilité de modérer son intervention, en présence de nos alliés”, stwierdził, że lotnictwo francuskie może wydatnie pomóc Polsce w początkowym okresie konfliktu — pozostaje tylko trudność z bazami w Polsce. (Nawiasem mówiąc, tenże sam Vuillemin w marcu 1938 r. był zdania, że w razie wojny, lotnictwo francuskie zostanie zniszczone w ciągu dwu pierwszych tygodni). Gamelin wziął Vuillemina na stronę i przedłożył mu, że jest zbyt niebezpiecznym angażowaniem się w takich zapewnieniach, na które nie zezwala obecny stan lotnictwa francuskiego. Vuillemin zgodził się z tym i miał na przyszłej konferencji osłabić swe twierdzenia.

Przy omawianiu działań lądowych, Kasprzycki wy-

raził zdanie, że Niemcy wystawią 100 do 110 dywizji, z czego 40 zostawią na zachodniej granicy, łącznie ze szwajcarską, belgijską, holenderską i wybrzeżem. Gamelin uważał, że jest to zbyt niskie przewidywanie, jeżeli idzie o obsadzenie granicy francuskiej. W odnośniku przyznaje jednak, że Niemcy wystawiły 110 dywizji, z czego 70 rzuciły na Polskę, ale „miały jeszcze wewnątrz 20 dywizji formujących się”.

W dalszych obradach płk. Jeklicz precyzował dokładniej, że wedle danych polskich, Niemcy rzucą na Polskę 70-80 dywizji, na Francję — 20, na granicy holenderskiej i duńskiej zostawią 8-10, na szwajcarskiej i jugosłowiańskiej — 10. Wedle zdania Gamelina, taki rozkład sił dałby wiele możliwości armii francuskiej.

W szczegółowym omawianiu planu, Gamelin trzymał się nadal ogólników, ale gen. Georges „dans le desir évident... de ne pas décourager nos alliés” wyraził się, że atak na linię Zygfrida, nie może być podjęty przed 17 dniem wojny, stanowisko to określa Gamelin, że Georges „s'avança plus que je ne l'eusse désiré”. Zdezawuował je zresztą natychmiast, stwierdzając, że w 17 dniu może być mowa jedynie o przygotowawczych krokach do ataku, a nie o ofensywie.

Na te zastrzeżenia francuskiego szefa sztabu, płk. Jeklicz zapytał, czy Polska w wypadku zaatakowania jej przez Niemcy większością ich sił, może liczyć na przejście granicy przez Francuzów i rozpoczęcie ofensywy. Gamelin uważał za konieczne udzielić tego zapewnienia, ponieważ pytanie Jeklicza nie dotyczyło specjalnie linii Zygfrida. Nawet w wypadku interwencji Włoch po stronie Niemiec, ofensywa francuska miała być dokonana. Na zapytania jakich sił użyje się do tej ofensywy, Gamelin sprzecyzował, że na froncie północno-wschodnim znajdować się będzie trzy czwarte sił francuskich, z czego połowę rzuci się do ofensywy — oznaczało to 35 do 38 dywizji. Autor zaznacza, że nie chciał być dokładniejszym, niż to było konieczne, choć powyżej stwierdził, że polski minister dał ze swej strony dokładny stan sił polskich.

Następnego dnia Gamelin osłabił w rozmowach zobowiązania lotnicze, znów sprowadzając je do ogólników.

Zobowiązania do działań lądowych również przybrały formę mniej zdecydowaną i mówiły o rozpoczęciu ograniczonych działań ofensywnych przez siły francuskie w trzecim dniu po powszechnej mobilizacji, a o uderzeniu większości wojsk począwszy od dnia piętnastego.

Z projektem protokołu umowy wojskowej, Gamelin udał się do premiera Daladier, który podzielał jego wątpliwości w angażowaniu się, ale nie chciał też zniechęcać polskich sojuszników. Układ wojskowy miał być podpisany następnego dnia, jako dopełnienie omawianego właśnie układu politycznego. Tymczasem, gdy Gamelin udał się dla złożenia podpisu do ambasady polskiej, powrócił tam ambasador Łukaszewicz od ministra Bonnet'a, który odmówił podpisania układu. Gen. Kasprzycki wyjechał do Warszawy, bez zawarcia umowy.

Dopiero w kilka dni później układ polityczny został podpisany. Gamelin uważał, że protokół wojskowy nie ma wobec tego żadnego znaczenia i był — jak podkreśla — zadowolony z tego, jakkolwiek wyraża ubolewanie, że minister spraw zagranicznych nie był szczerym wobec dowództwa, którego nie zawiadomił ściągając do Paryża gen. Kasprzyckiego i stawiając sztab francuski wobec faktu dokonanej.

Stojąc na stanowisku, że wobec braku ratyfikacji układu politycznego, protokół wojskowy nie miał żadnej wartości, gen. Gamelin uważa, że Francja wywiązała się aż nadto ze swych zobowiązań wobec Polski i zapowiada w tomie trzecim obalenie przekonania, jakoby armia francuska mogła więcej pomóc Polsce we wrześniu 1939, niż to zrobiła.

Z dalszych wzmianek o Polsce przytoczyć można krótką notatkę o rozmowach misji francuskiej i angielskiej w Moskwie. Wiadomo było, że Rosja domagała się wówczas (jak zresztą już w kwietniu 1939 — o czym Gamelin dowiedział się dopiero w r. 1946!) wolnej ręki w krajach bałtyckich i możliwości zaatakowania Prus Wschodnich przez Litwę. Dnia 19 sierpnia zawiadomiono o tych żądaniach rząd polski, który sprzeciwił się temu, ale pod naciskiem francuskim wyraził wreszcie swą zgodę. Ale — jak pisze Gamelin — premier Daladier, nie chcąc dostarczyć Rosji pretekstu do zerwania rozmów, polecił telegrafować do Moskwy z wyrażeniem zgody na sowieckie warunki, nie oczekując na odpowiedź polską. Nie uratowało to, jak wiemy, losu rokowań. I już dnia 20 sierpnia, na dwa dni przed zawarciem paktu niemiecko-sowieckiego, Daladier w rozmowie z Gamelin'em wyraził się, że jest w sytuacji Ludwika XV — w przededniu pierwszego rozbioru Polski.

Całe nastawienie tego naczelnego wodza sił francuskich w chwili, gdy wojna już od trzech dni toczyła się w Polsce, maluje zdanie na ostatniej stronie II tomu: pisze on, że gdy 3 września premier Daladier polecił mu wszcząć o godz. 17 działania wojenne — „je ne pouvais plus m'y refuser” i dodaje „dans la pratique, j'arrivai encore a gagner jusqu'au lendemain matin”.

Wojna zaczęła się więc dla Francji 4 września o godz. 5 rano. Tym dniem kończy się drugi tom pamiętników.

T. S.

FRANCUSKIE ZAGADNIENIA DEMOGRAFICZE NA TLE OGOLNO-EUROPEJSKICH STOSUNKÓW POPULACYJNYCH.

Ażeby ocenić w sposób właściwy i zgodny ze stanem rzeczywistym tę czy inną dziedzinę życia Francji, jak również jej posunięć w dziedzinie czy to polityki wewnętrznej, zagranicznej, czy społecznej, lub ekonomicznej — należy obok innych momentów, normalnie rozpatrywanych przy ocenie rzeczywistości każdego innego państwa — brać tutaj pod uwagę moment demograficzny, który już obecnie zaczyna odgrywać pierwszoplanową rolę w najbardziej zasadniczych posunięciach Francji.

Jeżeli ktoś chciałby dokonywać oceny tych czy innych przejawów życia francuskiego, nie biorąc pod uwagę procesu depopulacji, jaki się tutaj odbywa, wyjdzie zawsze z mylnego rachunku. Ten moment, który jeszcze do obecnej wojny, choć był doceniany przez Francuzów, ale jednak nie był głośno wspomniany, jak się nie mówi o czymś wtydliwym — jest obecnie podkreślany przez samych Francuzów. Aby się o tym przekonać, wystarczy zebrać sobie ustępy prasowe z kilku gazet francuskich zaledwie z paru tygodni, a wyrosnie kupa wycinaków o treści tragicznej, mówiącej wyraźnie, że Francja się kończy z powodu braku ludności, pomimo że tytuły artykułów mówią jeszcze tylko o kryzysie rąk roboczych na rynku pracy.

W 1939 roku Francja posiadała 41 milionów ludności. Należy tutaj zauważyć od razu, że w roku 1914, kiedy Francja wstępowała do pierwszej wojny światowej, ludność jej wynosiła wówczas mniej więcej podobną liczbę. Oznacza to, że przyłączenie, na skutek poprzednio wygranej wojny, Alzacji i Lotaryngii, jak również rozwój demograficzny narodu na przestrzeni 20 lat, między dwiema wojnami, nie przyniosły nic w sensie zwiększenia ludności. Dodajmy do tego, że np. w roku 1936 cudzoziemców było we Francji 2.198.236 i że dzieci z nich urodzone były wpisywane do francuskich statystyk ludnościowych.

Spis ludności z dnia 10 marca 1946 roku wykazał 40.517.000 mieszkańców, w tym 38.850.000 Francuzów i 1.670.000 cudzoziemców (cyfry zaokrąglone). W stosunku do spisu z 1936 roku ubyło Francuzów 606.000, a cudzoziemców 780.000. Jest to ubytek 3,3%. W tym okresie np. Marsylia wyludniła się o blisko 300.000 mieszkańców. Na skutek ubytku ludności w tym czasie skasowano 100 gmin. 10 gmin jest dzisiaj zupełnie niezamieszkałych i ulegają one likwidacji w miarę posuwania się procesu depopulacji.

Jeżeli to wszystko weźmiemy pod uwagę i jednocześnie porównamy, że w tym samym okresie w mniejszej liczbie w Polsce przybyło przeszło 6.000.000 ludzi, to stanie wyraźnie przed nami obraz strat, jakie Francja ponosi w szeregach swojej ludności. Na początku 1946 roku Francja miała ludności już tylko 39 milionów (bez cudzoziemców). I ten ubytek nastąpił jedynie na skutek braku urodzeń. Jeżeli stopa urodzeń pozostanie na tym samym poziomie nadal, to Francja w 1970 roku miałaby tylko 34 miliony ludności. W rachunku tym nie są brane pod uwagę reperkusje lat wojennych (słabe odżywianie i na skutek tego zwiększona śmiertelność w przyszłości, zmniejszona rozrodczość zwłaszcza tych Francuzów, którzy wrócili z obozów itd.) na kształtowanie się stosunków demograficznych w latach powojennych. Przed wojną 1914 roku we Francji notowano rocznie przeciętnie około 800.000 urodzeń, przed wojną zaś obecną około 600.000.

Urodzenia i zgony od roku 1940 do roku 1944 łącznie kształtowały się następująco:

1940	Ur.	536.567	Zg.	735.900
1941		493.419		653.419
1942		545.698		655.806
1943		589.301		609.596
1944		600.449		709.675

Sytuacja ta jest o tyle groźniejsza, że Francji brak jest ludności młodej, to znaczy ludzi w wieku poniżej 40 lat. Aby Francja mogła w pełni pracować i produkować w swoich warsztatach — brak jej 5 milionów ludzi.

We Francji jest 3-ch młodych ludzi na jednego starca. W krajach natomiast Europy Wschodniej wypadają 7-miu. A więc wypadaloby że młody człowiek francuski winien pracować z przeszło dwa razy większym wysiłkiem, aniżeli np. w Polsce przedwojennej, żeby utrzymać starych.

Wykrwawienie się Francji w dwóch kolejnych wojnach wyraża się stratą 4½ miliona ludzi młodych. A więc na demografię francuską składają się straty wojenne i ogólna tendencja starzenia się tego narodu już od czasu wojen napoleońskich. Od 1930 roku do chwili obecnej Francja utraciła 2.400.000 ludzi w wieku od 20 do 40 lat.

Z punktu widzenia potrzeb rynku pracy Francja

potrzebuje 3 miliony rąk roboczych, ale z punktu widzenia jej potrzeb demograficznych 5 milionów ludzi, żyjących rodzinnie i zasymilowanych.

Drugie jest w obecnych warunkach bardzo trudne, ale możliwe. Pierwsze jest natomiast zupełnie niewykonalne. Po pierwsze cała Europa od 30 już lat wykazuje systematyczne cofanie się przyrostu naturalnego wśród wszystkich bez wyjątku narodów, a w tym ogólnym cofaniu się Francja zajmuje jedynie naczelną miejsce, a po drugie doświadczenie wykazuje, że przyrost który się raz cofnął, nigdy nie wraca do normy.

Dzisiaj kto żyw chciałby Europę opuścić. Nawet Francja, kraj, który nigdy dotychczas nie wykazywał skłonności do emigracji wykazuje silne tendencje w tym kierunku. W 1946 roku konsulaty państw obcych we Francji zarejestrowały kilkaset tysięcy zgłoszeń na wyjazd.

Czy ten fakt ostatni ma jakiś związek z możliwościami emigracyjnymi do Francji. — Żadnego.

Znane kraje o wielkim napięciu emigracyjnym, jak np. Niemcy przed wojną 1914 roku, emigrujące masowo do obywatów Ameryk, które jednocześnie same wchłaniały wielkie ilości emigrantów.

Demografowie francuscy domagają się sprowadzenia do Francji w ciągu najbliższych 5 lat, 1.500.000 ludzi od 25 do 40 lat z dużym odsetkiem kobiet oraz 1.500.000 dzieci poniżej 15 lat. To znaczy imigracja ma być rodzinna. Jeżeli rodzin z dziećmi nie będzie, to za parę lat trzeba się będzie znowu uciekać do imigracji. We Francji przebywa obecnie około 2 milionów cudzoziemców. Trzeba by jeszcze sprowadzić 5 milionów następnych.

Nadwyżka urodzin nad zgonami oraz nadwyżka zgonów nad urodzinami w ostatnich latach wyglądała we Francji następująco:

Rok	1929	—	85.920
	1930	—	101.067
	1931	—	49.639
	1932	—	61.364
	1933	—	21.598

Stanowiło to zaledwie 0,5% na 1000 mieszkańców. Dalsze lata wykazują pozycje minusowe, to znaczy nadwyżkę zgonów nad urodzinami.

Rok	1939	—	14.696
	1940	—	199.333
	1941	—	160.000
	1942	—	90.108
	1943	—	20.295
	1944	—	109.226

Uderza w tej tabeli znaczne zmniejszenie się ubytku ludności w latach największych we Francji restrykcji żywnościowych i braku rozrywek kulturalno-cywilizacyjnych. Zjawisko to jest ciekawe i dotychczas nie posiada jakiegokolwiek racjonalnego wytłumaczenia. Nauka lekarska przypisuje ten fenomen faktowi przymusowej diety fizycznej i duchowej, która wpłynęła leczniczo na organizmy i umysły.

Emigracja francuska poza granicami Francji wynosi 540.000 ludzi — jest to emigracja elitarna, która metropolii przynosi ogromne korzyści moralne i materialne.

We Francji było w roku 1936 — 2.198.236 cudzoziemców (w tym Polaków 422.624). Do roku 1937 naturalizowano z tak wielkiej liczby tylko 361.231 (w tym Polaków 26.171).

Małe tendencje naturalizacyjne ze strony cudzoziemców należy tłumaczyć tym, że władze francuskie do wojny obecnej ciągle traktowały zagadnienie imigracji z punktu widzenia potrzeb rynku pracy. Dlatego też naturalizacja przed wojną była związana z trudnościami. Dopiero po wojnie obecnej zdano sobie sprawę z ważności zagadnienia. Zdano sobie sprawę, że już nie chodzi o ręce robocze, ale wogóle o wypełnianie luk, jakie się tworzą w szeregach ludności francuskiej. Na skutek tego zrozumienia Francja powołała do życia specjalne Ministerstwo Populacji, a powojenne ustawodawstwo, dotyczące cudzoziemców zostało znacznie złagodzone.

Jeżeli Francja się nie zdobędzie na wprowadzenie do metropolii dużych mas imigracji, szukając ich nie tylko w Europie, która w tej chwili nie wiele dać może w tej dziedzinie, ale i gdzie indziej, jak np. w granicach swego imperium kolonialnego, stosując przy tym odpowiednią politykę rasową, jeżeli się nie zdobędzie na szeroko zakrojone ustawodawstwo społeczne w stosunku do własnych obywateli i w stosunku do cudzoziemców, pragnących się we Francji osiedlić, jeżeli to ustawodawstwo nie będzie całkowicie czerpało swego ducha z potrzeb demograficznych kraju i nie pozbedzie się całkowicie dominującego w nim dotychczas ducha regulatora spraw imigracyjnych pod względem administracyjnym — to, istotnie, Francji będzie bardzo trudno rozwiązać ten najbardziej zasadniczy problem w jej życiu.

Bo na tle wyżej przytoczonych cyfr wyraźnie zarysowuje się koniec Francji — nie tyle jako państwa, ale jako narodu.

W roku 1970 według obliczeń statystyków francuskich, ma być we Francji 36 milionów ludności. Przyjmując przeciętną cyfrę ubytku ludności na 200.000 rocznie, co odpowie zbliżonej do prawdy z uwagi na systematyczny odpływ cudzoziemców, można sobie wyobrazić zupełny zanik rasy na przestrzeni przyszłych 150-200 lat.

Jeżeli się spojrzy na Francję z tego właśnie punktu widzenia, wiele spraw stanie się bardziej zrozumiałych i jasnych. A to większe zrozumienie pociągnie za sobą większą wyrozumiałość dla trudności z jakimi się Francja boryka.

Ta wyrozumiałość dla trudności francuskich jest zwłaszcza nam, Polakom, potrzebna, bo nie wiemy, czy już w najbliższych latach nie staniemy sami ze swoimi sprawami demograficznymi wobec zagadnienia naturalnego umierania narodu.

Bo przecież na oczach pokolenia polskiego, które pa-

mięta okres sprzed poprzedniej wojny światowej — około 10 milionów Polaków ubyło z Macierzy,

Daliśmy do Ameryki Północnej — 5 milionów ludzi.

Daliśmy do Ameryki Południowej, licząc z chłopami polskimi, którzy kilkadziesiąt lat temu rąbali puszcę i tam wymierali i których nikt wtedy nie liczył — 1 milion ludzi.

Daliśmy do Niemiec — element, który się już gruntownie zgermanizował i do kraju nigdy nie wróci — 500.000 ludzi.

Daliśmy do Francji — 500.000 ludzi.

Daliśmy na wszystkie inne tereny, licząc tylko tych, którzy już do kraju nie wrócą — 100.000 ludzi.

I wreszcie według obliczeń dokonanych w Warszawie. Niemcy wyniszczyli i wymordowali w czasie okupacji — 6.500.000 ludzi.

Byłoby karygodnym złudzeniem, gdyby zdrowo myślący człowiek mógł sądzić, że tak olbrzymi wpływ krwi minie bez tragicznych następstw dla kształtowania się w przyszłości naszego przyrostu naturalnego.

Zresztą cała bez wyjątku Europa cofa się szybko pod względem przyrostu naturalnego.

Przyrost naturalny ludności w niektórych krajach w latach:

	1909	1912	1933	1938
Bulgaria	18	15	13	—
Rumunia	16	14	12	—
Polska	16	13	12	10,7
Włochy	12	9	10	9,7
Węgry	12	—	6	—
Czechosłowacja	10	6	5	4,1
Szwajcaria	9	—	5	—
Norwegia	12	6	5	—
Niemcy	13	4	3	7
Belgia	7	4	3	—
Szwecja	10	3	2	—
Anglia	11	3	3	3,5
Austria	5	1	1	—

Lata dalsze wykazałyby dalszy spadek przyrostu w Europie.

Jest to zjawisko tragiczne i groźne. Na przykładzie Francji widzimy, że kiedy statystyka po raz pierwszy notuje nadwyżkę zgonów nad urodzinami od tej chwili minus z gwałtowną szybkością idzie w górę.

Widzimy, że Francja nie jest odosobniona, że cofanie się przyrostu naturalnego jest powszechnym zjawiskiem, a Francja jedynie przoduje w tym procesie.

BYT „KULTURY” ZALEŻY NIETYLKO OD WARUNKÓW MATERIALNYCH I TECHNICZNYCH. ZALEŻY ON RÓWNIEŻ OD PRZYJĘCIA Z JAKIM NOWY KWARTALNIK SPOTKA SIĘ U CZYTELNIKÓW.

ZYWY, BEZPOŚREDNI KONTAKT Z CZYTELNIKAMI JEST PODSTAWĄ ISTNIENIA KAŻDEGO PISMA, A TYM WIĘCEJ PISMA POLSKIEGO NA EMIGRACJI.

„KULTURA” ZWRACA SIĘ WIĘC Z GORĄCĄ PROŚBĄ DO WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, ABY PO PRZECZYTANIU PIERWSZEGO ZESZYTU KWARTALNIKA ZECHCIELI PODZIELIĆ SIĘ Z REDAKCJĄ SWYMI UWAGAMI, PROJEKTAMI I POMYSŁAMI.

Adres „Kultury”:

ROMA, CASELLA POSTALE 424 (ITALIA)

Przedstawicielstwa:

W. Brytania: THE VISTULA PRESS Ltd.
45 Cromwell Road. London S. W. 7

Francja: LIBELLA (Depot de livres polonais)
12 Rue St. Louis en l'Île Paris (IV)

Środkowy Wschód: UNITED PUBLISHERS Ltd.
8, Storrs Ave - Jerusalem

W najbliższym czasie ukażą się nakładem

INSTYTUTU LITERACKIEGO

następujące książki:

MICHAŁ SOKOLNICKI *DZIENNIK ANKARSKI* t. I.
Ambasador R. P.

JAN BIELATOWICZ *BRYGADA KARPACKA*.

JAN BIELATOWICZ *PASSEGGIATA* (Szkice włoskie).

ARTHUR KOESTLER *CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE* (Darkness
at Noon).

GEORGE ORWELL *ESSAYE*.